

Ryszard Dominiak

TENEGERA 3 WZYWA SOS

Kiedy SOS dotarło do Żółtej Planety... Ale nie uprzedzajmy faktów.

Rozproszone światło poranka różowiło kopulaste wieże stacji kontrolnych, znaczyło szarym połyskiem metalowe konstrukcje wyrzutni, zapalało srebrzyste blaski na stożkowatych kadłubach pojazdów. W dole, na betonowej równinie żarzyły się zielonkawym światłem pasy startowe dla aerostatów i samolotów raketowych. Połączone pomostami wieże tworzyły gigantyczną figurę trapezu, którego podstawą był budynek obserwatorium kosmicznego. Przez jedną z jego szklanych ścian teleoperator Tay patrzył na pogrążony w nocnej ciszy kosmodrom. Widział żółtawe ściany krzemowych wyrzutni, stożkowate leje podziemnych tuneli, w których napełniano zbiorniki pojazdów dalekiego zasięgu. Jeden z tych pojazdów wisiał uciepiony w magnetycznych łapach udźwigów, podobny do ogromnej, spłaszczonej biedronki. Za kilka godzin udźwigi osadzą pojazd na pierścieniach wyrzutni. Mechanicy Trustu Mózgów zaopatrzą go w paliwo i pojazd Gwiazda-3 wystartuje w próbnym rejsie. Tay chciałby zobaczyć start nowo skonstruowanego statku. Na monitorach wizji i nasłuchu, w jakie wyposażona była jego kabina, mógłby dokładnie śledzić lot Gwiazdy-3, znaczone jasnymi płomykami spalającego się lotium. Tay wiedział, że nowy pojazd kosmiczny zaopatrzone jest w dwa różne źródła poruszającej go energii. Jedno to klasyczny układ odrzutu podwójnego, do którego stosuje się mieszanki ciężkich deutronów, tak zwane lotium, oraz drugie... Właśnie. To drugie źródło energii utrzymywane było przez radę Trustu Mózgów w tajemnicy. Nawet zatrudnieni przy budowie pojazdu mechanicy, wśród których Tay miał przyjaciół, nie wiedzieli, co kryje się pod kryptonimem „Manon” - taką bowiem nazwę otrzymało doświadczenie z zastosowaniem nowego paliwa. Domyślano się, że działanie nowego napędu wywołać może przyśpieszenie zbliżone do prędkości rozchodzenia się fotonów. Dlatego w konstrukcji Gwiazdy-3 uwzględniono najnowsze badania z dziedziny dynamiki kosmicznej i materiałowej. Z tych względów teleoperator Tay ciekawy był wyniku planowanego eksperymentu. Ale za trzy godziny kończy się dyżur Taya. Będzie musiał opuścić kosmodrom. Nikomu z pracowników nie wolno było przebywać tu poza godzinami pracy. Rozporządzenia tego strzegły ustawione w pomieszczeniach, a także na wieżach, elektronowe czujniki kontrolne. Tay z doświadczenia wiedział, że przed ich radarowymi oczami nikt się nie ukryje. Gdyby cokolwiek zakłóciło ustalony na obszarze kosmodromu porządek, czujniki poinformowałyby o tym dyżurującego członka Trustu Mózgów, który - jeśli uznałby to za konieczne - ogłosiłby alarm. Tay pamięta historię inżyniera Roya. W okresie inwazji mieszkańców Żółtej Planety na planetę Hez, był on pracownikiem tej sekcji Trustu, której zadaniem było opracowywanie koncepcji masowego wyniszczenia przeciwnika. Wchodziły tutaj w grę te rodzaje broni, przeciw którym nieprzyjaciel nie mógł w krótkim czasie zastosować skutecznego systemu obrony. Inżynierowi Royowi udało się

skonstruować urządzenie, które przeszło do historii jako tak zwana cicha śmierć. Było to coś w rodzaju generatora wytwarzającego takie fale elektroakustyczne, które w zetknięciu z żywym organizmem powodowały natychmiastowy rozpad czerwonych ciałek krwi. Straszna ta broń działała w promieniu trzystu kilometrów, a umieszczona w pojemnikach raket-satelitów mogła w ciągu kilkunastu godzin zniszczyć istoty myślące planety Hez. Kiedy Roy uświadomił sobie skutki działania swego wynalazku, było już za późno. Rada Trustu Mózgów zaakceptowała wynalazek i zaleciła natychmiastową produkcję niezbędnej ilości generatorów. Nie pomogły protesty wynalazcy. Wówczas Roy zdecydował się wykraść zamknięte w sejfach Trustu własne plany. Przy pomocy przyjaciela, specjalisty elektronika, unieruchomił czujniki i wdarł się do podziemnego archiwum. Właśnie otwierali jedną z metalowych szaf, kiedy poczuli wzmogoną wibrację powietrza. W betonowym pomieszczeniu coś się działo. Ale co? Dopiero kiedy usłyszeli szelest zamykanych drzwi, zrozumieli, że są w pułapce. Raz jeszcze superkomputer So, ten przeklęty robot, który szydził z istot ludzkich, chełpiąc się tym, że góruje nad nimi wiedzą i inteligencją, okazał się silniejszy. Śmiejąc się zatrzasnął metalowe wrota, a kiedy zrozpaczeni ludzie zagrozili zniszczeniem znajdującej się w pomieszczeniu dokumentacji, wypełnił salę archiwum gazem paraliżującym. Nazajutrz sąd Trustu Mózgów skazał ich na dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach rud metali półszlachetnych. Tak, Tay zna wiele przykładów ludzkiego buntu. Ale zawsze bunt ten skierowany był przeciwko tym, którzy strzegli władzy - przeciwko maszynom myślącym. Dziwne to było i niezrozumiałe dla Taya. Gniew zbuntowanej jednostki nigdy nie dotarł do aeropagu władzy - do istot tworzących Radę Trustu Mózgów. Tych trzydziestu kilku ludzi, dzierzących w swych rękach najwyższą władzę, było dla przeciętnego mieszkańca Żółtej Planety czymś tak nieosiągalnym jak podróż aerostatkiem do najbliższej planety własnego układu gwiazdowego. Członkowie Rady uważani byli za geniuszy. Spędzali życie w całkowitej izolacji. Mieszkali na sztucznej wyspie zbudowanej ze szkła i krzemu. Unosiła się ona na specjalnej platformie na wysokości tysiąca pięciuset metrów ponad poziomem morza Ug i strzeżona była przez sieć maszyn myślących, którymi rozporządzał superkomputer So. Tay zastanawiał się często, jak ci nieosiągalni dla zwykłych ludzi władcy planety wyglądają, co robią, jakie mają zamierzenia i plany. Na ich temat krążyły różne opinie, które z czasem przekształciły się w mity. Jeden z nich głosił, że szef Trustu, Ky, osiągnął już taką doskonałość w konstruowaniu sztucznych mózgow, że pewnego dnia rozkazał członkowi rady Trustu, odpowiedzialnemu za badania medyczne, aby przeszczepił mu jeden z tych mózgow. Byli i tacy, co utrzymywali, że Ky kazał sobie wymienić i inne narządy, a nawet serce. Gdyby wierzyć pogłoskom, to szef Trustu byłby już tylko zlepkiem czegoś, co powleczone jest ludzką skórą. Ale Tay nie dawał wiary tym opowieściom. Dwa lata temu na uroczystości

wręczania dyplomów ukończenia studiów Tay słyszał głos szefa Trustu. Słyszeli go wszyscy zgromadzeni na sali absolwenci uczelni kosmicznej, nad którą Ky sprawował honorowy patronat. Jego płynące z głośników słowa na trwale zapisały się w pamięci Taya.

„Otrzymaliście zasób wiedzy, którą należy stale rozwijać. Wasze przyszłe osiągnięcia naukowe wzbogacą wiedzę, która tak pięknie przyczyniła się do rozwoju cywilizacji naszej planety. Powinniście być z tego dumni. Być może, jesteśmy jedynymi istotami w przestrzeni kosmicznej, których władza staje się nieograniczona. Podporządkowaliśmy sobie planety naszego układu gwiazdnego, ale fakt ten nie powinien nas zadowalać. Dlatego nasze statki powietrzne penetrować będą przestrzeń kosmiczną tak długo, aż osiągniemy najbliższy nam układ gwiazdny. Wtedy wylądujemy na jednej z planet i jeśli będzie tam cywilizacja, opanujemy ją, zmuszając istoty rozumne do posłuszeństwa. Nasze wspaniałe osiągnięcia naukowe muszą być respektowane wszędzie tam, gdzie dotrą nasze pojazdy. Taka jest wola Butu i my wszyscy razem musimy ją wypełniać. W imieniu własnym i Rady Trustu Mózgów życzę wam sukcesów w zdobywaniu nowych obszarów kosmosu”. Tak powiedział Ky, a Tay i pozostali słuchali w skupieniu jego słów, pochylając z należytą czcią głowy. Potem Tay wielokrotnie analizował oświadczenie szefa Trustu. Zestawienie słów, ich sens, a przede wszystkim logika zawarta w treści przemówienia świadczyły, że przemawiał człowiek z krwi i kości. Coś jednak było w głosie Ky, co zmuszało do myślenia. Z upływem czasu Tay nabierał przeświadczenia, że Ky jest człowiekiem opętanym żądzą władzy, potężnej, rozciągającej się na inne układy gwiazdne władzy, wobec której niczym byłby legendarny władca wszechświata - Butu. Szaleńcza idea starca z Chmur (tak bowiem powszechnie nazywano Ky), którą wyluszczał on w swych przemówieniach, miała swoich zwolenników wśród tych mieszkańców Żółtej Planety, którzy spędzali życie w wolnym od wysiłku, błogim lenistwie, nadzorując przydzielonych im robotników i kontrolując pracę robotów. Tam gdzie praca ze względu na swą specyfikę wymagała udziału istoty rozumnej, zatrudniano ludzi z planety Hez. Oni właśnie byli robotnikami. Po podboju planety przez Trust Mózgów sprowadzono stamtąd grupę ludzi obojga płci i kazano im zaludnić wyznaczony teren. Wszystkim wstrzyknięto preparat Wu, którego działanie osłabiało wolę, likwidowało agresywność i wszelkie odruchy buntu. Ludzie z planety Hez byli więc istotami łagodnymi, pogodzonymi ze swym losem i otaczającym ich światem. W drugim pokoleniu nie pamiętali już swej rodzinnej planety, na której kwitła niegdyś wspaniała sztuka. Bogata i różnorodna kultura mieszkańców planety Hez, zniszczona inwazją rodaków Taya, była teraz dla nich mglistym wspomnieniem. Tay obserwował często tych ludzi. Nieustannie zajęci, każdą, nawet najcięższą pracę wykonywali z uśmiechem, co upodabniało ich do bawiących się dzieci. Słuchając ich śpiewu Tay doznawał nie znanego, obcego swej naturze uczucia,

wywołującego jakby zadumę nad losem ludzi z planety Hez. Trwało to jednak krótko i było tak ulotne, że Tay nigdy nie mógł uświadomić sobie w pełni, co to właściwie jest. Był mieszkańcem planety, której istoty myślące nie okazywały współczucia, nie rozróżniały takich uczuć i pojęć jak żal, szlachetność, poświęcenie. Dla Taya i jego współrodaków ich własne cele życiowe podporządkowane były zadaniom określanym przez Radę Trustu i wszelkie odstępstwa od tej zasady spotykały się z ogólnym potępieniem. Obywatel Żółtej Planety żył na niej po to, aby budować nowe, doskonalsze pojazdy, na pokładzie których można byłoby odbywać dalekiej rejsy, przekraczać granice galaktyki. Ludzie, nauka i sztuka, przemysł i technika - wszystko to podporządkowane było jednemu celowi. Wyznaczał go nieomylny Ky, a Rada Trustu akceptowała jego pomysły bez słowa protestu. Czy rzeczywiście? Jeśli Taya ogarniają czasem wątpliwość, to czy nie mogą ich mieć inni mieszkańcy Żółtej Planety?

Tay ciągle patrzy na wyłaniające się z mroku ogromne konstrukcje kosmodromu. W ich pozornym chaosie tkwi żelazna logika i precyzja znamionująca niebywale wysoki poziom myśli technicznej mieszkańców Żółtej Planety. Tay jest z tego dumny. Cóż znaczą nurtujące go wątpliwości wobec materialnej potęgi ludzkiego umysłu? Są one tak drobne, tak nic nie znaczące, że mogą wywołać tylko pobłażliwy uśmiech. Tay podchodzi do pulpitu. Pełno na nim kolorowych przycisków, połyskujących lamp, przyrządów pomiarowych. Ponad głową Taya zawieszono na suwnicach srebrzą się ekrany wizualnego nasłuchu. Tay nacisnął włącznik i pokręcił gałką wzmacniacza. Monitor zamigotał niebieskawym światłem i powoli zmieniał barwę przechodząc w granat. Z gęstniejącej czerni wyłoniły się nagle migocące punkciki gwiazd. Rojowisko gwiazd, planet, mgławic i błędzących strzępków materii kosmicznej przybliżyło się gwałtownie, nabierając ostrości. Patrząc na trójwymiarowy obraz przekazany za pośrednictwem teleskopów, odnosiło się wrażenie, jakby obserwator znalazł się w gąszczu migocących punkcików: większych, mniejszych i tak maleńkich, że ledwie widocznych. Ten pozorny chaos ciał niebieskich zionął pustką ogromnej przestrzeni, przytłaczającą człowieka poczuciem bezradności i bezgranicznego osamotnienia, które ogarniało Taya, kiedy obejmując stanowisko teleoperatora kosmicznego spoglądał na kontrolowany przez siebie wycinek Z-1 kosmosu.” Ale tak było dawniej. Od tego czasu minęły dwa lata i Tay zdążył już się przyzwyczaić. Poznał dość dobrze migocące w zasięgu obserwacji ciała niebieskie, o każdym z nich, nawet o najbardziej oddalonym, błąkającym się być może na krańcach galaktyki, wiedział wiele. Dla Taya w zbiorowisku gwiazdnym panował porządek określony formułą matematyczną. Czasem jednak w tym, zdawałoby się, nieruchomym obrazie pojawiała się lub ginęła jakieś ciało. Błądzące zbiorowiska materii mknęły po sobie tylko znanych orbitach, ciągnąc za sobą uzbierany po drodze pył kosmiczny.

Kilka miesięcy temu Tay był świadkiem śmierci gwiazdy - Wesei. Gwiazda trzeciej wielkości w konstelacji Zut była wyjątkowo piękna. Świeciła coraz jaśniej, a nawet - co Taya zaniepokoiło - zdawała się zwiększać swą objętość, rosnąć. Któregoś dnia Tay zauważył, że Weseja promienieje jednobarwnym, białym światłem, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Podniecony, skierował na nią sprzężone teleskopy. Dostrzegł groźne błyski. Potężne reakcje jądrowe dwóch przeciwstawnych sobie gazów ścierały się z sobą, wyrzucając z wnętrza gwiazdy ogromne masy materii. Przez obiektywy wielkiego teleskopu można było dojrzeć, jak Weseja, płonąć, zwiększa swoją objętość. Po kilku dniach zaczęła się kurczyć, tracić jasność, aż w końcu stała się czerwonym, ledwo widocznym w czarnej głębi kosmosu punkcikiem. Przez kilkanaście dni Tay obserwował to niezwykle rzadkie zjawisko. Znając odległość od Wesei obliczył, że katastrofa wydarzyła się trzydzieści lat temu, kiedy nie było go jeszcze wśród istot Żółtej Planety. Tay boleśnie odczuł śmierć ulubionej gwiazdy. Kiedy pisał na żądanie Trustu Mózgów raport w tej sprawie, zaczęły się w nim budzić refleksje. W wydarzeniu tym odnajdywał coś tragicznego, coś, co przypominało o nieskończoności wiecznego przemijania, o zmienności form bytu.

Ze wszystkich znanych Tayowi praw jedynie prawo zachowania masy miało dla niego pewien sens filozoficzny, znajdujący potwierdzenie we wszystkich postaciach istnienia, i tu, na powierzchni Żółtej Planety, i tam, w skończonej, ale nieograniczonej przestrzeni kosmosu. Według Taya materia z całą swoją różnorodnością form była funkcją wypadkowych działań układów energetycznych, których odpowiednie kombinacje tworzyły nisko lub wysoko zorganizowane struktury. Ale te zorganizowane struktury były przemijające jak życie mieszkańców Żółtej Planety, jak cały ten pozornie stabilny wszechświat.

Tay ściągnął z uszu słuchawki i włączył je w akustyczny obwód podsłuchu. Z głośnika wydobywały się szmery o wysokiej częstotliwości jęklive, przechodzące w pisk zawodzenia powtarzały się jednostajnie i uparcie. Towarzyszyły im pojedyncze, suche trzaski, raz nieregularne, to znowu rytmiczne, jak sygnały nadawane przez istoty rozumne. Ale Tay doskonale wiedział, że są one echem procesów fizycznych w kosmosie. Te docierające do sondy kosmicznego nasłuchu trzaski i szmery świadczyły, że materia w kosmosie zmienia swą formę i że towarzyszy temu wydzielanie energii. Za pomocą analizy Tay ustalił, że w pewnym okresie natężenie promieniowania elma z gwiazdozbioru Czerwonego Warkocza wzmagą się, co oznaczało, że synteza gazów N + S osiągnęła na jednej z gwiazd stan krytyczny. Ale różnorodny deszcz rejestrowanych przez przyrządy promieni kosmicznych nie był dla Taya czymś szczególnie interesującym. W częstotliwości kosmicznych dźwięków nie zabrzmiało nic takiego, co zasługiwałoby na szczególną uwagę. Odłożył więc słuchawki, przełączając nasłuch na głośniki, i wtedy poczuł znużenie. Dyżur kończył się za dwie

godziny. Jednostajność wykonywanych czynności, rejestrowanie zjawisk ciągle się powtarzających, to nieustannie wierzące mózg brzęczenie sprawiło, że ogarnęła go apatia. Było to coś w rodzaju psychicznego otępienia, coś, co powoduje fizyczną ociążałość i niechęć do większego wysiłku. Z ulgą pomyślał o czekającym go wypoczynku, o tych kilkunastu godzinach beztroski, które zamierzał spędzić w towarzystwie swej dziewczyny. Maya to była urocza dziewczyna. Jej wdzięk brał się nie tyle z młodzieńczej, trochę naiwnej jeszcze przekory, co z żywiołowego optymizmu, z pełnego zachwyty spojrzenia na świat i ludzi. Dla Taya świat ciągle był zagadką. Niepokoiło w nim coś nie ujawnionego, coś, co w każdej chwili zagrozić mogło jemu, jego najbliższemu, wszystkim zamieszkującym Żółtą Planetę istotom. To tkwiące w podświadomości Taya poczucie pewnego rodzaju zagrożenia miało swoją przyczynę w tym, że bardziej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z paradoksalnej sytuacji, jaka w ciągu ostatnich kilkunastu lat wytworzyła się na Żółtej Planecie. Otóż Trust Mózgów zgromadził tak potężny arsenał środków masowej zagłady, że gdyby ktoś uruchomił tylko część tych wysyłających śmiertelne promienie aparatów, to pomijając już skutki samych wybuchów jądrowych, życie biologiczne na Żółtej Planecie przestałoby istnieć w ciągu kilku godzin. I to mogło się zdarzyć! Tay podejrzewał, że Rada Trustu Mózgów składa się z szaleńców, którzy w swych dążeniach do opanowania kosmosu nie cofną się przed najbardziej niebezpiecznymi przedsięwzięciami. W rozmowach z Mayą zwierzał się jej ze swych niepokojów. Ona jednak, pełna wiary w ludzi, nie podzielała jego obaw i robiła wszystko, aby go odwieść od złych myśli. Urządzała wycieczki w zaciszne zakątki jeziora Ofa, gdzie woda była tak czysta, że widać było pełzające po dnie gady. Żyły one w rozpadlinach skał i były osobliwością świata zwierzęcego Żółtej Planety. Dziwaczne w kształcie, o odrażających pyskach i ciele pokrytym guzami, miały w sobie coś z płazów, ryb i ssaków jednocześnie. Wychodząc na ląd stawały na tylnych łapach i wydawały donośny, rechotliwy pisk. Maya twierdziła, że stworzenia te śmieją się z ludzi, bo zachowywały się tak zawsze wtedy, gdy ludzie im się przyglądali. Te stwory, jak gdyby żyjąca skamielina, pozostające pod ochroną, były z natury leniwe i łagodne. Karmiła je często ich ulubionym przysmakiem, jajkami bonga. Niektóre z nich tak się do niej przyzwyczyły, że biegły ciężko i nieporadnie na jej spotkanie. Będąc z wykształcenia biologiem, Maya lubiła przebywać w towarzystwie zwierząt. Buntowała się przeciwko doświadczeniom, których celem była degeneracja określonego gatunku. Tymczasem kierujący procesami Instytutu Biologii Doświadczalnej profesor Mut głosił, a jednocześnie wcielał w życie teorię, że na planecie rozmnażać się powinny tylko te zwierzęta, których hodowla przynosi człowiekowi efektywne korzyści. Wszystkie inne powinny ulec stopniowemu wyniszczeniu lub być poddane takim przeszczepom hanozeidalnym, aby można było uzyskać z nich nową, wysoko wydajną rasę.

Maya przeciwstawiała się tego rodzaju praktykom uważając, że jest to sprzeczne z istotą natury, że stwarza niebezpieczeństwo zachwiania równowagi biologicznej. Jej protestów nikt jednak nie brał pod uwagę, więc Maya na własną rękę starała się sabotować zarządzenia profesora. Jej naiwne poczynania szybko zostały odkryte i Mayę karnie przeniesiono do działu struktur pierwotnych. Kara nie odstraszyła jej od badań nad ewolucją jednokomórkowców. Wkrótce osiągnęła wyniki, które w znacznym stopniu podważały teorię profesora Muta. Tay zazdrościł jej - ciesząc się jednocześnie i podziwiając - energią, optymizmem, niezrażania się przeciwnościami i chwilowymi niepowodzeniami, co pozwalało jej z ufnością patrzeć w przyszłość. Sam z natury pesymista, tym większą znajdował pociechę w obcowaniu z Mayą. Kochał ją nie tylko dlatego, że odznaczała się rzadkimi zaletami charakteru, kochał ją też za to, że była łagodna, mądra, nigdy nie usiłująca narzucać swej woli. Łagodnością i tolerancją zjednywała sobie przyjaciół, którzy wiedli z nią gorące dyskusje na temat zagrożenia przyrody przez cywilizację techniczną. Tay, przysłuchując się dyskutantom, przyznawał im rację, ale podobnie jak oni był bezradny. Ta bezsilność wobec zagrażających ludzkiej egzystencji faktom wprawiała Taya w stan przygnębienia, stawał się zamyślony, zamknięty w sobie, nieprzystępny. Ostatnio był szczególnie rozdrażniony. Rozumiał, że pochodzi to z niemocy wobec nieokreślonego, a jednak realnego, czającego się gdzieś niebezpieczeństwa. Czy rzeczywiście takie niebezpieczeństwo istniało? Czy nie było to tylko urojenie przemęczonej wyobraźni? Jak to jest naprawdę? Bezustannie dręczyła go ta myśl.

Tay krąży pomiędzy iskrzącymi się ślepiami aparatów, połyskujących srebrem membran, z których wydobywał się wielokrotnie wzmocniony śpiewny szept kosmosu. Nagle z mieszaniny dźwięków wprawny słuch Taya wyłowił suchy, rytmicznie powtarzający się stukot. Tay znieruchomiał z wrażenia. Trzaski powtarzały się w jednakowych odstępach. Nie były to fale magnetyczne, wywołane procesami fizycznymi zachodzącymi w materii kosmicznej. Były to sygnały nadawane przez istoty rozumne i Tay co do tego nie miał wątpliwości. To nie spotykane dotąd zdarzenie tak mocno podziało na niego, że ciągle stał nieporuszony, jakby zelektryzowany tym, co rejestrowały aparaty. Była to niezwykła chwila. Prowadzony od ponad dwustu lat nasłuch kosmiczny potwierdzał w tej chwili przewidywania Trustu Mózgów. Gdzieś na jednej z odległych planet mieszkają istoty rozumne. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia Tay włączył komputer pamięci i mózg analizy szyfrów. Jednocześnie na jednym z monitorów analizatora nasłuchu ukazały się pierwsze znaki graficzne kosmicznej depeszy. Tay patrzył w ekran monitora jak urzeczony. Graficzny zapis depeszy w pierwszej swej części przedstawiał kilka figur geometrycznych, prawdopodobnie symboli wzorów, a dalej drobne znaki pisma. Tak, Tay nie miał wątpliwości, że treść depeszy zawarta jest w tych

drobnych znakach. Ale kto je odczyta? Czy superkomputer So zdoła rozszyfrować znaczenie tajemniczych znaków? Tay jest przekonany, że zrobi to Rada Trustu Mózgów, ale czy jemu jako naocznemu świadkowi tego niezwykłego w historii Żółtej Planety zjawiska nie przysługuje pierwszeństwo w odczytaniu kosmicznej depechy? Teleoperator Tay jest tak podniecony, że przez chwilę kręci się bezradnie po swej pracowni, trzymając w dłoni podłużny karton, na którym mózg szyfrów dokonał zapisu. Świadom jest, że będąca w jego dyspozycji aparatura nie jest dostosowana do niezwykle trudnej operacji tłumaczenia zupełnie nie znanych pojęć i że dokonać tego może tylko So. Ale czy ten cyniczny i złośliwy zarazem komputer spełni jego polecenie? Czy nie zawiadomi przedtem Trustu Mózgów? Tak czy inaczej, Tay postanawia działać. Nawet jeśli by z tego powodu miał ponieść konsekwencje. Z depeszą w ręku wychodzi na korytarz. Mija kilka połyskujących niklową oprawą drzwi i schodzi krętymi schodkami o jeden poziom niżej. Mieści się tutaj centralna dyspozytornia, do której Tay ma prawo wstępu. Kiedy otwierał kluczykiem masywne drzwi, zawieszane nad nimi radarowe czujniki mignęły niebieskim światłem. Oznaczało to wolną drogę. Tay nacisnął guzik i kiedy drzwi rozsunęły się, wszedł. Niewielkie, okrągłe pomieszczenie połyskiwało białą wykładziną marmurowych ścian. Wmontowane w nie były różne aparaty i tablice rozdzielcze. Ilość przycisków, włączników dźwigniowych wysokich napięć i mikrofonów dyspozycyjnych była tak wielka, że człowiek nie obeznany ze znajdującymi się tutaj urządzeniami poczułby się bezradnym. Ale Tay znał działanie poszczególnych urządzeń. Pewnym krokiem podszedł do zespołu oznaczonego żółtą linią kwadratu. Było to stanowisko dyspozycji dla komputerów i maszyn posiadających zdolności kojarzenia pewnych faktów i wyciągania z nich logicznych wniosków. Na czele tej sztucznie ożywionej materii stał potężny superkomputer So. To on wydawał rozkazy rozmieszczonym w różnych pracowniach komputerom. W ciągu jednej sekundy potrafił wydać ogromną ilość poleceń. W niezliczonych zwojach sztucznego mózgu rejestrował wiadomości dotyczące Żółtej Planety i kosmosu. Swą ogromną wiedzą i umiejętnościami posługiwania się nią budził wśród ludzi strach. Dziwna rzecz: przed kilkunastu laty ci sami ludzie tworzyli go z zapalem, z entuzjazmem budowali jego poszczególne zespoły, montując gigantyczne monstrum. Dopiero po kilku latach pracy superkomputera zrozumieli, że stworzyli coś, co działa ponad nimi, nad czym stracili kontrolę. Ale na jakiegokolwiek przeciwdziałanie było już za późno. Superkomputer stał się gorliwym wykonawcą poleceń Trustu Mózgów. Uzależniony od Rady, okazał się jej kontrolerem. Dlatego ludzie bali się potężnego So. Tay nie żywił jednak wobec niego żadnych obaw. Sprawa, którą chciał przekazać So, była niezmiernie wagi i Tay mógł sobie pozwolić na naruszenie prawa zawarowanego wyłącznie dla Trustu. Włączył więc obwód i powiedział:

- So, przekazuję ci do odczytania znaki z kosmosu. Należy je rozszyfrować!

Błysnęło białe światło i Tay usłyszał głos So:

- Dobrze, przyjacielu, przyjmuję polecenie. Tylko... - w głosie komputera coś zgrzytnęło, jakby wahanie wywołało w nim irytację - nie potrafię określić terminu ukończenia pracy, bo tego nie można przewidzieć.

Tay uśmiechnął się i powiedział:

Gdybyś mógł wykonać zadanie w ciągu dwóch godzin - zawiesił na chwilę głos - byłbym ci bardzo wdzięczny.

Z wysokości dwustu metrów Tay obserwował rozciągające się na wschód od miasta piaski. Obszar ten porastała niegdyś bujna roślinność. Kiedy jednak wybudowano reaktory atomowe, zapasy wody w glebie w ciągu kilku lat zostały wyczerpane, ponieważ przemysł atomowy pochłaniał ogromne jej ilości. Wodę pobierano z rzeki Po i z głębinowych studni, których wiercono coraz więcej. Z braku wilgoci zamarła roślinność, rozpadała się żyzna niegdyś gleba. Rzeka Po kurczyła się, stawała strumykiem, a potem martwym, piaszczystym kanionem. Brak roślinności wywarł wpływ na opady atmosferyczne. Burze nad wschodnią pustynią nie przynosiły deszczu. Dmuchały gorącym wiatrem, który unosił piasek zasypując resztki roślinnej szaty.

Tay, patrząc na wschód słońca, usiłował rozładować w ten sposób napięcie wywołane oczekiwaniem. Czy superkomputer upora się z trudnym zadaniem? Jaka treść zawarta jest w depeszy? Mijały minuty, podniecenie Taya wzmagало się. Nie potrafił nawet skupić uwagi na otaczających go przedmiotach. Wschód słońca, który tak lubił oglądać, piaski pustyni, uśpione miasto i dalekie pasmo czerwonych wzgórz - wszystko to, co zwykle podziwiał przez szklaną ścianę swej pracowni, teraz drażniło go, wywołało stan agresywności. Uświadomił to sobie, gdy odruchowo chwycił gałkę oscyloskopu i wyszarpnął go z zacisków. To przywróciło mu równowagę. Zachowuję się jak dziecko - pomyślał. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niewielki flakonik, wytrząsnął dwie zielone pigułki i włożył je do ust. Skrzywił się, bo były bardzo gorzkie. Podeszedł do kranu i w plastikowy kubek nabrał wody mineralnej. Była zimna i miała kwaskowy smak. Skutecznie gasiła pragnienie. Tay usiadł w fotelu i utkwiał wzrok w radiotelefonie. Minuty mijały, a superkomputer ciągle milczał. Ale Tay był już spokojny. Zażyte pastylki zawierały środek łagodzący wewnętrzne napięcie. Czuł, jak ogarnia go senność.

Obudził go natarczywy dźwięk brzęczyka radiotelefonu. Nacisnął guzik i włączył zapis. W głośniku zaskrzypiało, po czym rozległ się metaliczny głos superkomputera So:

- Podaję wyniki. Tay, słyszysz mnie? Podaję wyniki.

Tay poczuł gwałtowne bicie serca i skurcz w krtani. Pokonując niemiłe wrażenie

wykrztusił:

- Słyszę cię, So.

- Dobrze. A więc tak brzmi treść telegramu: Jesteśmy mieszkańcami trzeciej planety w układzie gwiazdowym Czerwonego Warkocza. Nasza gwiazda stanowi wierzchołek wielkiego trójkąta i oddalona jest o pięć lat świetlnych od sąsiadującego z nami układu tworzącego trapez. Nasza cywilizacja opanowała planety naszego układu, ale są one martwe. Nie posiadamy pojazdu, który mógłby dotrzeć w rejony innych układów planetarnych. Zwracamy się do was, gdziekolwiek jesteście w nieograniczonej przestrzeni kosmicznej, pomóżcie nam! Ratujcie nas przed wirusem, który zatruł nasze dusze agresywnością. Wolnych od niego jest garstka. Zarażeni mordują się wzajemnie, okrutnie i bezwzględnie. Jeśli możecie, przyslijcie nam pomoc.

Tay słuchał skupiony i przejęty. Starał się na podstawie danych telegramu ustalić położenie planety. Włączył obraz obserwowanego przez siebie wycinka kosmosu. Obraz nie był już tak dokładny jak przed dwiema godzinami. Różowy blask wstającego dnia zacierał jasność odległych systemów gwiazdowych. Tayowi mimo wielu prób nie udało się osiągnąć celu. Być może planeta znajdowała się poza zasięgiem jego obszaru obserwacji. A czas naglił. Za kilka minut kończył się dyżur Taya, a on dotąd nie spełnił najważniejszego obowiązku: nie przekazał depeszy Trustowi Mózgów. Wiedział, że jeżeli nie przekaze informacji natychmiast, może być oskarżony o spisek i skazany na ciężkie roboty. Tay bał się również, że Trust Mózgów może ustalić położenie planety i dokonać na nią inwazji, bo wydarzenia na trzeciej planecie układu Czerwonego Warkocza sprzyjały agresywnym zamiarom Trustu. Ale czy na pewno to uczyni? A może Trust Mózgów postanowi udzielić pomocy nie znanej planecie? Pełen wątpliwości, Tay decyduje się nagle. Włącza aparat nasłuchu w obwód bezpośredniej łączności radiowej z dyżurującym członkiem Rady i przekazuje treść telegramu w brzmieniu oryginalnym i w tłumaczeniu.

Po opuszczeniu kosmodromu Tay mimo zmęczenia udał się do Mayi. Na obszernym, wyłożonym żółtym piaskowcem placu stało kilka pojazdów przypominających kształtem talerze. Były to małe, czteroosobowe aerostaty przeznaczone na użytek pracowników kosmodromu. Startowały i lądowały pionowo, były niezwykle zwrotne w czasie lotu, o stosunkowo krótkim zasięgu i latały z szybkością sześciuset mil na godzinę. Używane były przez mieszkańców Żółtej Planety jako napowietrzne taksówki. Tay zatrzasnął owalne drzwi pojazdu i usiadł w fotelu pilota. Włączył silnik, ale nim wystartował, wystrzelił w górę czerwoną raketę oznaczającą kierunek lotu. Było to konieczne ze względu na bezpieczeństwo, Rakieta zostawiała błyszczącą smugę gazu, której śladem leciał pojazd. W

ciągu kilku sekund pojazd wzbił się na wysokość dwustu metrów, zatrzymał się w przestrzeni, po czym poszybował nad miastem w kierunku południowym. Choć godzina była wczesna, krążyły już na różnych wysokościach podobne pojazdy i Tay musiał pilnie uważać, aby nie zboczyć z wyznaczonego rakieta kursu. Pod nim rozpościerało się miasto. Wieżowce o cylindrycznych kształtach i wielkich, płaskich dachach-ładowiskach, połączone między sobą mostami, tworzyły gigantyczną konstrukcję w kształcie gwiazdy, lśniąca chromem i szkłem. W dole, między wyłożonymi żółtym piaskowcem ulicami, zieleniły się drzewa i krzewy, a między nimi połyskiwały sztuczne zbiorniki wodne. Za miastem ciągnęły się hale fabryczne, płaskie i jednobarwne, ale zbudowane również według gwieździstej symetrii. Z wysokości kilkuset metrów bez trudu można było dostrzec, że zbudowane u podnóża czerwonych wzgórz miasto tworzy ogromną czteroramienną gwiazdę, której końce ramion dotykają pustyni, wzgórz, jeziora i dalekiego lasu, ledwo widocznego na północy horyzontu. Tay znał dobrze to miasto, urodził się w nim i w nim spędził młodość. Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w tutejszym kosmodromie. Było to nie lada wyróżnienie, ponieważ tylko nieliczni absolwenci wyższych uczelni mogli mieszkać i pracować w mieście, które było siedzibą Rady Trustu Mózgów. Zwykle wysyłano ich do odległych prowincji, gdzie powierzano im dozór nad produkcją przemysłową. Tay został zaliczony do grupy pracowników naukowych. Powinien być zadowolony. Ale nie był. Wiedział bowiem, że ci z Trustu Mózgów zatrudnili go w kosmodromie tylko ze względu na ojca, wybitnego konstruktora pojazdów dalekiego zasięgu. Ojciec był jedną z ofiar kosmosu. Cztery lata temu Tay głęboko przeżył jego śmierć. I nie mógł pogodzić się z faktem, że Trust Mózgów, prowadząc eksperyment badania nad zachowaniem się organizmów w przestrzeni międzyplanetarnej, z okrutnym wyrachowaniem dopuścił do choroby ojca, zwanej obłędem kosmicznym. Symptomy choroby pojawiły się, gdy statek kosmiczny, w którym znajdował się ojciec wraz z dwoma innymi członkami załogi, mógł jeszcze powrócić na Żółtą Planetę. Rada Trustu, wiedząc o tym, wydała rozkaz, aby kontynuować lot do czasu dotarcia do mgławicy Oyet. Zadanie zostało wykonane. Ale ojciec Taya poniósł śmierć. Przez specjalny wziernik Tay szuka miejsca do lądowania. Zmniejszył szybkość i zataczając kręgi obniżył lot tuż nad dachy lotniska. Jeszcze jedno okrążenie i powietrzna taksówka zawisała nieruchomo, by po chwili osiąść łagodnie na betonowej platformie jednego z trzydziestopiętrowych budynków. Stało tu już kilkanaście pojazdów. Tay opuścił aerostat i jedną z wind zjechał na dwunaste piętro, gdzie mieszkała Maya. Mieszkanie jej składało się z trzech niewielkich pokoiów, łazienki i pomieszczenia na przyrządzenie posiłków. Wyłożone kolorową boazerią ściany, lekkie, puszyste fotele i samoporuszający się barek stanowiły wyposażenie półokrągłego saloniku. Tay zatrzymał się w nim na chwilę. Usłyszał oddech

pograżonej we śnie Mayi. Chwilę zastanawiał się, czy ją obudzić, czy nie. Postanowił nie budzić. Dziewczyna traciła humor, jeśli wrywało się ją nagle ze snu. Senne marzenia były dla niej jakby uzupełnieniem życia na jawie, które traktowała jako zjawisko uwarunkowane koniecznością istnienia. Przyjmowała nawet z uśmiechem monotoność pracy, polegającej na powtarzanych codziennie w podobnych do siebie jak krople wody czynnościach. Życie ludzkie na Żółtej Planecie było bowiem zaprogramowane według ustalonych przez technokratyczny ustrój kanonów. Wyznaczały one jednostce ściśle określone zadania, za których wykonanie otrzymywała niezbędne środki do życia, a więc żywność, mieszkanie wyposażone w meble, robota, aerostat, którym mogła udawać się do pracy, na wycieczkę, odwiedzać swych krewnych lub znajomych. Ludzie na Żółtej Planecie nie oddalali się zbyt od miejsca swej pracy, gdyż każde spóźnienie było surowo karane. Oczywiście obywatel Żółtej Planety mógł oglądać program telewizyjny albo zażywając pastylki boa-boa śnić senne rojenia. Maya wolała pastylki niż telewizję, w której pokazywano eksperymenty naukowe i nowe rozwiązania techniczne. Sen był dla niej ucieczką od życia pełnego komputerów i różnego rodzaju sztucznych mózgow. Przytłaczał ten świat połyskujący szkłem, metalem i wykładziną z zimnego marmuru, świat, w którym praca ludzka była nieustannie kontrolowana przez czujniki, a ludzie zamieniali tylko zdawkowe słowa i obojętnie patrzyli sobie w oczy. Tay pięknych snów nie miał. Jeśli nawiedzały go marzenia senne, to jawiły mu się one pod postacią dziwnych, napływających z ciemnej głębi kosmicznej stworów. Krążyły te stwory nad jego głową, padały na piersi i dusiły. Budził się wtedy z krzykiem i pozostając pod wrażeniem snu machał ramionami. Tay także zażywał przed snem pastylki boa-boa, ale one w niewielkim stopniu wpływały na treść sennych majaczeń.

Tay włącza stopą aparacik sterujący i niewielki, owalny barek przysuwa się bezgłośnie do fotela, w którym usiadł. Z wnętrza barku wyciąga kryształową, ozdobioną srebrem karafkę i nalewa do szklanki musującego płynu. Znowu naciska jeden z guzików sterownika. Wmontowane w ścianę pokoju drzwiczki rozsuwają się i we wnęce ukazuje się ekran telewizora. Na dawany jest właśnie przegląd prasy porannej. Na ekranie przesuwają się teksty komunikatów prasowych. Tay czyta je bez specjalnego zainteresowania. Nagle dłoń, w której trzymał szklankę z napojem, zawisła w powietrzu. To, co czytał teraz, poruszyło go do najwyższego stopnia. „Jak podaje Agencja Kosmos - głosił komunikat - obserwatorium przestrzeni kosmicznej w prowincji Rat zarejestrowało o godzinie zero czterdzieści dwukrotny przelot nie zidentyfikowanego obiektu. Obiekt ten, lecąc na dużej wysokości z kierunku północnego, znalazł się w sferze przyciągania naszej planety, ale po dwóch okrążeniach zniknął w przestrzeni. Z kosmodromu Alfa wysłano za nim dwa nasze pojazdy typu Gwiazda-2, które nie osiągnęły celu, gdyż zbyt późno wystartowały. Wobec winnych

tego zaniedbania wyciągnięte zostaną konsekwencje. Z fotografii wynika, że nie był to meteoryt, a pojazd skonstruowany przez istoty rozumne”. Tay, zaszokowany wiadomością, postawił tak nieuważnie szklankę na stoliku, że zachwiała się i upadła na podłogę. Ostry dźwięk tłuczonego szkła obudził Mayę. Przez matową szybę drzwi Tay widział ciemny zarys jej szczupłej sylwetki. Maya, ubrana w przezroczystą, luźną szatę, poprawiła swe długie, opadające poniżej ramion włosy. Na widok Taya nie okazała zdziwienia. Uśmiechnęła się ciepłym, trochę jakby dziecięcym uśmiechem. Tay chciał coś powiedzieć, ale ona odezwała się pierwsza:

- Wiedziałam, że przyjdiesz. Widziałam cię we śnie. Miałam przykry sen. - Twarz jej spoważniała. - Coś się stało, prawda?

Podeszła do niego i objęła go za szyję. Tay pocałował ją w policzek.

- Tak, Maya - powiedział. - Stało się coś niebywałego.

Patrzyła na niego w niemym oczekiwaniu,

- Proszę, przeczytaj.

Podał jej sztywny, powleczony srebrzystą folią kartonik, na którym ostro odcinał się czarny druk. Kiedy brała do ręki kartonik, palce jej drżały. W miarę jak czytała, w oczach jej można było dostrzec rosnące zdumienie. Gdy przeczytała tekst po raz drugi, zawołała:

- To jednak oni są. Gdzieś we wszechświecie są podobne do nas inteligentne istoty i ty, Tay, dowiedziałeś się o tym pierwszy. - Nagle zapytała: - Przekazałeś meldunek Radzie Mózgów?

- Sądzisz, że mógłbym tego nie zrobić?

- Nie, ale... - w głosie Mayi czuło się wahanie - mam obawy... Jeśli oni zechcą...

- Mam podobne obawy - odparł. - I dlatego przyszedłem do ciebie, abyśmy się zastanowili, co robić dalej.

- Dwa niezwyklej wagi fakty wydarzyły się dzisiejszej nocy - powiedział Tay, po dłuższej chwili milczenia. - Depesza i zaobserwowany przez obserwatorium przelot nie zidentyfikowanego obiektu. Źle się stało, że nasze statki nie przechwyciły go. Rozwiązałoby to wiele spraw. Otrzymaliśmy depesze z planety, której mieszkańcy potrzebują pomocy. Wysyłając wiadomość istoty rozumne określiły swe położenie według najbliższych im układów gwiazdnych. Ale takich i podobnych układów są w przestrzeni kosmicznej tysiące. Tysiące układających się w figury geometryczne gwiazd. Gdzie szukać trzeciej planety w układzie Czerwonego Warkocza? Sądzę, że z powierzchni naszej planety układ ten nie przedstawia ani trapezu, ani trójkąta. Najtrudniejszą więc sprawą będzie ustalenie położenia planety.

Maya zapytała głosem świadczącym o jej silnym podnieceniu:

- Sądzisz, że Trust Mózgów nie ustali położenia planety?

- Na ile znam się na tym, jest to możliwe, ale niezwykle trudne.

- Myślę, że oni teraz to robią. - Powiedziała to z takim przekonaniem, że Tay zdziwił się.

- Nie podzielam twojej pewności, ale załóżmy, że tak. Czy oznacza to, że problem został rozwiązany? Być może, że planeta układu Czerwonego Warkocza odległa jest od nas o kilkanaście lat świetlnych. W takim przypadku jesteśmy bezradni. Nasze pojazdy pokonywać mogą odległość do czterech lat świetlnych.

- Widzę, że jednak bierzesz pod uwagę to, że Rada Trustu może wysłać zamiast szczepionki pojazdy inwazyjne?

- Oczywiście.

- Gdyby coś takiego nastąpiło, to jaki przewidujesz finał?

Tay uśmiechnął się.

- Są trzy możliwości. Po pierwsze: ci, którzy wysłali depeszę, nie ukrywają, że posiadają pojazdy kosmiczne bliskiego zasięgu. Oznacza to, że ich cywilizacja techniczna jest podobna do tej, którą myśmy mieli jakieś trzysta lat temu. A jeśli tak, to obserwują kosmos i posiadają sterowane rakiety atomowe. Mogą więc odkryć nasze pojazdy na dużych odległościach i zniszczyć je, zanim użyją one agregatów cichej śmierci lub promieni let.

Druża możliwość to zorganizowana przez Trust inwazja. Jej skutki byłyby dla istot z nieznaney planety katastrofalne. Jestem pewien, że rozprawiono by się z nimi podobnie jak z mieszkańcami planety Hez. Opornych wymordować, a nie stawiającym oporu wszczepić odpowiedni kod genetyczny. Rada Trustu wyznaczyłaby na zarządcę planety swego namiestnika i za pomocą eksperymentów biologicznych stworzyłaby państwo, będące poligonem doświadczalnym. Trzecia możliwość, najbardziej według mnie prawdopodobna, to po prostu niedotarcie do celu naszych pojazdów. W przestrzeni kosmicznej istnieje prawdopodobieństwo zbłądzenia. Mamy, jak sama wiesz, przykre w tym względzie doświadczenia.

Maya skinęła głową.

- Tak. Może jednak nasze obawy są wyolbrzymione. Może Rada Trustu rzeczywiście wyśle szczepionkę?

- Jesteś niepoprawną optymistką. Nie, Trust Mózgów nie cofnie się przed niczym w realizacji swoich dalekosiężnych planów. Podejrzewam, że zarówno Ky jak i pozostali członkowie Rady wyzbyli się już ludzkich uczuć. Podobno Ky wymienił sobie mózg. Nosi teraz sztuczny, przez siebie skonstruowany.

- Złośliwi tak twierdzą.

- A jednak po przeczytaniu depeszy nie miałaś wątpliwości co do celów Trustu Mózgów. Zbyt dużo mamy smutnych, ciągle jeszcze żywych wspomnień. Trzeba to sobie powiedzieć wprost: rządzą nami szaleńcy, opętani mityczną ideą Butu, bóstwa, którego absurdalną filozofię uczynili dogmatem. Uważają się za wybrańców. Są przekonani, że ich powinnością jest zawładnąć wszystkimi planetami, na których istnieją istoty rozumne.

Maya obejrzała się z przestachem w oczach.

- Cicho! Jeszcze ktoś usłyszy i będziemy mieli kłopoty.

- Boisz się? Zawsze byłaś odważna. Co się stało?

- Ach, nie, po prostu miałam okropny sen.

- Przywiązujesz znaczenie do czegoś - powiedział Tay ze zniecierpliwieniem - co jest urojeniem, co jest wyrazem błakających się w twojej podświadomości tęsknot i nie ujawnionych pragnień. Jest to świat, który sobie stworzyłaś po to, aby uciekać od rzeczywistości, która cię przeraża. Dla mnie jednak liczą się tylko fakty zachodzące w realnym świecie, wśród realnych ludzi. A fakty są przerażające. Mimo to nie zamierzam od nich uciekać, wprost przeciwnie, chcę z nimi walczyć. Jeszcze do niedawna byłem niezdecydowany. Błąkałem się, nosiłem to w sobie i starałem się zrozumieć, czy tak musi być, czy tak być powinno. Gnębiło mnie to od śmierci ojca. Teraz zrozumiałem już, że tak wcale być nie musi.

Maya podeszła do niego i położyła ręce na jego ramionach.

- Uspokój się, Tay, jesteś zmęczony. Pojedźmy na parę godzin nad jezioro. Odzyskasz równowagę.

Tay uśmiechnął się.

- Dobra z ciebie dziewczyna - powiedział. - Gdyby nie ty, Maya...

Po chwili wrócił znowu jednak do dręczącej go sprawy.

- Czemu - mówił z przejęciem - czemu my, ludzie żyjący na Żółtej Planecie, mamy zapominać o krzywdach? W imię czego wykonywać mamy polecenia tych, którzy nic sobie z nas nie robią, którzy traktują nas na równi z robotami? Ta nasza obojętność, to ślepe posłuszeństwo wobec garstki ludzi wypranych z wszelkich uczuć jest dla mnie najbardziej przerażające. Staliśmy się bezwolnymi narzędziami i jeśli dalej będzie to trwało, może dojść do tego, że nie będziemy zdolni do żadnego działania w obronie własnej godności.

- Chciałbyś przeciwstawić się Radzie Trustu Mózgów? - powiedziała Maya z lękiem.

- A dlaczego by nie?

- To czyste szaleństwo. Wiesz, że dla nas są oni niedosięgalni.

- Powtarzasz słowa tych wszystkich, którzy wierzą w mity. To ci z Rady stworzyli wokół siebie legendę. Większość ludzi wierzy w te różne brednie, bo legenda narastała latami i oni się w niej wychowali.

Maya nie mogła opanować rosnącej w niej rozterki.

- Mówmy o czym innym. Głowa mnie rozbolała. Mówisz straszne rzeczy.

Otworzyła drzwiczki jednej z wmontowanych w ścianę szaf i wyciągnęła z niej niebieski dres. Założyła go na gołe ciało. Ciasno opinał jej smukłą sylwetkę.

- Więc jak, jedziemy nad jezioro?

Skinął głową. Może to przywróci mu równowagę. Zdawał sobie sprawę, że niewiele może. To pogłębiało w nim poczucie bezradności i osamotnienia.

Maya z niepokojem obserwowała jego stan ducha. Obawiała się, że opanowała go częsta na Żółtej Planecie choroba psychozy spekulatywnej. Zapadali na nią ludzie ogarnięci

gorączką tworzenia niezwyklej wynalazków. Uwikłani w coraz to nowe pomysły, konstruowali dziwne, praktycznie mało użyteczne maszyny. Mimo że Rada Trustu odrzucała ich projekty, ludzie ci tworzyli nowe konstrukcje, znowu odrzucane, i tak w kółko, nie zrażeni niepowodzeniem, konstruowali na nowo, aż popadli w swego rodzaju obłąd. Ale Maya pocieszała się, że Tay nie był przecież fanatykiem, nie opętała go żadna idee fixe. Buntował się przeciwko istniejącemu na Żółtej Planecie systemowi władzy, która - z pozoru kolektywna - w praktyce stanowiła najbardziej wyrafinowaną formę despotyzmu. Czuł, że powinien coś zrobić, zaprotestować w taki sposób, aby działanie było skuteczne. Na razie szukał sojuszników. Wiedział, że sam jeden nie zrobi nic. Ale kiedy zwierzył się ze swych niejasnych jeszcze planów Mayi, przyjęła to z przerażeniem. Pomyślała, że jej chłopiec uległ nie znanej jeszcze postaci psychozy.

Wyruszyli nad jezioro.

Aerostat mknął w kierunku północno-zachodnim. Słońce wisiało już wysoko nad horyzontem i zapowiadał się ciepły wiosenny dzień. Obok aerostatu przeleciał sznur długoszyich tuz. Ptaki wracały na swe żerowiska, rozległe moczary ciągnące się w pasie strefy wielkiego zimna. Tay, aby nie przecinać lotu tuzom, łagodnym łukiem ominął żywą przeszkodę. Obok nich na różnych wysokościach krążyły podobne aerostaty. Jeden, o rozmiarach większych niż pozostałe, przeleciał ukośnie w kierunku powietrznej wyspy, połyskującej w słońcu, podobnej do ogromnego cygara, najeżonego masztami anten. Stanowiła ona szczyt technicznych osiągnięć mieszkańców Żółtej Planety. Wisiała ponad białymi obłoczkami chmur, groźna, nieosiągalna. W jej wnętrzu mieścił się urząd, laboratoria i mieszkania członków Rady Trustu Mózgów. Na Błyszczącej Chmurze - tak mieszkańcy planety nazywali siedzibę Trustu - sprawowało władzę trzydziestu trzech mędrców. Reprezentowali oni najważniejsze dziedziny wiedzy. W razie śmierci jednego z nich Rada powoływała natychmiast na jego miejsce wyznaczonego przedtem kandydata. Mógł nim być uczonec, który opracował przynajmniej trzy wynalazki mające zasadnicze znaczenie dla mieszkańców Żółtej Planety. Ponadto kandydat musiał wykazać się znajomością wielu zagadnień związanych z kosmosem. W ciągu ostatnich kilku lat zainteresowanie podrózkami kosmicznymi dalekiego zasięgu wzrosło do tego stopnia, że praktycznie nie było człowieka, który nie byłby związany bezpośrednio lub pośrednio z ogromnym przemysłem kosmicznym. Szef Trustu, wielki Ky, ze szczególną bezwzględnością realizował ideę swojego życia. Postanowił podporządkować sobie cywilizacje innych układów gwiazdnych. Jak dotąd, było to nierealne. Dopiero dzisiaj w nocy...

Pograżony w zadumie, Tay odruchowo manewruje sterami aerostatu. Pojazd minął właśnie ostatnie zgrupowanie wieżowców. W dole ciągnęła się brunatna równina, porośnięta zielonymi, o fioletowym odcieniu drzewami posta. W dali majaczyła urozmaicona skalnymi

rumowiskami linia brzegu jeziora. Kiedy nadlecieli nad wodę, Maya wskazała jedną z licznych wysepek.

- Patrz, Tay, tam w prawo od zatoki Trójkąta jest wysepka, na której jeszcze nie byliśmy. Rośnie na niej kępa drzew, z czego można wnioskować, że gnieźdzą się tam kazeje.

Dawno już nie słyszałam ich śpiewu.

Tay spojrział na nią z uśmiechem.

- Czyżby nie wystarczyły ci ich trele, przy których zasypiasz?

Maya zachnęła się.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nie gniewaj się, Maya. Wiem, że kochasz przyrodę w jej naturalnej postaci. Ale o to coraz trudniej. Sztuczne struktury, naśladowujące naturę, wypierają tę prawdziwą. Z roku na rok ubywa naturalnej zieleni, a z ptaków pozostał jedynie mały ptaszek kazeja. Niedługo będziemy mieli tylko sztuczne drzewa, a na nich w sztucznych gniazdach sztuczne ptaki.

Maya opuściła głowę. Twarz jej pociemniała, rysy zaostrzyły się.

- Też o tym myślę. Ale nie mam pojęcia, jak to wszystko będzie wyglądać.

- Badania biologiczne nastawione są na syntezę ciałek hezonu. Jeśli więc uda się nam otrzymać z nich produkt wyjściowy, to poprzez cytofonozę otrzymamy żywe komórki dowolnego ciała. Potem wystarczy wszczepić w nie kod profesora Muta i produkować będziemy sztuczne zwierzęta, a nawet ludzi. Sądzę, że za dwa, trzy lata problem zostanie rozwiązany.

- No właśnie, i co dalej?

- Czy ja wiem? Może ci sztuczni ludzie okażą się mądrzejsi? Może wytepią nas i będą budować nową, doskonalszą cywilizację? Nie wiem, jak to wszystko się ułoży. Jak wykorzystamy możliwości, to już zależeć będzie od nas samych.

Tay ściągnął stery. Aerostat łagodnie osiadł na płaskiej półce skalnej. Wysiedli.

Otaczało ich rumowisko brunatnych skał, skąpo porośłych szorstką trawą. Ale zachodni brzeg wysepki zielenił się kępą drzew ostro kontrastujących ze skalnym otoczeniem. Maya zaproponowała, aby obejrzeć wysepkę. Wspięli się na najwyższy pagórek, skąd roztaczał się widok na całe niemal jezioro. Północny, daleki brzeg przesłonięty był lekką, prześwietloną słonecznym blaskiem mgłą. Ze wschodu i południa otaczał jezioro stromy brzeg pełen zatok i skalnych nawisów. Dalej, na tle ciemnobłękitnego masywu górskiego, połyskiwały szkłem górne piętra budynków miasta Zuver. Słaby wietrzyk ledwie marszczył powierzchnię jeziora. Słychać było daleki warkot motorówki i krzyk kołujących nad wodą szaropiórych ptaków. Maya nie zwracała uwagi na daleki pejzaż, szła, pochylona, wypatrując między kamieniami owadów. Kiedy zbliżyli się do kępy drzew, Maya dostrzegła niewielki kopczyk, w pobliżu którego uwijały się czerwone zuczki. Usiedli w cieniu rachitycznych drzew iglastych sail. Wydawały one intensywny zapach i były ulubionym siedliskiem kazei. Ale ptaszków nie

było. Za to na pochyłym pniu wylegiwał się żółto-zielony jaszczur paba. Jego obecność wyjaśniała brak ptasich gniazd. Paba, gad, wszystkożerny, szczególnie lubił ptaki. Jego niesamowite ślepia paraliżowały jakby ofiarę. Bez trudu wylapywał więc ptaki i małe gryzonie. Na widok ludzi skurczył się, ale nie uciekł. Trwał bez ruchu łypiąc swym fosforyzującym wzrokiem. Gdy ludzie oddalali się, paba znowu rozpościerał swój łuskowaty odwłok.

Tay napełnił powietrzem gumowy ponton i rzucił go na wodę. Maya ściągnęła dres i naga weszła do płytkiej wody. Ale dno pokryte było ostrymi kamieniami, które boleśnie raniły stopy. Usiadła więc na pontonie i zagarniając wodę dłońmi odpłynęła kilkanaście metrów. Tay siedział na porośniętej trawą skarpie. Widział, jak Maya wstaje, rozluźnia mięśnie i skacze do wody. Z dumą stwierdził, że jego dziewczyna mimo delikatnej budowy ciała jest silna i odporna na zimno. Po pewnym czasie poczuł potrzebę snu. Wyciągnął się i podłożył ramię pod głowę. Słoneczne ciepło przenikało ciało, wywołując błogie uczucie odprężenia. Zasnął. Obudziło go gwałtowne potrząsanie. Nad nim pochylała się uśmiechnięta Maya.

- Wiedziałam, że tak będzie - powiedziała. - Zawsze zasypiasz po dyżurze.

Tay wstał otrzepując skafander.

- To prawda. Ale mnie dopiero teraz zachciało się na dobre spać.

- Nie ma mowy. Pośpieszmy się. Za trzydzieści minut muszę być w laboratorium.

Dopiero po upływie kilku dni dowiedział się Tay o zamiarach Rady Trustu Mózgów.

Poinformował go o tym jego przyjaciel Szut, który pełnił w kosmodromie funkcję szefa Centrum Łączności Dalekiego Zasięgu. Szut, zaznajomiony przez Taya z treścią depeszy, prowadził, kiedy to tylko było możliwe, podsłuch radiowy. Znając częstotliwość fal, na jakich pracowała radiofonia „powietrznej wyspy”, mógł z łatwością włączać jeden z potężnych odbiorników centrali bez obawy, że czujniki kontrolujące długość fali i selektywność zasygnalizują nowe źródło odbioru. Szut włączał się oczywiście tylko wtedy, kiedy w pomieszczeniach centrali nie było nikogo i mógł uruchomić aparaty nagrywające. Gdy znał już zamiary Rady, przekazał wiadomość Tayowi. Spotkali się w sali posiłkowej kosmodromu, gdzie mogli swobodnie porozmawiać.

- Już mają plan działania - oznajmił Szut. - Postanowili wysłać na planetę określoną znakiem Te-3 depeszę, w której obok potwierdzenia odbioru zapewniają nieznaną istotę, że zrobią wszystko, aby wysłać im niezbędną pomoc. Niech więc istoty z planety Te-3 oczekują przybycia statków kosmicznych. Powinni przygotować odpowiednie miejsce do ich lądowania, a przede wszystkim oznaczyć je trójkątami silnych reflektorów. W telegramie zaznaczono również, że po wylądowaniu naszych pojazdów mieszkańcy planety Te-3 powinni używać przywiezioną im szczepionkę według wskazówek doręczycieli. Oczekuje się, że wysłannicy otoczeni zostaną należyłą opieką, zaufaniem i szacunkiem, a przede wszystkim

będą mieli w pełni zapewnione bezpieczeństwo osobiste. Taka mniej więcej była treść nadanej dzisiaj rano depechy. Zaszifrowano ją według znaków używanych przez istoty z Te-3, co niewątpliwie wprowadzi tamtych w zdumienie i podziw. - Szut nalał z syfonu szklanę różowego płynu, wypił łyk i ciągnął dalej: - Sprytnie pomyślane. Nasi wysłannicy nie muszą używać broni masowej zagłady. Po prostu rozdadzą pastylki z preparatem Wu i przypilnują, aby każdy z tamtejszych ludzi zażył je. Po sześciu godzinach uzyskany zostanie nowy, jakościowo różny materiał osobniczy. Nic prostszego.

Tay nie podzielał poglądu Szuta. Uważał, że istoty z planety Te-3 są na tyle inteligentne, że nie zechcą pierwsze wypić podarowanego im przez nieznaną przybyszów leku. Zażądamy, aby w pierwszym uczynił to ktoś z naszych ludzi. Co wtedy? Szut uśmiechnął się.

- I to wzięto pod uwagę. Na pokładzie jednego z naszych statków będzie dwóch niewolnych z planety Hez. Ci będą rozdawać środek i od czasu do czasu, właśnie dla zachęty, sami połykać będą po pastylce. Im już nic nie grozi, więc...

Tay ciągle nie był przekonany. Uważał, że nieznaną istotą nie są aż tak naiwne, aby dobrowolnie pozwoliły się obezwładnić.

- Sądzę, że nie poddadzą się bez walki - stwierdził.

- I ja tak myślę - zgodził się Szut. - Ale co im to da? Nie dysponują takimi środkami, które mogłyby skutecznie przeciwdziałać cichej śmierci.

Tay mruknął ponuro:

- Więc co robić? Co robić, aby nie dopuścić do zagłady nie znanych nam, a przypuszczalnie podobnych do nas istot, które w najlepszej wierze zwróciły się do nas o pomoc?

Szut pokiwał smutnie głową.

- Nie wiem. Wiem, że powinniśmy przeciwdziałać. Ale jak to robić, nie wiem. Trust Mózgów jest tak potężny...

Tay zerwał się z krzesła i nachylając się nad stolikiem przybliżył swą twarz do twarzy przyjaciela.

- Przynajmniej ty nie powtarzaj tych bzdur. Kilkunastu szaleńców stworzyło wokół siebie mit, który my sami ubarwiliśmy, aż w końcu uwierzyliśmy, że starzec z chmur to istota niedosiężna, wszechmocna. A przecież tak nie jest i ty o tym wiesz najlepiej.

Twarz Szuta w gniewie pokryła się zmarszczkami.

- Nie musisz krzyknąć. Wiem, co mówię, i ty myślisz podobnie jak ja, tylko nie chcesz przyznać się do tego. Jeśli mamy oceniać rzeczywistość taką, jaka ona jest, to musimy przyznać, że Trust jest potężny. Czy wiesz, co zrobiono z namiestnikiem kosmodromu w prowincji Fu?

Tay milczał. Na jego twarzy widać było zakłopotanie.

- Więc powiem ci - ciągnął Szut. - Za to, że pojazdy, którymi zarządzał, nie przechwyciły nie zidentyfikowanego obiektu, który trzy dni temu okrążył dwa razy naszą planetę, otrzymał wyrok skazujący go na dożywotnie ciężkie roboty w kopalni rud. Ale udało mu się zbiec statkiem dalekiego zasięgu. Wydawać by się mogło, że ucieczka ma wszelkie szanse powodzenia. Tymczasem pojazd nie zdążył jeszcze rozwinąć maksymalnej prędkości, kiedy na wysokości stu kilometrów pojawił się satelita-strażnik. Wystarczyła jedna rakietka. Czy namiestnik, planując ucieczkę, zapomniał o satelitach, czy też sądził, że uda mu się niespostrzeżenie przemknąć przez sieć obserwacji, nie wiadomo. Podobno nim wystartował, wyłączył wszystkie urządzenia rejestrujące loty. Okazało się jednak, że to nie wystarczyło, aby wyeliminować kontrolę satelitarną.

Na Tayu opowiadanie Szuta nie zrobiło wrażenia. Znał wiele innych przykładów świadczących o bezwzględności i okrucieństwie Rady Trustu. Wiedział również, że system kontroli powietrznej doprowadzony jest do perfekcji i że wszystkie jego nitki połączone są z Centrum Informacji i Kontroli Nawigacji Powietrznej, mieszczącej się w napowietrznej siedzibie Trustu, Aby oderwać się od planety i osiągnąć bezpieczną odległość, należałoby unieruchomić przynajmniej na kilkanaście minut Centrum Informacji i Kontroli. Pod tym względem Szut miał niewątpliwie rację. Tak, Trust Mózgów był potężny, bo rozporządzał systemem różnorodnych urządzeń podsłuchowo-sygnalizacyjnych rozmieszczonych w strefie napowietrznej Żółtej Planety. Działały one niezależnie od siebie i w praktyce nie tyle uzupełniały się wzajemnie, co kontrolowały efektywność pracy poszczególnych zespołów. Ale w tym wypadku nie o to chodziło. Tay powiedział więc głosem ściszym, jakby chciał złagodzić swój poprzedni wybuch.

- Rozumiem cię, Szut. To prawda, oni są potężni. Ale nie może to nas powstrzymać od działania. I dlatego albo weźmiesz udział w udaremnieniu inwazji na planetę Te-3, albo będę musiał szukać innych sprzymierzeńców.

- To szaleństwo, Tay - powiedział Szut. - Kilku ludzi nie zwycięży w walce z Trustem.

- Jeśli tak uważasz, to nie ma o czym mówić. Zapomnijmy o naszych rozmowach, o naszym marzeniu, aby ten przeklęty świat mózgów i komputerów stał się znowu ludzki.

- Nie, Tay, tego się nie wyrzeknę, ale...

- Więc decyduj się!

Szut spoglądał chwilę w oczy przyjaciela, jakby chciał znaleźć w nich potwierdzenie wypowiedzianych przed chwilą słów. Musiał je znaleźć, bo powiedział:

- Dobrze, zgadzam się. I co dalej?

- Właśnie, co dalej. Sądzę, że oprócz nas i Mayi potrzeba jeszcze kilku osób.

- Ja też tak myślę - odparł Szut, po czym wstał. - Na mnie już czas.

Ale nim się rozstali, Szut szepnął:

- Musimy mieć kogoś, kto pracuje w napowietrznej wyspie. Inaczej nie wyobrażam sobie, aby się mogło udać.

Tay klepnął przyjaciela po ramieniu

- Cały czas o tym myślę.

W drodze do pracowni Tay natknął się na konstruktora Urga. Był to starszy mężczyzna, który swego czasu przyjaźnił się z ojcem Taya. Uradował się ze spotkania.

- Nareszcie cię widzę, mój chłopcze. Czy to ładnie unikać starych znajomych? Czemu nas nie odwiedzasz? Gniewasz się na mnie? A może na Tukę?

Tay bąkał coś na usprawiedliwienie. Ale konstruktor nie pozwolił mu na żadne wyjaśnienia.

- Dobrze już, dobrze, nie musisz się tłumaczyć. Daj tylko słowo, że nas jutro po południu odwiedzisz. Zgoda?

Tay przyjął zaproszenie z radością. Ale dopiero kiedy się rozstali, uświadomił sobie, że Urg jest doradcą Trustu Mózgów w sprawach dotyczących konstrukcji pojazdów dalekiego zasięgu, a jego córka Tuka asystentką członka Rady, profesora Gebe. To prawda, że Tay unikał odwiedzin w domu konstruktora. Nie znosił córki Urga, zarozumiałej, o wybujałych aspiracjach pannicy, z którą pokłócił się podczas ostatnich odwiedzin u Urga. Było to cztery lata temu, w kilkanaście dni po śmierci ojca. Tay mógł wybaczyć Tuce jej trudny charakter. Nie mógł jednak pogodzić się z reprezentowanym przez nią poglądem na okoliczności, które doprowadziły do śmierci jego ojca. Według Tuki ojciec Taya złożył swe życie w ofierze idei wielkiej i wzniosłej, idei, która wymaga ofiar, i Tay powinien być dumny, że miał takiego ojca. Jego nazwisko uwidoczniło w srebrnej księdze zasłużonych, która leży na specjalnym piedestale w kancelarii Rady Trustu Mózgów. Ta dwudziestoczteroletnia dziewczyna, absolwentka wydziału Badań Ciał Kosmicznych, powiedziała to głosem wykluczającym wszelką dyskusję. Jeszcze dzisiaj słyszy ten buńczuczny, pewny siebie, nie znoszący sprzeciwu głos. Tay pamięta, jak słuchał jej słów, oniemiały z wrażenia. Opuścił mieszkanie Urga z postanowieniem, że nigdy więcej tam jego noga nie postanie. Ale od tego czasu minęły cztery lata, a Tay, i to było w tej chwili najważniejsze, szukał kogoś, kto miałby bezpośrednie kontakty z Trustem Mózgów. Wznowienie znajomości z rodziną konstruktora stwarzało pewną szansę. Nie wolno było jej zaprzepaścić.

Kiedy wrócił do pracy i sprawdził radiogramy zapisu graficznego, ogarnęło go zdumienie. Na pasku lśniącej folii widniały dziwne, równomiernie rozłożone znaki. Tay z doświadczenia wiedział, że tego rodzaju zapis świadczy o przelocie nad Złotą Planetą nie znanego ciała kosmicznego. Wykres był o tyle znamienity, że przedstawiał ciało o idealnie zarysowanej elipsie, zarówno w przekroju podłużnym, jak i poprzecznym. Nie był to meteoryt. A więc co? Tay, podniecony, włączył wszystkie będące w jego dyspozycji aparaty wizji i nasłuchu. Ale w tej właśnie chwili w głośniku zabrzmiał ostry dźwięk syreny

alarmowej i równocześnie z nim zapłonęły światła. Kilkadziesiąt potężnych reflektorów oświetlało kosmodrom jaskrawym światłem. Tay przywarł ciałem do szklanej ściany. Z wysokości piętnastego piętra doskonale mógł obserwować to, co działo się na placu startowym kosmodromu. Widział, jak rozsuwają się stalowe wrota podziemnych hangarów i jak wynurzają się z ich wnętrza srebrzyste cielska pojazdów dalekiego zasięgu - typu Gwiazda-2. Pod każdy pojazd podjeżdżał ruchomy pomost startowy. Ogromne łapy magnetycznych dźwigów opasywały kadłuby pojazdów, wykonując nimi półkoliste obroty, by osadzić je na potężnych pierścieniach wyrzutni. Wszystko to nie trwało dłużej niż pięć minut. Kiedy pojazdy były już przygotowane, w głośniku zachrypiało i Tay usłyszał głos szefa Ky:

- Oznajmiam, że w górnym pierścieniu powietrznym naszej planety znalazło się nie zidentyfikowane ciało będące tworem istot rozumnych. Ciało to krąży z dużą prędkością wokół Żółtej Planety po elipsie o promieniach trzy i czterdzieści sześć setnych i trzy i siedemdziesiąt sześć setnych rt. Nie zidentyfikowany obiekt nie odpowiada na nasze sygnały radiowe. Można więc uważać, że przybył on do nas z wrogimi zamiarami. Dlatego polecam: przechwycić nie znany obiekt, a gdyby okazało się to niemożliwe, zniszczyć. Personel naziemny kosmodromu pozostanie na swych stanowiskach aż do odwołania alarmu. Będzie on wspomagał nasze pojazdy w prowadzonej przez nie operacji. Skończyłem.

Ledwie przebrzmiał skrzypiący, beznamiętny głos, gdy rozległ się narastający grzmot startujących statków. Chwilę stały jeszcze na uwięzi, a gdy huk silników przeszedł w jednostajne dudnienie, uniosły się i z narastającą prędkością pomknęły w przestrzeń. Już po kilkunastu sekundach Tay stracił je z oczu. Podeszedł więc do teleskopu i manipulując odpowiednimi mechanizmami ustalił pole widzenia. Teraz, operując okularami, mógł śledzić lot pojazdów. Widział, jak na wysokości 3,70 rt rozproszyły się zataczając wielkie łuki i jak wytracając prędkość ustawiły się w szyku na przewidzianej drodze przelotu nie znanego obiektu. Znowu zachrypiał głośnik. Z centrum nawigacji i łączności kosmicznej podawano informacje o zbliżającym się z ogromną prędkością nie znanym obiekcie. Na rozkaz z powierzchni Gwiazdy pojazdy zmieniły szyk. Ustawiły się na wyznaczonym kursie powyżej orbity lotu obiektu. W głośniku rozległ się głos, drżący z podniecenia:

- Uwaga! Kulisty przedmiot zbliża się, jest tylko dwa rt w linii prostej od was. Uwaga! Teraz i Tay widział małą, połyskującą srebrną kulę. Mogła mieć około dwóch i pół metra średnicy i najeżona była czymś, co przypominało anteny. Tay nie miał wątpliwości, kulisty obiekt był dziełem istot o rozwiniętej cywilizacji technicznej. Pojazdy przepuściły pędzącą kulę, by nagle z trzech stron ruszyć na nią z maksymalną prędkością. Tay znieruchomiał z wrażenia. Bez trudu dościgały obiekt, zwłaszcza pojazd środkowy. I oto

kiedy z jego wnętrza wysunęły się potężne łapy, kiedy wydawało się już pewne, że operacja zakończy się sukcesem, coś błysnęło seledynowym światłem i Tay z przerażeniem stwierdził, że w polu widzenia teleskopu nie ma nic prócz małego, zanikającego obłoczka. Próżno kręcił obiektywem teleskopu. Biały, świecący obłoczek rozszerzył się nieco, przybrał kształt wydłużonej elipsy i znikł. Najmniejszego śladu po gwiazdach i nie zidentyfikowanej kuli. Z przejścia Tay opadł na fotel. Z głośnika dochodziły go gorączkowe strzępki rozmów, jakieś stłumione okrzyki. I nagle cisza. Wszystko to, co działo się w ciągu tych kilkunastu minut, wchłonęła w siebie dzwoniąca w uszach cisza. Było w niej coś wielkiego, coś, co łączyło ten wypełniony zmaganiem ludzkim świat z nieprzeniknioną pustką przestrzeni, której jedynym objawem jest wielka cisza. Takie właśnie wrażenie odnosił Tay, kiedy siedział zagłębiany w ruchomym fotelu i nieprzerwanie patrzył w okular teleskopu. Wydawało mu się rzeczą absurdalną, aby nagle pojazdy mogły zamienić się w obłok, który rozwiął się w nicłość. Tylko czułe aparaty akustyczno-optyczne zarejestrowały błysk i lekki jak muśnięcie nacisk górnych warstw atmosfery. Z doświadczenia Tay wiedział, że wybuchy nuklearne na takich wysokościach nie wywołują - z wyjątkiem opadów radioaktywnych - żadnych ubocznych skutków. Czyżby tajemniczy obiekt miał na swym pokładzie głowicę nuklearną? Jeśli tak, to jakiego rodzaju atomy uległy rozpadowi? Zabarwienie płomienia wybuchu było seledynowe, a więc występujący w reakcji pierwiastek nie był żadnym - ze znanych na Żółtej Planecie pierwiastków. Ale czemu inteligentne istoty zaopatrywałyby swój pojazd w ładunek termojądrowy? Czyżby jego załoga nie chciała się dostać w ręce istot zamieszkałych na planecie innego układu gwiazdowego? Tay miał poważne wątpliwości, czy tego rodzaju pojazd był pilotowany. Konstrukcja pojazdu wskazywałaby na to, że jest to sonda kosmiczna. Podobne sondy wysyłano również z Żółtej Planety. Wysyłano je dwieście lat temu, kiedy wiedza o pojazdach kosmicznych dalekiego zasięgu była jeszcze w powijakach. Ale jeśli była to bląkająca się w przestrzeni kosmicznej sonda, to czemu wybuchła? Na pytanie to trudno Tayowi znaleźć odpowiedź. Czy w ogóle ktokolwiek wyjaśni to dziwne, nie spotykane dotąd zjawisko? Niewątpliwie Trust Mózgów użyje całej swej potężnej techniki, aby rozwiązać zagadkowe wydarzenie. Zniszczone przecież zostały trzy pojazdy dalekiego zasięgu, a co najważniejsze, nie osiągnięto zamierzonego celu. Nad tym faktem o doniosłym znaczeniu Trust nie przejdzie obojętnie. Ky prawdopodobnie szaleje ze złości, zwłaszcza że to on kierował akcją. Myśląc o tym Tay uśmiecha się. Satysfakcję daje mu świadomość, że przekonany o swojej nieograniczonej potędze szef Trustu Mózgów doznał porażki. Ale jednocześnie w umyśle Taya budzą się refleksje wybiegające poza incydent, którego był świadkiem. Jeśli bowiem założyć, że w nie zidentyfikowanym pojeździe znajdował się ładunek nuklearny, to istotom, które go wysłały, musiało zależeć, aby nie dostał się on w ręce

tych, którzy znajdowali się na wysokim szczeblu rozwoju technicznego. Oznaczać by to mogło, że kulisty obiekt zawierał w sobie coś, co istoty, które go wysłały, pragnęły zachować dla siebie. Z tych względów umieściły one wewnątrz sondy ładunek, którego bezpiecznik reagował na bezpośrednie zagrożenie. Co mogła zawierać tajemnicza sonda, która cztery dni temu pojawiła się nad Żółtą Planetą i po dwóch okrążeniach zniknęła, by znowu pojawić się na podobnej wysokości? Może zagadkowy obiekt spełniał rolę kosmicznego szpiega? Może zadaniem jego było dokonanie zdjęć Żółtej Planety i dostarczenie ich istotom, które zamierzają dokonać najazdu? Jeśli Trust Mózgów chce przeprowadzić inwazję na planetę oddaloną o około trzy lata prędkości światła, to czemu jakaś inna cywilizacja nie mogłaby żywić podobnych zamiarów wobec Żółtej Planety? Logiczne i prawdopodobne. A jeśli tak... Nie, nie! Tay dochodzi do wniosku, że w jego rozumowaniu tkwi podstawowy błąd. Bo jeśli to była sonda, to nie może ona latać dowolnie. Odlatywać, wracać, Coś tu się nie zgadza. Tay bezradnym gestem pociera czoło. Nie przypuszczał, że wydarzenie, którego była świadkiem, poruszy go aż tak bardzo. Czy ma ono związek z odebraną przez niego depeszą? Kiedy u Mayi dowiedział się z porannego dziennika o tajemniczym obiekcie, był przekonany, że to właśnie stamtąd została nadana kosmiczna depesza. Ale gdyby tak było, to okrążając Żółtą Planetę obiekt nadawałby nieustannie ten sam nagrany na taśmie tekst. Tymczasem nie wydarzyło się nic takiego i Taya dziwił niezwykle zbieg okoliczności. Czy był to przypadek, czy też celowe działanie? Tay chciałby coś przedsięwziąć, a czuje się bezradny. Chciałby przeciwstawić się szaleńczym planom Trustu Mózgów, ale dręczy go podejrzenie, że w grę wchodzi nieprzewidziane działanie jakiejś innej, nie znanej, ale potężnej cywilizacji. Włącza monitor. Do końca dyżuru pozostały mu dwie godziny. Chciałby je spożytkować na ustalenie położenia planety Te-3 z układu gwiazdowego Czerwonego Warkocza. Przed spotkaniem Szut przekazał mu współrzędne, jakimi dysponował Trust. Posługując się nimi nie będzie miał większych trudności z odnalezieniem na kosmicznej mapie nieznanej planety.

Nazajutrz późnym popołudniem Tay wybrał się w odwiedzinach do Urga. Konstruktor zajmował obszerne pomieszczenie, na które składały się pokoje mieszkalne i pracownie. W dużym salonie obok gospodarza, jego żony i córki siedziało dwóch mężczyzn w wieku Taya. Byli to koledzy Tuki, podobnie jak ona asystenci członków Rady Trustu. Z ożywieniem rozprawiali o prowadzonych w napowietrznej wyspie pracach badawczych, leniwie popijając dertesl. Na Taya nie zwracali uwagi. Gospodarz poprosił go do swej pracowni. Był to obszerny, jasny pokój, zastawiony przyrządami modelami różnych typów pojazdów kosmicznych bliskiego i dalekiego zasięgu. Jeden z modeli wzbudził szczególne zainteresowanie Taya. Okazały, wykonany w skali jeden do dziesięciu, przedstawiał

najnowszy pojazd: Gwiazdę-3. Urg służył chętnie objaśnieniami. Oprócz danych technicznych Tają obchodziły poszczególne mechanizmy wewnątrz statku. Wszystkie urządzenia Gwiazdy-3 uruchamiane były za pomocą mózgu elektronowego, umieszczonego w kabinie do wodzenia. Rozkazy przesyłane były za pośrednictwem fal głosowych. Tego typu sterowanie było w pojeździe osiągającym prędkość światła niezbędnym warunkiem zabezpieczającym jego start, a zwłaszcza lądowanie. Tay z podziwem obserwował, jak Urg demonstruje urządzenie uniezależniające kabinę dowodzenia od ruchu statku. Kabina w kształcie kuli była jakby zawieszona na dwóch opasujących ją stalowych obręczach, wyłożonych specjalnymi rolkami. Ruchy pojazdu przejmowały pierścienie, przenosząc je na rolki. W ten sposób kabina pozostawała w stabilnej, stałej pozycji w stosunku do powierzchni planety. Wpływało to korzystnie na samopoczucie załogi. W ścianach kabiny znajdowały się pojemniki z fotelami przeznaczonymi do wypoczynku, który podczas długotrwałych lotów sprowadzał się przede wszystkim do snu. Pojemniki zapewniały odpowiednie ciśnienie i temperaturę ciała. Umieszczona w nich aparatura, działając na korę mózgową, wywoływała pewnego rodzaju stan letargu. Chodziło tu głównie o obniżenie procesów fizjologicznych organizmu, tak aby przebiegały one siedemdziesiąt razy wolniej niż normalnie. Oznaczało to, że jedna doba w pojemniku równała się siedemdziesięciu dobom normalnego życia. Zastosowane w pojemniku rozwiązania zapobiegały wystąpieniu w czasie odbywania długotrwałych lotów obłądzenia kosmicznego u członków załogi. Innym nie znanym Tayowi elementem w konstrukcji Gwiazdy-3 były zastosowane w silniku, napędzanym energią antyatomów, reaktory. Rodzaj „r” skład paliwa stanowiły tajemnicę i Urg, mimo że był konstruktorem, niewiele na ten temat mógł powiedzieć. Z danych technicznych wyciągał jedynie wnioski, że użyta w silniku energia przewyższa moc stosowanego dotąd paliwa, atomowego 9 około piętnastu razy, z czego wynikało, że pojazd może uzyskać prędkość zbliżoną do szybkości rozchodzenia się fali świetlnej. Pierwsze próby lotu przy użyciu nowego paliwa nie potwierdziły jednak teoretycznych obliczeń. Gdzieś tkwił błąd, nad rozwiązaniem którego biegała się teraz grupa fizyków.

- Jeśli chciałbyś bliżej zapoznać się z konstrukcją Gwiazdy-3 - powiedział Urg do Taya - możesz obejrzeć plany.

Tay nie skorzystał jednak z propozycji. Zależało mu raczej na rozmowie o przyjętej przez Urga depeszy. Nie bardzo jednak wiedział, jak zacząć. Dopomógł mu w tym sam Urg. Nalewając do szklanek derteslu powiedział:

- Trust Mózgów przygotowuje nową wyprawę.
 - Zapewne wiąże się ona z depeszą kosmiczną - zauważył Tay.
- Urg spojrział na niego ze zdziwieniem.
- Wiesz o tym?

Tay uśmiechnął się.

- Odbierałem tekst. Pełniłem wtedy dyżur.

- Prawda, jesteś przecież teleoperatorem nasłuchu dalekiego zasięgu. Co o tym myślisz?

- Czy ja wiem? Po prostu znam treść depechy. Ale dalej?

Tay spodziewał się, że jeśli Urg wyjawia mu tajemnicę, będzie mógł liczyć na jego pomoc.

- Powiem ci - powiedział Urg - ale zachowaj to dla siebie. Oni planują inwazję na tę planetę.

Treść relacji Urga pokrywała się z tym, co Tay usłyszał już od Szuta. Jednak uwagi końcowe były inne. Urg twierdził, że operacja ze szczepionką nie powiedzie się i że zdaniem większości członków Rady Trustu pokonanie tak wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej jest możliwe jedynie przy użyciu siły. Szef Trustu głosił wszem wobec hasło humanitarnej misji, jaką mają do spełnienia mieszkańcy Żółtej Planety, ale było wiadome, że Ky wydał już odpowiednie zalecenia, z których każde z osobna nie wydają się groźne, dopiero zestawione razem dają wyobrażenie o ogromie niebezpieczeństwa.

- Tak - mówi Tay - tego można było się spodziewać. Ale co w tej sytuacji zrobić? Czy nadal ludzie Żółtej Planety biernie obserwować będą poczynania człowieka o sztucznym mózgu? Czy nie dość krzywd wyrządził szaleńczy półrobot ze swymi trzydziestoma genialnymi starcami opętanymi obłąkańczą ideą wielkiego Butu? Jeśli dotąd wysyłał na śmierć jednostki, to robił to w imię wielkich odkryć technicznych. Ale plan zniszczenia planety, ludzi i ich kilka tysięcy lat liczącej cywilizacji to już zbrodnia, której nie wolno tolerować. - Tay mówił w uniesieniu, głosem pełnym gorzkości.

- Uspokój się, chłopcze. Zgadza się z tobą, ale cóż my możemy na to poradzić?

- Nie mam do ciebie żalu, Urg. Ale jeśli my wszyscy, ludzie ze zdrowym rozsądkiem i sumieniem, będziemy tylko ciągle biernymi obserwatorami...

- Czy masz jakiś plan?

- Nie. Ale zrobię wszystko, aby nie dopuścić do inwazji na Planetę Tenegerę.

Urg uśmiechnął się smutno.

- Samo postanowienie nie rozwiązuje sprawy - powiedział. - Ale gdyby poznać słabe strony przeciwnika, to kto wie...

Tay chwycił Urga za rękę.

- Czy mogę na ciebie liczyć, Urg?

- Oczywiście, Jeżeli tylko moja pomoc na coś się przyda.

Tay żegnał się z gospodarzem, podniesiony na duchu. Kiedy przechodził przez pustą teraz salon, podeszła do niego Tuka.

- Nie mogłam być razem z wami, bo miałam gości. Musisz mi wybaczyć.

Tay uśmiechnął się z przymusem.

- Nic się nie stało. Rozumiem.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Miała dziwny wzrok. Przenikliwy, apodyktyczny, a zarazem kokieterjny i uwodzicielski. Nie wytrzymał jej spojrzenia, uciekł wzrokiem w bok.

- Powinieneś odwiedzać nas częściej - powiedziała. - Sądzę, że mamy sobie wiele do powiedzenia. - Zwróciła się do ojca; - A ty, ojczu, co o tym myślisz?

- Zgadzam się z tobą. Tay jest naszym przyjacielem, więc tylko od niego zależy...

- Jeśli rzeczywiście potrzebne ci tak moje towarzystwo, będę was odwiedzał tak często, że stanę się postrachem.

Cała trójka roześmiała się.

Od wizyty u konstruktora minęło kilka dni. Tay spędził je w narastającym podnieceniu. Z uzyskiwanych od Szuta informacji wynikało, że próby z nowym paliwem uwieńczone zostały powodzeniem. Okoliczność ta wpłynęła na podjęcie przez Radę Trustów decyzji przyspieszającej wysłanie pojazdów dalekiego zasięgu na planetę Te-3. Szybki postęp prac przygotowawczych działał na Taya deprymująco. Prześladowała go myśl, że wiedząc o planowanej akcji robi zbyt mało, aby jej przeciwdziałać. Jego poczynania ciągle jeszcze były w sferze projektów. Rozwahał je, akceptował lub odrzucał, bo wydawały się być mało realne. Z tych różnorodnych koncepcji powoli rodził się jednak konkretny plan. Ale wszystko przeciągało się i świadom tego Tay żył w stałym napięciu. Był zły na siebie, za swą beczynność, za brak zdecydowania w przyjęciu określonego wariantu. Jego rozterka nie uchodziła uwagi Mayi. Siedzieli na tarasie get-clubu w zmierzchu wczesnego wieczoru. W głównej, rześnistej oświetlonej sali panował leniwy ruch. Przy podłużnych, wyłożonych marmurem stołach mieszane towarzystwo zabawiało się grą w sysy. Zasady gry wymagały wysokiej koncentracji uwagi i szybkiego, logicznego myślenia. Dlatego pochylając się nad elektronowym wywoływaczem twarze były skupione, pełne napięcia. Z ukrytych za boazerią głośników dolatywały stłumione dźwięki muzyki. Był to jednostajnie powtarzający się zespół dźwięków tworzących dziwaczną kakofonię niskich i wysokich tonów. Ta opracowana przez komputer muzyka miała rzekomo pomagać w grze. Siedzący przy balustradzie tarasu Tay nie zwracał uwagi na otoczenie. Błądził wzrokiem po różnobarwnej panoramie świateł, które z tarasu trzydziestego piętra przypominały mu oglądane przez teleskop rojowisko gwiazd. Gnębiła go myśl, że jest bezradny wobec zachodzących zdarzeń, że nie zrobił jeszcze nic, aby przeciwdziałać im. Maya rozumiała go i całkowicie się z nim zgadzała. Uważała, że dla sprawy, którą Tay usiłował podjąć, warto było poświęcić życie. Próbowała mu więc pomóc. Ale wszystkie jej propozycje okazywały się mało realnymi. Teraz, przerywając trwające dość długo milczenie, powiedziała nagle:

- A gdybyśmy wysłali do istot zamieszkujących Tenegerę depeszę?

Patrzyła na twarz Taya z błyskiem nadziei w oczach. Ale Tay poruszył tylko przecząco głową i powiedział:

- Rozważyłem i tę możliwość. Ale po pierwsze, urządzenia nasłuchu Trustu przechwyciłyby jej treść, a po drugie, gdyby nawet nam się to udało, wówczas ci z Te-3 mogliby źle ją zrozumieć.

- W każdym razie byłaby ona dla nich ostrzeżeniem - obstawała Maya.

- To prawda. Jeśli inteligentny człowiek otrzymuje dwie sprzeczne informacje, to albo obie odrzuca i staje się czujny, albo zakłada, że przekazują ją dwa zwalczające się obozy, co oznacza, że prawda leży gdzie indziej. Ale mnie nie o to chodzi. Chcę dostarczyć nieznanym istotom leku, o który proszą. Dzięki superkomputerowi So wiem, że w podziemiach laboratorium medycznego znajduje się potrzebna im szczepionka.

- O tej szczepionce i ja wiem. Nazywa się Opess i była używana w czasie epidemii, która dwieście lat temu zdziesiątkowała mieszkańców Żółtej Planety. Nie wiedziałam tylko, że jest przechowywana.

Tay spojrział na Mayę z uwagą.

- Komputery mają niezawodną pamięć. So wiedział, że od ponad dwustu lat leży w zamrożonych pojemnikach szczepionka. Nie mógł jednak ujawnić, jak do niej dotrzeć.

Maya prawie zawołała w podnieceniu:

- Musimy ją zdobyć. Znam człowieka, który co jakiś czas przeprowadza kontrolę magazynów medycznych. Mogłabym z nim porozmawiać. Jeśli powiem mu o naszych zamiarach, może udzieli nam pomocy.

Tay sprzeciwił się.

- Nie wolno nam powierzać naszej tajemnicy przypadkowym ludziom. Większość z nich boi się własnego cienia. Ale dobrze, powiedzmy, że uda nam się wykraść pojemnik. Co dalej?

- Jak to co? Opanujemy pojazd dalekiego zasięgu i zawieziemy szczepionkę na Tenegerę.

Tay roześmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Brawo! Trafiłaś w sedno. Ja również już od dwóch tygodni myślę, w jaki sposób opanować Gwiazdę-3, i jak dotąd nie znajduję sensownego sposobu, a tu nagle słyszę...

- Nie kij ze mnie - powiedziała z rozżaleniem.

- Ani mi w głowie. Tylko jak zdobyć coś, co jest strzeżone kilkoma rodzajami urządzeń alarmowych?

- Wyłączyć urządzenia albo po prostu zniszczyć.

- Kiedy się o tym mówi, wszystko wydaje się łatwe. Szkoda, że rzeczywistość nie jest taka.

Maya, niezrażona, nie ustępowała.

- Czy pomyślałeś o systemie starych kanałów? Słyszałam, że bardzo dawno temu, kiedy toczyły się wojny między Wschodem i Zachodem, system kanałów służył ludziom do bezpiecznego poruszania się. Można było nimi przejść z jednego krańca miasta na drugi.

Tay zdumiał się.

- Rzeczywiście. - Zerwał się z fotela i nachylając się nad stolikiem pocałował Mayę w policzek. - To jest myśl - krzyknął prawie. - Że też wcześniej na coś takiego nie wpadłem. Muszę zdobyć stare plany miasta. Sądzę, że znajdę takie, na których uwidoczniono podziemne przejścia. Być może, że niektóre z nich mają połączenia z tunelami kosmodromu. Maya była uszczęśliwiona. Kiedy Tay odprowadzał ją do domu, kilkakrotnie powtarzał, jak ją podziwia i jak jest jej wdzięczny za pomysł, który może przyczynić się do przyspieszenia realizacji ich zamierzeń.

Nazajutrz Tay zjawił się w biurze szefa Rozbudowy Przestrzennej Miasta. Czekał chwilę, bo szef prowadził telekonferencję. Kiedy nad drzwiami jego gabinetu zgasło żółte światło, Tay wszedł do obszernego, zawieszanego mapami i różnego rodzaju planszami gabinetu. Zza biurka wyszedł mu naprzeciw mężczyzna niewielkiego wzrostu o wydłużonej głowie i wyschniętej, pomarszczonej twarzy. Jego oczy krótkowidza, osłonięte przyciemnionymi szklami, zdawały się wychodzić z orbit. Wskazał Tayowi fotel i usiadł za biurkiem podpierając dłońią swą wielką, osadzoną na wątlej szyi głowę.

- Czym mogę służyć? - zapiszczał wysokim dyszkantem. I nie czekając na odpowiedź dodał: - Pewnie chciałbyś, młody człowieku, zezwolenia na budowę jednego z tych rosnących jak grzyby po deszczu małych domków jednorodzinnych. Ostatnio ciągle niepokoją mnie tacy jak ty takimi prośbami. A ja odpowiadam krótko: nie! Nikt na Żółtej Planecie nie będzie budował sobie małych pomieszczeń dla własnego użytku.

Zatrzepotał dłońmi, dając tym gestem do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Tay pokręcił przecząco głową.

Szef Rozbudowy Przestrzennej Miasta rozłóścił się.

- Wszystko przez tego przekłętą Erca. Wybudował sobie piękną willę, bo zapragnął samotności. Ale mój poprzednik dostał za swoje. Rada Trustu skazała go za to na dożywotnią ciężką pracę w fabryce szkła kwarcowego. - Zachichotał piskliwie. - Należało mu się, no nie? Tay kiwnął głową. Wiedział, że szef Rozbudowy Miasta dotknięty jest alfiwią, chorobą wywołującą zmiany w mózgu. Dlatego postanowił przyjąć odpowiednią taktykę. Zaśmiał się i uderzając się dłońią po kolanie powiedział udając rozbawienie:

- Ale go załatwili, ha, ha, dobrze mu tak.

Przez chwilę obaj zanosili się śmiechem, jeden szczerze ubawiony, że spotkało kogoś nieszczęście, drugi udający wesołość, bo wymagała tego sytuacja.

Tay powiedział w końcu:

- Ja jednak nie w tej sprawie, o której pan wspominał.

Mały człeczyna spojrział zdziwiony na Taya i powtórzył:

- Nie w tej sprawie? To po co siedzisz tutaj, chłopcze?

- Chciałem prosić o stare plany miasta. Mógłbym je sam odnaleźć w archiwum - dodał szybko widząc zaniepokojenie na twarzy szefa.

- Stare plany, mówisz?... A na Co ci one, he, powiedz no?

Tay nachylił się i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Piszę pracę naukową o prehistorii naszego miasta. Wysuwam w niej pewną tezę, którą jednak muszę udowodnić przy pomocy danych wynikających z przestrzennej zabudowy ówczesnej osady.

Szef skrzywił się i przecierając szkła swych okularów powiedział z niesmakiem:

- Co za głupiec zadaje takie tematy. Pracę naukową o praosadzie? Komu to potrzebne, kto to będzie czytał? - Znowu roześmiał się wysokim, piskliwym śmiechem. - Jak zdradzisz mi nazwisko tego profesora, to dostaniesz zezwolenie.

Tay był zaskoczony. Na poczekaniu wymyślił tę całą historyjkę, bo zorientował się, że bez wybiegu nie będzie w stanie nic załatwić. Ale w tej chwili ta niewinna bajeczka wymagała konkretnej odpowiedzi. Skoro się już zdecydował na kłamstwo, to trzeba było brnąć dalej. Powiedział więc szeptem:

- To profesor Buły.

Jakie było jego zdumienie i przerażenie zarazem, kiedy mały człowieczek wybuchnął na to śmiechem. Zanosił się rechotliwym chichotem, klaskał w dłonie i krztusząc się wykrzykiwał:

Ależ tak, to tylko kochany Buły może być takim wyjątkowym durniem... Jeszcze w okresie studiów mówiłem mu: Buły, kochany głupcze, czy nie szkoda ci tych lat. Zmarnujesz nad książkami swe najlepsze lata, a jak byłeś, tak będziesz człowiekiem nierozgarniętym...

Ale on nie słuchał mych rad. Zawziął się, no i mamy tego rezultaty. Każę pisać rozprawy naukowe na tematy nikomu na Żółtej Planecie niepotrzebne. Stary osioł!

Tay nie przewidywał takiego obrotu sprawy. Starał się początkowo przekonywać szefa, że może nie jest tak źle, ale szef nie chciał nawet tego słuchać. Tay zyskał tylko tyle, że szef obiecał do czasu napisania rzekomej rozprawy nie rozmawiać z Bułym na ten temat. W taki to sposób Tay otrzymał zezwolenie na wypożyczenie z archiwum potrzebnego mu planu. Ale mimo kilkogodzinnych poszukiwań nie mógł go odnaleźć. Zrezygnowany, bezradnie spoglądał na wielometrowe regały zavalone najróżnorodniejszą dokumentacją. Ile trzeba by czasu, aby przejrzeć to wszystko - zastanawiał się. Sprawujący kontrolę nad archiwum komputer niezmiennie wskazywał to samo miejsce: segment II, półka A. Tay po

raz któryś przetrząsnął znajdujące się tam dokumenty. Na próżno. W starych, pożółkłych pergaminach nie było tego, czego szukał. Dopiero następnego dnia, kiedy odwiedził Urga i rozmawiał z nim o swoim kłopotcie, przysłuchująca się Tuka wtrąciła:

- Ach, Tay, on na pewno tam jest, tylko trzeba go wywołać.

I wyjaśniła, że w odległych czasach nasi pradziadowie lubowali się w stosowaniu różnorodnych dziwności. Na przykład wynaleziono atrament, który po zapisie nie zostawiał na papierze widocznego śladu. Przez kilka lat wszyscy bawili się w pismo, które stawało się widoczne dopiero po zanurzeniu kartki w roztworze alkalicznym. Oczywiście dzisiaj jest to śmiesznośćka, która nawet dzieci nie zainteresuje, ale wówczas była to rewelacja i stosowano wynalazek. Tay postanowił rzecz sprawdzić. Zabrało mu to sporo czasu, ale okazało się, że Tuka miała rację. Z niepozornego rysunku wykonanego grafitem i przedstawiającego północny brzeg jeziora Ofa wyłoniły się pod działaniem roztworu kontury planu, który był poszukiwanym przez Taya szkicem. Niebieskie linie rozchodziły się z oznaczonego kółkiem punktu centralnego w czterech kierunkach. Przedstawiony był również przekrój pionowy jednego z korytarzy oraz jego wymiary. Ten właśnie rysunek upewnił Taya, że znalazł to, czego szukał. Tay naniósł szkic na współczesny plan miasta. Okazało się, że punkt, oznaczony kółkiem, znajduje się około stu metrów na wschód od głównego placu miasta Zuver, a jeden z czterech tuneli biegnie dokładnie pod kosmodromem. Stwierdzając ten fakt, Tay aż krzyknął z radości. Nareszcie miał w ręku coś, co może spowodować moment zwrotny w dążeniu do osiągnięcia celu. Zaraz jednak opadły go wątpliwości. Z rysunku nie wynikało, na jakiej głębokości pod kosmodromem biegnie starożytny korytarz. Jeśli bowiem jego poziom byłby kilkanaście metrów niżej niż podziemne hangary kosmodromu, to aby do nich się dostać, Tay musiałby wykonać ciężką pracę. Dlatego postanowił to niezwłocznie sprawdzić. I właśnie dziś umówił się z Mayą na tę niezwykłą wyprawę. Zaopatrzony w niezbędny sprzęt, wsiadł do aerostatu i poleciał na plac Gwiazdy, gdzie oczekiwała go Maya.

- Czy coś się stało? - zapytała go z niepokojem, kiedy wysiadł z pojazdu.

Uśmiechnął się.

- Na razie nic, ale może się stanie.

- Nie rozumiem...

- Wsiadaj, proszę, bo szkoda czasu. Wytlumaczę ci w drodze.

Kiedy wystartowali, Tay, nie odrywając wzroku od horyzontu, podał Mayi folię z odbitkami zdjęć planów. Jeden z nich był oryginalnym szkicem sprzed niemal tysiąca lat, drugi łączył stary szkic ze współczesnym planem miasta.

- Oto pierwsza, jeszcze niezupełnie dojrzała próba do realizacji twego pomysłu. Ten zaznaczony czerwonym kolorem starożytny tunel biegnie pod kosmodromem. Postaramy się odnaleźć wejście.

Lecieli w kierunku ciemniejszego masywu górskiego. Na tle jasnożółtych obłoków rysowały się dalekie, poszarpane i czerwone jak miedź szczyty. Było to - dzikie pasmo

Czerwonych Wzgórz. Gdy minęli zabudowania miasta, Tay obniżył lot. Chwilę spoglądał na wykreśloną trasę i stwierdził, że nieco z niej zбочzył, zmienił więc kierunek na zachód. Lecieli nad pagórkowatą okolicą, porośniętą krzakami iglu. Teren był kamienisty, pocięty głębokimi rozpadlinami, które bliżej gór tworzyły strome wąwozy. Nad krawędzią jednego z nich Tay wylądował. Pod nimi rozpościerał się kręty, pełen skalnych nawisów wąwóz. Maya rozglądała się dookoła porównując szkic z rzeźbą terenu.

- Sądzisz, że wejście do podziemnego korytarza znajduje się gdzie tutaj? - spytała.

- Zaraz się o tym przekonamy. Według moich obliczeń wejście powinno być w zbocz tego parowu.

Włączył aparat, który zapłonął pomarańczowym światłem. Nachylił się nad kamerą, ale jednobarwne światło tylko w dwóch miejscach wykazało niewielkie ciemne punkty.

Maya powiedziała sceptycznie:

- Wątpię, czy czymś takim wykryje się korytarz.

- Nie wierzysz w moc techniki? Trochę cierpliwości, Maya. Przystawimy aparat pięćdziesiąt metrów w jedną, a potem w drugą stronę i wtedy...

Przy trzeciej próbie w pomarańczowym kręgu ukazała się podłużna, ciemna plama.

- Popatrz, Maya - odezwał się Tay, podniecony - cztery metry w prawo i będziemy dokładnie nad tunelem.

Podszedł nad brzeg wąwozu i pod nawisem skalnym umieścił latarkę elektryczną.

- W drogę - powiedział.

Wybrali miejsce, gdzie zbocze wąwozu było mniej strome. Trzymając się za ręce zsunęli się na samo dno. Zawieszona nad krawędzią wąwozu latarka połyskiwała fioletowym światłem.

Tay przynaglał:

- Pospieszmy się, musimy znaleźć wejście przed zapadnięciem zmroku.

Zatrzymali się w miejscu wyznaczonym przez połyskującą latarkę. Tay podniósł do oczu szkła zbliżające. Mógł teraz dokładnie zbadać obchodzącą go część zbocza. Po dłuższej dopiero chwili zauważył nieznaczny występ skalny, w którym czernił się ponad ich głowami niewielki otwór w odległości około dziesięciu metrów.

- Mam - krzyknął prawie - i zaraz sprawdzę, czy to jest wejście, którego szukamy.

Podał Mayi lornetkę i uzbrojony w specjalną laskę górniczą i latarkę wspiał się na skalny występ. Maya obserwowała, jak ostrożnie obchodził skałę, by zniknąć za nią z drugiej strony. W pewnej chwili z góry spłynęła lawina żwiru i dziewczyna usłyszała okrzyk Taya:

- Jest! Jest otwór do podziemia!

I zaraz potem Tay wyłonił się zza skalnego bloku. Jego twarz promieniała radością.

Machał trzymaną w dłoni laską i wołał:

- Wejdę do podziemia. Czy chcesz mi towarzyszyć?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Od dziecka odczuwała lęk przed tunelami, lochami, jaskiniami. Ale możliwość poznania czegoś nowego, czegoś, co od setek lat było w zapomnieniu, pociągała ją tak bardzo, że odpowiedziała:

- Tak, już idę!

Wejście do podziemia stanowił otwór w kształcie wydłużonej szczeliny. Tay poszerzył ją nieco, na tyle, aby można było jakoś prześliznąć się do wnętrza. Tay uprzedził Mayę, że czekają ich trudy, a nawet grozi niebezpieczeństwo.

Dziewczyna odpowiedziała stanowczo:

- Sam nie możesz iść. Jeśli ci się coś przydarzy, kto udzieli ci pomocy? Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła, że cię zostawiłam.

Tay pocałował ją, wzruszony.

Wąski przy wejściu korytarz rozszerzał się, w miarę jak posuwali się w smudze światła elektrycznej latarki. Jego ściany były z żółtego piaskowca przetykanego czerwonymi żyłkami tlenków żelaza. Po kilkudziesięciu metrach korytarz tracił naturalny charakter stworzonej przez przyrodę jaskini. Szli teraz po wyłożonym piaskowcem chodniku. Ściany korytarza i jego sklepienie pokrywały płytki z granitu. W absolutnej ciszy słyszeli własne oddechy i bicie serc. W ciężkim, chłodnym powietrzu korytarza czuło się woń rozkładających się tlenków metali.

- Trudno oddychać - powiedział Tay. - Nigdzie nie widać otworów wentylacyjnych. Jak dalej tak będzie, to wątpię, czy dobrniemy do końca.

Ostatnie jego słowa powtórzyło zwielokrotnione echo. Brzmiało tak dziwnie, że instynktownie zatrzymali się.

- Słyszałeś? - spytała Maya.

I znowu rozległo się dziwne, zamierające i jakby gdzieś z głębi echo, niosące słowa: słyszałeś, słyszałeś... Tay omiótł smugą światła po sklepieniu i ścianach korytarza, ale nic szczególnego nie zauważył. Dopiero kiedy przeszli kilkanaście metrów dalej, zagadka dziwnych szeptów wyjaśniła się. Oto korytarz urywał się na pełnej nierówności skalnej ścianie. Dalej poprzez wydrążone w ścianie przejście schodziło się wąskimi schodkami do następnego, znajdującego się o około trzech metrów niżej korytarza. Nowy korytarz zmieniał kierunek z południowego na południowo-wschodni. Poczuli słaby prąd powietrza. Szli jakiś czas w milczeniu. W pewnej chwili Tay przystanął. W smudze światła zobaczył niewielką wnękę, a w niej metalowe drzwi. Pchnął je, posypały się strzępy rdzy, ale drzwi nie ustąpiły. Musiał użyć całej siły, aby sforsować metalową zaporę. Wydała nieprzyjemny zgrzyt. Maya i Tay znaleźli się w ogromnej grocie, której ściany wyłożone były wzorzystymi tkaninami przedstawiającymi ludzi i zwierzęta, jakieś dziwne stwory i jeszcze dziwniejsze maszyny, ukazującymi w scenach rodzajowych dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały, różne zajęcia i

obrzędy. Gobeliny przetykane były złotem i wysadzone drogimi kamieniami. Maya i Tay stali oniemiały ze zdumienia i zachwytu. Nagle w głębi komnaty natknęli się na postać siedzącego człowieka. Było to tak nieoczekiwane, że Maya krzyknęła z przestachu. Posąg w marmurze wyobrażał kobietę trzymającą w wyciągniętej dłoni okrągłą kulę, a w drugiej coś, co przypominało dwuramienną dźwignię. Twarz kobiety, jej smukłe, nagie ciało odznaczały się niezwykłym pięknem. Kiedy oglądali rzeźbę, Maya powiedziała:

- Patrz, ile tu jeszcze posągów.

Niedaleko nich, na podwyższeniu w formie podłużnej, kamiennej ławy, znajdował się wielki, bogato rzeźbiony fotel, w którym siedziała jakaś postać. Otaczały ją posągi, wykute w białym i różowym kamieniu. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że nie jest to rzeźba, a zmumifikowane zwłoki starca, odziane w bogate, przetykane złotem szaty. Starzec, rozparty w wygodnej pozycji w fotelu, trzymał w ręce spoczywającej na poręczu oprawioną w złoto niewielką srebrną kulę. Kula była podobna do tej, jaką widzieli w dłoni posągu kobiety. Tay przypuszczał, że kula jest symbolem Żółtej Planety. Twarz mumii robiła niesamowite wrażenie. Rozwarte szeroko oczy połyskiwały jak szkło. Uśmiechały się zagadkowo, pełne wyrozumiałej mądrości. A zarazem zdawały się wyrażać pogardę starożytnego władcy dla motłochu, nie dumnie wywiniętymi ustami, a tym niesamowitym wzrokiem, który mimo upływu być może dwóch tysięcy lat ciągle błyszczał niewygasłą energią życia. Tay pierwszy wyzwolił się spod wpływu tego hipnotycznego spojrzenia. Światło latarki skierował poza mumię starca, na kamienne posągi kobiet, młodzieńców i dzieci, wykute w różowym lub żółtym marmurze, przedstawiające piękno ludzkiego ciała. Za szpalerem rzeźb w niewielkiej, wysłanej czarnym aksamitem wnęce leżała duża księga w skórzanej, obramowanej srebrem okładce, z wytłoczoną na wierzchu podobizną człowieka, którego rysy twarzy do złudzenia przypominały twarz mumii.

- Albo zmumifikowany osobnik jest autorem tego dzieła, albo książka poświęcona jest jego życiu - powiedział Tay biorąc księgę do ręki.

Próbowali odczytać cokolwiek, ale pismo było zupełnie dla nich niezrozumiałe.

- Trzeba ją wziąć - powiedziała Maya. - Na pewno zawiera wiele ciekawych informacji o zdarzeniach i ludziach z zamierzchłych czasów.

Tay na chwilę pomyślał, że powinien o odkryciu zawiadomić Trust Mózgów. Ale zdawał sobie sprawę, że ujawnienie tajemnicy podziemia zniweczyłoby ich plany. Żał mu było jednak tych skarbów, aby leżały ukryte, niszcząc.

Podzielił się swoimi wątpliwościami z Mayą. Powiedziała, że starcy z Wyspy Chmur są wrogami wszystkiego, co przypomina odległe wieki, że likwidowali muzea, wyroby ze szlachetnych kruszców kazali przetapiać dla wykorzystania w produkcji mózgów

elektronowych, i dzisiaj nikt już nie pamięta, jak żyli i co tworzyli ludzie tysiąc lat temu.

- Masz rację - powiedział Tay. - Lepiej zostawmy to tak, jak było.

- Z wyjątkiem księgi. Zabieram ją z sobą.

Wychodząc z komnaty raz jeszcze przystanęli przed pogrążonym w wiecznym śnie starcem.

- To musiała być jakaś inna niż nasza rasa - powiedziała Maya.

- Tak. Te rzeźby, ozdoby, tkaniny świadczą o tym, że ludzie, którzy to stworzyli, musieli mieć wysoko rozwiniętą kulturę. Nie wiem, czy znalazłby się dziś ktoś na Żółtej Planecie, kto potrafiłby dokonać takich rzeczy.

Opuszczając jaskinię przymknęli drzwi, które znowu wydały złowrogi zgrzyt.

- Straciliśmy sporo czasu - powiedział Tay - musimy to nadrobić.

Przyśpieszyli kroku. W powietrzu czuć było wilgoć. Słysząc było, jak po ścianie korytarza spływają krople wody. Ale nie było żadnych kałuż. Woda wsiąkała w szpary między płytami piaskowca. W pewnej chwili niespodziewanie wyrosła przed nimi skalna ściana. Korytarz urywał się. Podobnie jak poprzednim razem Tay odszukał w lewej ścianie komorę, z której prowadziły schody w górę. Nowy korytarz był znacznie węższy. Od czasu do czasu mijali skalne filary podtrzymujące strop. Usłyszeli głucho dudnienie. Maya zatrzymała się.

- Co to, Tay? Czuję wyraźnie, jak sklepienie tunelu zadrżało.

Tay nie zwracał na to uwagi. Wydawał się być podniecony.

- Jesteśmy pod kosmodromem, Maya. Dotarliśmy do celu. Teraz sprawdzę tylko, gdzie jest najbliższe połączenie z hangarami kosmodromu.

Z przerzuconej na ramię torby wydobyl części aparatu i złożył je. Maya przyświecała mu latarką.

- Co ja bym bez ciebie zrobił - powiedział Tay do niej.

Roześmiali się jak dzieci. Tay włączył aparat. Niosąc go przed sobą, krok po kroku posuwał się w głąb, uważnie śledząc amplitudę pomarańczowego płomienia. Gdy załamała się poniżej 0-1, zatrzymał się i zawołał:

- Jest! Z tego miejsca do jednego z tuneli kosmodromu jest już niecały metr.

Palnikiem oscoferycznym wydrążył otwór w ciągu godziny.

Kawałkiem kredy zakreślił koło na stropie.

- Nogi uginają mi się ze zmęczenia - powiedział. - Wyobrażam sobie, jak tobie musi być ciężko, biedna.

Co miała powiedzieć? Że chętnie usiadłaby w tej absolutnej ciemności na twardych płytach chodnika, aby choć przez krótką chwilę odpocząć. Ale taki odpoczynek pogłębiłby tylko zmęczenie. Dlatego westchnęła i powiedziała:

- Chciałabym jak najprędzej wydostać się z tego lochu. Trochę to wszystko za długo trwa.

Wracali trzymając się za ręce, potwornie znużeni, ale szczęśliwi, że osiągnęli cel.

Od dnia odkrycia podziemnego przejścia i bezpośredniego dotarcia do tuneli kosmodromu życie Taya nabrało nowego sensu. Podniosła go na duchu świadomość, że - choć w skromnych rozmiarach - zadanie, które sobie postawił, jest urzeczywistniane. Dotarcie do pojazdów kosmicznych dalekiego zasięgu to było bardzo duże osiągnięcie. Tay zdawał sobie jednak sprawę, że to, czego dokonał, było zaledwie pierwszym krokiem na drodze do odległego jeszcze celu, że czekają go przedsięwzięcia, które kosztować go będą wiele wysiłku. Ale był już zdecydowany na wszystko. Kolejnym zadaniem, które musiał podjąć, to wykradzenie z magazynów laboratorium M szczepionki Opess, co nie było rzeczą prostą. Laboratorium M znajdowało się bowiem pod bezpośrednią kontrolą Trustu Mózgów. Dostępu do magazynu strzegł skomplikowany system urządzeń alarmowych. Aby się tam dostać, trzeba było albo znać odpowiednie szyfry, albo wyłączyć całe urządzenie.

Tylko dwie osoby miały dostęp do magazynów laboratorium. Kontrolowały one pracę urządzeń laboratoryjnych, w których przechowywano leki, szczepionki, narządy ludzkie i... samych ludzi. Dokładnej liczby zamrożonych w ciekłym olko ludzi nie znał nikt. Domyślano się tylko, że jest ich kilkudziesięciu. Były to przeważnie ofiary wypadków, którym groziła nieunikniona śmierć kliniczna. Na miejsce uszkodzonych narządów wstawiano im sztuczne. Jeżeli organizm przyjął przeszczep, pacjenta kierowano na leczenie szpitalne, jeśli wynik był negatywny, ciało pacjenta zanurzano w pojemniku wypełnionym ciekłym olko. Substancja ta była mieszaniną kilku gazów i płynów posiadających właściwości regeneracji tkanek żywych organizmów. Okres uśpienia wtórnego, bo taką nazwą określano eksperymenty, trwał od kilku miesięcy do dwóch lat, w zależności od przebiegu procesów regeneracyjnych. Podobno poddani zabiegowi ludzie wracali do zdrowia, ale ani Tayowi, ani nikomu z jego znajomych nie były znane takie przypadki. Krążyły także pogłoski, że informacje o regeneracji ludzkiego organizmu były rozpowszechniane po to, aby ukryć w ten sposób prowadzone na szeroką skalę eksperymenty zmierzające do stworzenia istoty o fenomenalnej pamięci i precyzji myślenia, której rozwój umysłowy byłby z góry zaprogramowany. Ponieważ teoria profesora Muta, dotycząca zmian molepuskonalnych, nie przyniosła spodziewanego efektu, Ky zalecił inny rodzaj badań, tak zwanych elecjo fizjogenalnych. Ale były one okryte głęboką tajemnicą. Wstęp do laboratorium M miała ściśle określona grupka uczonych.

Rozmyślając nad sposobem zdobycia szczepionki, Tay konsultował się często z Urgiem. W tym czasie całkowicie zmienił się stosunek Tuki do Taya. Okazywała, żywe zainteresowanie dla jego poczynań. Informowała go o organizacji pracy na Chmurnej Wyspie, o aparaturze w różnych pracowniach, o skomplikowanym systemie łączności. Słuchając jej Tay zadawał sobie czasem pytanie, co spowodowało, że ta niechętna mu, fanatyczna do niedawna zwolenniczka Trustu Mózgów stała się nagle wrogiem Trustu. Tay zagadnął nawet

w tej sprawie Urga. Ten wzruszył tylko ramionami i powiedział:

- Czy ja wiem? W tym wieku zmieniają się poglądy. Ot i wszystko.

Tay uśmiechnął się.

- Jeśli ktoś w tym pomaga.

Urg nie odpowiedział.

Siedzieli w pracowni nad nie ukończonym projektem urządzenia kumulującego energię. Urg pracował nad nim około roku i według teoretycznych obliczeń rzecz zapowiadała się świetnie. Straty energii cieplnej wynosiły zaledwie trzy setne pobranej energii. Było to więc urządzenie niemal doskonałe. Ale Urga ciągle nie zadowalało rozwiązanie komory wtórnej. Była w niej pewna niedokładność, z którą konstruktor nie mógł się uporać. Tay z roztargnieniem słuchał jego rozważań. Miał swoje kłopoty. Czekał z niecierpliwością, kiedy będzie mógł się z nich zwierzyć. Wreszcie padło upragnione pytanie:

- A co u ciebie?

Tay opowiedział o wędrówce w podziemiach, o dotarciu do hangarów kosmodromu i o odkryciu jaskini z mumią i posągami. Kiedy skończył, Urg spoglądał na niego, jakby czekał na coś więcej, niż przed chwilą usłyszał. Ale ponieważ Tay nic nie mówił, westchnął tylko, a po chwili odezwał się:

- To jest niebezpieczna gra. Jesteś świadomy tego, że stawką w niej jest życie?

Zapadła cisza. Po raz pierwszy Tay usłyszał z ust drugiego człowieka to, co tkwiło w nim od chwili, kiedy podjął decyzję i co - choć uświadomione, ale nie wypowiedziane - stwarzało nie popartą żadną racjonalną myślą nadzieję, że może się udać. Krążyła ta myśl po zakamarkach świadomości, chociaż starał się przed nią uciec, łudząc się przeświadczeniem, że nie z takich opresji ludzie wychodzili cało. Ale Urg był człowiekiem, który wiedział, co oznacza samotna wyprawa w dalekie rejony kosmosu. Powtórzył więc pytanie:

- Jesteś świadomy tego?

Tay skinął głową. Ale jednocześnie poczuł mroczną, wypełnioną chłodem pustkę.

Zaraz się jednak opanował i przezwyciężając skurcz krtani powiedział:

- Tak, jestem świadomy. Żyjemy w świecie bezmyślnej wegetacji, którą dawkuje nam według swego uznania Trust Mózgów. Nie ma w naszej egzystencji nic z piękna, nic z wzniosłych wzruszeń, szlachetnych dążeń i nieegoistycznych ambicji. Stajemy się bezwolnymi stworami, którymi rządzi garstka szaleńców. Opętani fanatyczną ideą wielkiego Butu, ludzie ci narzucili nam potworny system, w którym każdy musi robić to, co mu wyznaczono. Ty, Urg, wiesz równie dobrze jak ja, o co im chodzi, do czego zmierzają. Jeszcze kilka lat i będziemy tak otępiali, tak bezwolni, że rządzić nami będą mózgi elektronowe. Lepsza śmierć niż życie w takim świecie.

Urg, pochylony jak pod ciężarem, kiwał w milczeniu głową.

- Zastanawiam się tylko - powiedział ponuro po dłuższej chwili - czy taka wyprawa zmieni cokolwiek na Żółtej Planecie...

Tay odpowiedział z namysłem:

- Nie wiem. Ale mój cel jest jasny: chcę zapobiec inwazji Trustu Mózgów na Tenegerę, chcę uchronić nieznaną istotę rozumną od czekającej ją zagłady.

- To bardzo wiele. Takemu celowi warto poświęcić życie.

Tay przedstawił konstruktorowi sytuację. Urg słuchał z uwagą. Kiedy Tay skończył, Urg pochylił się nad leżącym na stoliku notesem i samopisem zaczął kreślić figury fareostyczne. Były to stosowane w logice wzory pozytywnych rozwiązań. Tay również posługiwał się nimi, jeśli chciał wybrać najlepszy wariant operacji, tym razem jednak nie mógł osiągnąć pozytywnego rezultatu, ponieważ nie dysponował odpowiednią ilością danych. Próby Urga również nie wносиły nic nowego. Niezrażony, uparcie układał różne wzory, przekreślał je, pisał nowe, ale bez pożądanego skutku. Wreszcie rozłożył ręce bezradnym gestem.

- Do laboratorium można się dostać wyłącznie normalną drogą. Musimy więc zdobyć szyfry.

Tay pomyślał, że aby dojść do takiego wniosku, wcale nie trzeba było całego tego wypisywania wzorów, nie powiedział jednak tego, bo przypuszczał, że konstruktor brał w swoim rozumowaniu pod uwagę jakiś nowy, nie znany mu czynnik.

- A jeśli nie uda nam się zdobyć szyfru - „ciągnął tymczasem Urg - wówczas zastosujemy stary chwyt z volferium.

Argument z volferium nie trafiał Tayowi do przekonania. Znał oszałamiające działanie tego gazu i wiedział, że tylko na krótki okres można nim obezwładnić przeciwnika. Nie było to więc najlepsze rozwiązanie. Postawiliby zresztą w stan alarmowy Trust Mózgów, co w konsekwencji udaremniłoby realizację końcowego etapu planu. Dlatego Tay opowiedział się zdecydowanie za szyfrem.

- Wtedy można będzie wydostać szczerpionkę niepostrzeżenie - uzasadnił swoje stanowisko.

- I ja tak myślę. Tylko jak to zrobić?

Konstruktor uniósł się z fotela i począł chodzić po lśniącej podłodze pracowni. Tay obserwował go przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na model Gwiazdy-3. Zawsze kiedy patrzył na pojazdy, ogarniało go podniecenie. Wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy za kilka dni wdrze się do ogromnego statku i poszybuje w nieznaną. Czy dotrze do odległego celu? Czy pokona straszną pustkę przestrzeni kosmicznej? Takie i podobne myśli tłukły się mu i teraz po głowie, gdy Urg, zamysłony, przemierzał pracownię w tę i z powrotem.

- A gdybyśmy na przykład spróbowali podrzucić rejestrator dźwięków? - Mówiąc to konstruktor zatrzymał się nad Tayem i patrząc mu uważnie w oczy dokończył swoją myśl: -

Taki drobiazg można umieścić wszędzie, i to nie budząc jakichkolwiek podejrzeń. Cała rzecz w tym, aby niepostrzeżenie dostać się do kabiny dyspozycyjnej Centrali.

Tay podniósł się z fotela.

- Pomysł świetny, tylko według mnie niewykonalny. Moim zdaniem, łatwiej byłoby włamać się do laboratorium niż podłożyć małe pudełeczko w znajdującej się na Chmurnej Wyspie dyspozytorni.

Konstruktor uśmiechnął się i zapewnił Taya:

- Biorę to już na siebie.

Minęło kilka dni. Tay z niecierpliwością czekał na wiadomość od Urga. Tymczasem otrzymał od Szuta informację, że próby grawitacyjne z pojazdami Gwiazda-3 zakończono pomyślnie. Przy zastosowaniu paliwa antyatomowego pojazdy osiągnęły ogromną prędkość i bezawaryjnie pokonały zwielokrotnioną sztucznym polem magnetyczną siłę bezwładności. Wyznaczone do dalekiego rejsu statki powietrzne czekały w podziemnych hangarach. Podobno zaopatrzone już je w żywność dla załogi i sprzęt codziennego użytku. Wszystko to wzmagало niepokój Taya. W takim stanie ducha przypadkowo spotkał kolegę z lat szkolnych, Oraka. Był on inżynierem mechanikiem, zatrudnionym przy obsłudze pojazdów dalekiego zasięgu.

Po przywitaniu i wymienieniu kilku zdawkowych zdań Orak powiedział:

- Wyglądasz, jakbyś był czymś bardzo zaabsorbowany. Pewnie pracujesz nad wynalazkiem, co? No, przyznaj się.

- Niestety, nie zgadłeś. Nie myślę o swoim wynalazku. Głowią się nad tym, jak wykraść cudzy.

Orak roześmiał się.

- Dobry żart. Ale teraz poważnie. Powiedz, jak tam twoja praca naukowa? Słyszałem, że piszesz coś na temat olenharów.

- Tak, piszę. Ale skończyć nie mogę. Niewdzięczny temat, daleki, ledwo widoczny.

Badanie widma, zmian w natężeniu pola magnetycznego, jakieś ledwie uchwytny pulsacje...

Trudno na podstawie tego ustalić jednoznaczne wnioski.

- Dobrze ci tak. Sam tego chciałeś. Przyczepiłeś się do kosmosu, to teraz masz. Ja już wolę mieć do czynienia z uchwytną materią. Chociaż ostatnio i mnie ciężko było.

- Wiem, musieliście przygotować pojazdy.

Orak skinął głową i uśmiechnął się z goryczą.

- Najbardziej złości mnie fakt, że człowiek pracował nieomal bez wytchnienia, a tu okazuje się, że termin wyprawy przesunięto.

Słyszając to, Tay omal nie krzyknął z radości. Opanował się jednak i powiedział obojętnie:

- Niejeden raz robiono z nas durni. Ale takie już jest życie i nic na to nie poradzimy.

Orak opowiedział mu, jak zespół, w którym pracował, ślęczał po nocach, aby usunąć usterki technologiczne. Kiedy się z tym uporali, oświadczone im, że nie ma co się śpieszyć, bo data lotu została przesunięta. Podobno Trust Mózgów podjął tę decyzję z powodu niewyjaśnienia okoliczności eksplozji, w której zniszczone zostały trzy pojazdy wysłane do przechwycenia nie zidentyfikowanego obiektu.

- Eksplozja była tak silna i wydzieliła przy tym tak ogromną masę ciepła - mówił Orak - że po naszych pojazdach pozostała warstewka rozsypanego na wielkim obszarze popiołu. Komisja badająca sprawę nie ustaliła nic konkretnego. To właśnie było prawdopodobnie powodem, że Ky zakazał przekraczać wszelkim pojazdom strefę powietrzną Żółtej Planety. Tay zauważył:

- Polecą czy nie, jakie to ma dla nas znaczenie. Będzie tylko ileś tam ofiar i to wszystko.

- Nie wierzysz w powodzenie wyprawy? - zapytał ze zdziwieniem Orak.

- A ty?

Orak w zamyśleniu patrzył na szare, kopulaste statywy pojazdów dalekiego zasięgu. Z perspektywy dziedzińca kosmodromu przypominały one starodawne bunkry wyrzutni raketowych. Te były jednak znacznie większe i potężniejsze. Nie odrywając od nich wzroku Orak powiedział:

- Czy ja wiem? Gwiazda-3 jest niewątpliwie najwyższym osiągnięciem technicznym naszej cywilizacji. Zwłaszcza że do jej napędu użyto energii antyatomu. Ujarzmienie tej energii pozwoliło na uzyskanie niezwykle wysokiej aktywności w przyspieszeniu masy. Mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że pocisk doświadczalny, napędzany energią antyatomu, po uzyskaniu maksymalnej prędkości zamienia się w górnych warstwach stratosfery w obłoczek dymu. Wybuch miał tak wielką siłę w zmianie symetrii cząsteczek, że nie odnaleziono najmniejszego kawałeczka metalu. Po prostu pocisk rozsypał się. Dlatego w Gwieździe-3 zastosowano dwa rodzaje paliwa.

Tay słuchał z natężoną uwagą. Wszystko, o czym mówił Orak, miało dla niego ogromne znaczenie. Przyszło mu nawet na myśl, żeby wtajemniczyć Oraka w swoje plany. Uświadomił sobie jednak, że spotykają się przypadkowo i właściwie niewiele o sobie wiedzą. Ponadto Orak mógł należeć do klubu entuzjastów Trustu Mózgów, a członkowie tego klubu, ślepo oddani idei starca z chmur, byli niebezpieczni. Dlatego Tay wolał nie mówić o swoich planach. Niemniej starał się uzyskać jak najwięcej interesujących go wiadomości.

- Myślałem - odezwał się z udanym żalem, że będę mógł obserwować doświadczalny start Gwiazdy-3, ale nie udało się. Mam nadzieję, że będą jeszcze jakieś próby?

Orak machnął lekceważąco ręką.

- Czy ja wiem? Ale nie masz czego żałować. Start odbywa się na paliwie tradycyjnym.

Dopiero po osiągnięciu przez pojazd pułapu dziesięciu rt włącza się reaktor antyatomowy.

- Z tego, co mówisz, można wnioskować, że nie wszystkie pojazdy Gwiazdy-3 będące w dyspozycji naszego kosmodromu wyposażone są w paliwo.

Orak spojrział uważniej na Taya. Widocznie nie dostrzegł jednak niczego niepokojącego, bo odpowiedział bez namysłu:

- Tylko jeden pojazd, tak zwany alarmowy, wyposażony jest we wszystko, co potrzebne do dalszej podróży. Startuje on ze stanowiska N.

Tayowi z wrażenia aż zakręciło się w głowie. Czuł suchość w gardle i przyspieszone bicie serca. Aby nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest przejęty tym, co przed chwilą usłyszał, zaczął mówić o planowanej podróży na wyspy Eb, a potem, że Maya naraziła się profesorowi Mutowi, ponieważ zaprotestowała przeciwko doświadczeniom prowadzącym do biologicznej degeneracji płazów. Orak słuchał go z roztargnieniem. Tay widział, że wszystko to mało go obchodzi. Przerwał więc i powiedział:

- Głupstwa plotę i zabieram ci czas. Trzeba już iść.

I rozeszli się, każdy w swoją stronę, Tay zadowolony, że w zupełnie przypadkowy sposób dowiedział się o sprawie niezwykle dla niego ważnej. Na podstawie uzyskanej informacji będzie mógł skorygować wyliczenia związane z podziemnym przekopem, a co najważniejsze, nie będzie musiał martwić się o paliwo. W radosnym nastroju wrócił do domu.

Ledwo zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy nad radiotelefonem łączności zamigotało czerwone światełko. Włączył aparat. Usłyszał zapisany na taśmie głos: „Halo, chłopcze, mówi Urg. Bądź uprzejmy porozumieć się ze mną po powrocie. Mam dla ciebie dobrą wiadomość”.

Tay natychmiast połączył się z Urgiem. Po kilku sekundach usłyszał jego nieco zachrypnięty głos:

- To ty, Tay?

- Tak, co słychać?

- W porządku. Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Czekam na ciebie. Do zobaczenia!

Tay, nim opuścił mieszkanie, wypił szklanekę derteslu. Odczuł łagodne działanie napoju. Dertesl należało spożywać w niewielkich dawkach. Tay wypił go jednak zbyt wiele. Jego reakcje na bodźce zewnętrzne będą przez pewien czas zwolnione, jakby przytępione. Do Urga poszedł pieszo.

Przywitała go Tuka. Uśmiechnęła się trochę tajemniczo, co nadawało jej twarzy szczególnego uroku. Zaprowadziła go do pokoju. Tay przywitał się z Urgiem. Usiedli w głębokich fotelach.

- Mam szyfry, które cię interesują - powiedziała Tuka. - Zgadnij, jak je zdobyłam?

Tay pokręcił głową.

- Skąd mogę wiedzieć. Przymocowałaś urządzenie gdzieś do ściany albo włożyłaś między aparaturę... Nie wiem...

Przyglądał się jej uważnie. Zastanawiał się, co Tuka wie o jego planach. Jednocześnie pomyślał, że jest bardzo piękna. Ale jej uroda była jakaś zimna, obca. Być może dlatego, że w tym świecie automatów i mózgow pamięciowych, w którym żyli, wśród gigantycznych maszyn cywilizacji technicznej brakło miejsca na ludzkie uczucia. Z upływem lat życie duchowe mieszkańców Żółtej Planety zubożało do tego stopnia, że sprowadzało się do okrzyków udawanego podziwu nad nowym wynalazkiem czy udoskonaleniem technicznym. Muzyka, malarstwo, literatura stanowiły mało znaczący dodatek, coś w rodzaju opakowania dla maszyny czy innego sprzętu codziennego użytku. Nawet muzyka miała wyłącznie użytkowy charakter. Komponowano ją dla określonych grup odbiorców, jej rola polegała na ułatwianiu procesów myślowych przy różnorodnych czynnościach czy grach. Życie duchowe mieszkańców Żółtej Planety tworzyło wąski zaledwie margines praktycznej działalności i służyło do jej upiększania jako swoisty ornament. Miłość stała się jedną z form rozrywki, czymś, co uzasadnione jest biologiczną potrzebą ciągłości gatunku. Niezbyt wielu było takich, którzy nadawali jej inny, głębszy sens. Należała do nich Maya.

Tuka wyjaśniła, jak uzyskała szyfry.

- Minigraf umieściłam w górnej kieszeni kombinezonu szyfranta. - Wstała. Podeszła do półki i zdjęła z niej mały, prostokątny aparacik. - Masz. To są szyfry do wszystkich tajnych skrytek Trustu Mózgów. Powiedz, Tay, co ty knujesz? Chcesz nas wysadzić w powietrze, czy też... - Wzruszyła ramionami. - Zresztą wszystko jedno.

- Tuka, o co ty mnie posądzasz? Po prostu zamierzam dostać się do Laboratorium M, aby zdobyć lek na długowieczność.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nie kpię. Czyżbyś nie słyszała o doświadczeniach profesora Serga?

Tuka, zdezorientowana, spojrzała na ojca.

- Nie mogłaś o tym wiedzieć, było to kilkadziesiąt lat temu - powiedział.

Tuka z obrażoną miną opuściła pokój. Mężczyźni roześmiali się.

- Przyznasz, że Tuka dobrze wywiązała się z zadania.

- Muszę jej za to podziękować.

- Zrobisz to innym razem. Teraz przejdźmy do rzeczy. Otóż ustaliłem, że szyfr zmieniany jest co trzy doby. Jeśli więc chcesz zdobyć szczepionkę, musisz zrobić to jutro między godziną dwudziestą a dwudziestą trzecią. W tych godzinach jest przerwa między zmieniającymi się pracownikami sprawującymi nadzór.

- Rozumiem. Ale nie wiem, co dalej.

- A więc uważaj. Pod Laboratorium podlecisz aerostatem. Zostawisz go na pobliskim placu, a sam udasz się na taras Instytutu Geofizycznego, skąd doskonale widać hali i korytarz prowadzący do podziemi laboratorium. Jeśli będą nie oświetlone, będzie to oznaczać, że

droga stoi otworem. Oczywiście należy liczyć się z tym, że trzeba będzie wyważyć jakieś drzwiczki. Musisz więc zabrać z sobą stalowy łom i torbę, bo metalowy pojemnik ze szczepionką może być tak ciężki, że trzeba go będzie nieść na plecach. I to już wszystko.

- W takim razie, Urg, życz mi powodzenia.

- Z całego serca, mój chłopcze.

Urg odprowadził gościa do drzwi.

Nazajutrz Tay punktualnie o godzinie dwudziestej wylądował na placyku niedaleko gmachu laboratorium. Nie wspinając się na taras Instytutu stwierdził, że hali laboratorium jest oświetlony. Przeszedł więc na drugą stronę ulicy, gdzie mieściły się czytelnie nasłuchowe i gdzie na niskich sofach siedziało kilkoro młodych ludzi. Na głowach mieli dziwne, podobne do hełmu urządzenia i robili wrażenie niezwykle skupionych. W ten sposób odbywał się seans intensywnego nauczania, w jakim również Tay w swoim czasie brał udział. Polegało ono na tym, że odtwarzany z nagrania wykład przekształcony był za pomocą umieszczonego na głowie urządzenia na drgania bioceamberyczne. Drgania te o amplitudzie drgań sfery pamięciowej mózgu rejestrowane były w szarych komórkach na podobieństwo nagrań płytowych. Jeżeli słuchający skoncentrował należycie uwagę, uzyskiwał efekt znakomity. Mógł bez trudu dosłownie powtórzyć wysłuchany w ten sposób wykład. Ta metoda nauczania nie była jednak zalecana, w konsekwencji dochodziło bowiem nieraz do zamierania aktywnych komórek mózgowych, co prowadziło do pewnego rodzaju wynaturzeń mózgu. Człowiek, który kształcił się w taki sposób, tracił zdolność samodzielnego myślenia, upodabniał się do komputera.

Tay zajął jedno z wolnych miejsc i założył aparat, zamierzając chwilę oczekiwania wypełnić wysłuchaniem nagrania z przebiegu „Operacji Hez”. Ale? kiedy uzyskał sygnał potwierdzający odbiór, światła w hallu Laboratorium M zgasły. Zdjął więc; aparat i przeszedł na sąsiadujący z czytelnią taras Instytutu. Stąd mógł obserwować metalową bramę Laboratorium. Po kilku minutach uchyliła się i wyszedł z niej człowiek w szarym płaszczu. Tay podążył za nim. Tamtej wsiadł do jednego ze stojących aerostatów i wystartował. Jeszcze przez chwilę Tay obserwował, jak aerostat, wystrzeliwszy raketę sygnalizacyjną, wzbijał się w powietrze. Potem zawrócił. Droga do laboratorium była wolna. Nie zwlekając, Tay podszedł do bramy, włączył obwód czujnika komputera i podał szyfr składający się z kombinacji cyfr matematycznych. Metalowe skrzydła bramy rozwarły się bezszelestnie i Tay wszedł na niewielki, wyłożony żółtym kamieniem dziedziniec. Jeszcze trzykrotnie podawał skomplikowaną formułkę szyfru, zanim znalazł się w podziemnym pomieszczeniu laboratorium. Posuwał się teraz korytarzem, którego ściany wyłożone były zielonymi kafelkami. Co kilka kroków zatrzymywał się przed drzwiami i odczytywał umieszczone na

metalowych tabliczkach napisy informujące o tym, co się za nimi znajduje. Przed drzwiami oznaczonymi napisem „Hertinofobia” zatrzymał się dłużej. Jeszcze zanim tutaj przybył, postanowił, że musi zobaczyć tych, którzy tu żyją w uśpieniu. Ale teraz, kiedy stał pod drzwiami, zza których dolatywały do niego dziwne odgłosy, uczuł narastający strach. Paralizujące ruchy nóg i rąk uczucie sięgało aż do gardła, wzmagało łoskot serca, dusiło. Czegoś takiego nie przeżywał jeszcze w swym życiu. Dlaczego tak się działo? Nie rozumiał tego. Może wynikało to z przeświadczenia, że wśród leżących tam na pół umarłych ludzi znajdzie ciało swego ojca? Ale przecież pogrzeb ojca był symbolicznym obrzędem, w którym nie uczestniczyło jego ciało... Tay przełamał wreszcie przykre uczucie krępujące ruchy. Wszedł do środka. Powiało mroźnym powietrzem i ostrym, drażniącym zapachem środków dezynfekcyjnych. Długa, jasno oświetlona sala spowita białym, snującym się jak dym oparem, zza którego wyłaniały się ustawione piętrowe podłużne, połyskujące srebrem pojemniki. Od każdego z nich biegło po kilka metalowych rurek, łączących się z głównymi kanałami zawieszonymi pod sufitem. Obok pojemników, na metalowych podstawkach, umieszczona była aparatura pomiarowa: zegary, manometry, termometry i podłużne, pulsujące czerwonym światłem oskiety. Wszystko to tykało, syczało, drgało jednostajnym rytmem i przypominało znane Tayowi z historii techniki wnętrze maszyny parowej. Ale maszyna parowa buchała ciepłem... Tay dotknął palcem srebrnej powierzchni jednego z pojemników i krzyknął, gwałtownie cofając dłoń. Palec w miejscu, gdzie zetknął się z powierzchnią pojemnika, pozbawiony był skóry. Tay poczuł szczypiący, podobny do wywołanego oparzeliną ból. Nigdy by nie przypuszczał, że zewnętrzna powierzchnia stalowego pojemnika może być aż tak zimna. Nachylił się nad jego oszkloną częścią, zajrzał do środka i cofnął się, przerażony. Z płynnego gazu wyłaniała się twarz zielonkawego koloru ze strasznym grymasem, wyrażającym niewysłowione cierpienie. Tayowi wydało się, że ta nieruchoma twarz o szeroko rozwartych oczach wzywa pomocy. Stał wpatrzony hipnotycznie w oblicze człowieka, który - jak wynikało z karty informacyjnej - siedem miesięcy temu uległ wypadkowi w kopalni, miał strzaskany kręgosłup i umierał w strasznym bólu. Siad tego bólu pozostał na jego twarzy i zniekształcił rysy. Kiedy jego serce przestało bić, wymieniono mu strzaskane kości i umieszczono go w pojemniku. Usiłowano przywrócić mu życie za pomocą regeneracji. Tay poszedł dalej między pojemnikami. Spoglądał w twarze umarłych, z których jedne, pocięte skalpelem chirurga, były potwornie zniekształcone, odrażające, inne, jak twarz młodej dziewczyny, uśmiechnięte, jakby w chwili śmierci pogodzone z myślą o wiecznym przemijaniu. Czy skostniałe z zimna ciało ożyje jeszcze? Czy ów trwający miesiącami zabieg jest skuteczny? Renowacja ludzkiego ciała. Bliżej nie znany Tayowi zabieg osmotyczno-dyfuzyjny miał być naukową rewelacją przynoszącą ludziom przedłużenie ich aktywności

biologicznej. A tymczasem leżeli tu umarli czekający może nadaremnie na zmartwychwstanie. Tay szedł od pojemnika do pojemnika, szukał swego ojca. Ale ciała ojca nie było. Tay czuł niepokój. Miał nadzieję, a nawet pewność, że go odnajdzie... Doszedł do końca tej niesamowitej sali. Kiedy chciał już ją opuścić, dostrzegł w przeciwniejszej ścianie niewielkie drzwiczki. Pchnął je i znalazł się w jasnym, zastawionym różnorodnymi aparatami pomieszczeniu. Centralne miejsce zajmowała gablota zawierająca postać ludzką, która była tworem sztucznym. Przez jasne, imitujące skórę tworzywo widać było działanie poszczególnych organów: pulsację serca, obieg krwi, pracę płuc i przepony brzusznej. Lekko rozchyłone usta wdychały powietrze, a źrenice bacznie śledziły ruchy Taya.

- Sztuczny człowieku, czy mnie widzisz? - powiedział Tay.

Usta stwora w gablocie poruszyły się, a powieki zadrgały. Tay usłyszał przeciągły jęk i cichy szept:

- Kimkolwiek jesteś, młody człowieku, ratuj mnie! Mój ludzki mózg nie może znieść tego dłużej. Od ponad sześćdziesięciu lat jest on eksploatowany dzień i noc. Nie ma chwili wytchnienia, jedyne pragnienie to umrzeć. Ale oni nie pozwalają. Ciągłe eksperymentują, zmuszają do ustawicznego rozwiązywania trudnych zadań. A przecież ty najlepiej wiesz, młody człowieku, że energetyczne zasoby materii są ograniczone. Dni również o tym wiedzą, ale ich to nie obchodzi, śmieją się i twierdzą, że tak właśnie musi być, jeśli mam zostać geniuszem. Więc mój biedny mózg ludzki cierpi straszliwie. Jeśli jest jeszcze w twym sercu odrobina litości, zniszcz obok umieszczone naczynie. Napełnione jest cieczą, która nie pozwala mi umrzeć.

Tay słuchał cichego głosu, zdrętwiały z przerażenia. To, co widział i słyszał, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Ale przerażenie przerodziło się nagle w ślepy gniew. Podszedł do aparatu, w którym umieszczone było cylindryczne naczynie napełnione czerwoną cieczą, i przerwał połączenia. Przez chwilę trzymał naczynie wysoko uniesione przed oczami sztucznego człowieka i nagle cisnął je na żółte kafelki podłogi. Szkło, a wraz z nim ciecz rozprysnęły się szerokim kręgiem. Tay uznał, że nie powinien zostawiać śladów. Zebrał szkło, zmył podłogę wodą. Raz jeszcze spojrzął w twarz stwora, który miał ludzki mózg i sztuczne pozostałe organy. Zdumiony, zobaczył, że gąbczaste wargi uśmiechnęły się. Pomyślał, że w ten sposób wyrażają podziękowanie. Stwór nie wydał już głosu. Tylko wolno, bardzo wolno zamknął powieki.

Tay uświadomił sobie nagle, że przez pobyt tutaj stracił wiele cennego czasu.

Rozpoczął więc gorączkowe poszukiwania magazynu ze szczepionkami. Wkrótce go znalazł. Była to typowa składnica leków. Ogromne metalowe szafy, dziesiątki napisów. Tay po chwili zastanowienia zorientował się, że leki ułożone są według czterocyfrowego szyfru

odpowiadającego nazwie leku. Odetchnął z ulgą, bo z początku czuł się bezradny. Teraz wystarczyło tylko ustawić odpowiednie cyfry. Drżącymi z podniecenia rękami otworzył skrytkę. W głębi leżała długa butla o cylindrycznym kształcie, wypełniona oleistą cieczą. Korek butli zalany był czymś, co przypominało parafinę. Przy szyjce butli zwisała żółta karteczka z wypisaną nazwą szczepionki. Tay ostrożnie wsunął butlę do skórzanej torby. Przewiesił torbą przez ramię. Spojrzał na zegarek. Do przybycia dyżurującego asystenta pozostawało jeszcze czterdzieści minut. Bez pośpiechu zacierał za sobą ślady.

Siedzieli na tarasie w mieszkaniu Taya. Maya słuchała jego opowiadania o sztucznym tworze wyposażonym w ludzki mózg, któremu przez sześćdziesiąt lat nie pozwolono umrzeć. Wstrząsnęło to nią do głębi. A jednocześnie niepokoił ją stan Taya, który nie umiał uwolnić się od tego, co przeżył i do czego bezustannie powracał.

W ponurym nastroju spoglądała na zachodni skraj horyzontu. Niebo płonęło różnymi odcieniami czerwieni, a światło odbite o szklane ściany domów sprawiało, że zapadający mrok wywoływał niesamowite wrażenie. Niebo przecinały zielone smugi rakiet, a w ślad za nimi wznosiły się połyskujące srebrem aerostaty. Gdzieś zawyła syrena i nad kosmodromem zapaliły się jaskrawe światła. Zaraz potem rozległ się narastający grzmot startującej rakiety. Przez chwilę Tay i Maya obserwowali blask seledynowej smugi, która po kilku sekundach zamieniła się w ledwo dostrzegalny punkcik.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Maya,

- Może to próbny lot albo...

W pokoju zamigotało światelko radiotelefonu. Tay włączył go.

- Tay, słyszysz mnie?

Tay rozpoznał głos Szuta.

- Tak. Czy coś się stało?

- Muszę się z tobą zobaczyć. Czekać na mnie. Zaraz będę.

Tay wrócił na taras. Spotkał pytający wzrok Mayi.

- Rozmawiałem z Szutem. Będzie tu wkrótce.

- Może wizyta Szuta ma związek ze startem rakiety? - powiedziała Maya z niepokojem. - Mam wrażenie, że stanie się coś złego...

Tay roześmiał się z przymusem.

- Naopowiadałem ci różnych niesamowitych rzeczy i stąd teraz twoje obawy.

- Nie, to nie to...

Maya stała się smutna, zamyślona. Głaskała Taya po twarzy, przytulała się do niego.

Tay próbował skierować rozmowę na inne tory.

- A co ze starożytną księgą? - zapytał. - Udało ci się ją rozszyfrować?

Maya się ożywiła.

- Siadaj - powiedziała. - Właśnie przyszedłam po to, aby ci o tym powiedzieć. Wyobraź

sobie, że samo pismo jest stosunkowo proste. Gorzej z semantyką. Ale i z tym się uporałam.

Zdołałam już odczytać kilka fragmentów. Zawarta w nich jest historia ludu Karii. Zaczyna się

ona od opisu stworzenia naszej planety i ta część jest bardzo zawiła. Jest w niej szereg wieloznacznych sformułowań, nazw, pojęć, które są, dla mnie przynajmniej, niezrozumiałe. Zadziwiające w tym wszystkim jest jednak to, że ci żyjący trzy tysiące lat temu ludzie zdawali sobie sprawę, że życie organiczne powstało w wyniku syntezy prostych związków nieorganicznych. Powstawaniu nowych struktur towarzyszył zróżnicowany poziom energetyczny. Był to rzekomo jeden z głównych czynników różnorodności form materii, stanowiący także warunek przechodzenia jednej formy w drugą...

- Skąd ci prymitywni ludzie tak dokładnie znali budowę materii? - zdumiał się Tay. - Synteza prostych związków, układy energetyczne to podstawowe pojęcia używane przez współczesną naukę. Czyżby już wtedy znano budowę cząstek elementarnych?... Ale przerwałem ci, Maya. Mów, proszę, dalej.

Maya opowiadała teraz, jak ówcześni ludzie wyobrażali sobie powstanie układu planetarnego Żółtej Planety. W pewnej chwili Tay przerwał jej znowu:

- Ciekawa koncepcja. Jednakże jej uzasadnienie jest nie tyle może banalne, co naiwne. Jeśli można przyjąć, że przestrzeń wypełniał gaz, nazwijmy go A, to skąd do tej przestrzeni wtargnął gaz B, posiadający energię statyczną ileś tam razy wyższą? Jeśli już wtargnął, to posiadał energię kinetyczną, która w zetknięciu z poruszającym się również obłokiem gazu A wydzieliła określoną ilość ciepła. Jednak moim zdaniem nie aż tak dużą, aby nastąpiło zawirowanie. Naruszenie równowagi energetycznej jądra w polu wolnych elektronów powoduje dalszą reakcję, która, jak wiesz...

Dopiero teraz Tay zauważył, że Maya nie słucha go. Siedziała skulona, zapatrzona w dalekie światła osiedla Morko, nieobecna. Po dłuższym milczeniu odezwała się w zamyśleniu:

- To był dziwny naród. Kochał malarstwo, rzeźbę, muzykę... Budował piękne gmachy... Zastanawiam się, czemu dziś nikt nie usiłuje odszukać legendarnej stolicy kraju Karii. Sądzę, że z ustaleniem jej położenia nie powinno być trudności. Z zapisków wynika, że znajdowała się ona na lewym brzegu rzeki Sut w dolinie Orara. Z geograficznego opisu tej krainy można wnioskować, że położona jest ona...

Rozległ się ostry sygnał brzęczyka.

- To Szut - powiedział Tay. - Zaraz się dowiemy, o co mu chodzi.

Wystarczyło spojrzeć na Szuta, aby domyślić się, że sprowadzają go ważne sprawy.

Oczy mu błyszczały, ruchy miał nerwowe. Ale starał się zachować spokój.

- Piękny wieczór - powiedział Tay.

- Rzeczywiście piękny.

Tay napełnił kieliszki derteslem.

- Za twoje zdrowie, Szut. Za pomyślność naszych zamierzeń.

Wypili.

Spodziewali się, że Szut od razu przystąpi do rzeczy. Ale Szut milczał. Sprawiał

wrażenie człowieka głęboko czymś przejętego. W końcu jednak, po kłopotliwej ciszy, powiedział:

- Godzinę temu z kosmodromu wystartowała do prowincji rakietą bliskiego zasięgu.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że załoga otrzymała pilne polecenie przywiezienia z tamtejszej fabryki ładunku paliwa antyatomowego. Samo gromadzenie w magazynach kosmodromu dużej ilości niebezpiecznego bądź co bądź ładunku daje wiele do myślenia. Można by to różnie komentować, gdyby nie inne, niecodzienne wydarzenie. Otóż kosmodrom odwiedził dzisiejszej nocy sam Ky i przeprowadził inspekcję wyrzutni, hangarów i pojazdów dalekiego zasięgu. Po kontroli zwołał na odprawę kierowników poszczególnych służb. Z tego, co mi przekazano, można sądzić, że być może za dzień lub dwa nastąpi start na Tenegerę! Świadczy o tym nie tylko obecność Ky w kosmodromie, ale i lot, paliwo, wyznaczenie składu osobowego załóg oraz ściśle przestrzeganie zakazu przebywania na terenie kosmodromu osób nie zatrudnionych bezpośrednio przy pojazdach. - Szut przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Nie wiem, na ile moje przypuszczenia są słuszne, ale zniszczenie przez ciebie, Tay, płynu zasilającego pracę mózgu sztucznego człowieka spowodowało wydanie przez Trust Mózgów zarządzenia zalecającego wzmożenie kontroli nad obiektami o specjalnym przeznaczeniu. Słyszałem poufną rozmowę, z której wynikało, że szef Trustu pewien jest, że czynu tego dokonali ludzie, którzy zamierzają zniszczyć Trust Mózgów. Ubzdurał sobie, że są to istoty z innego układu planetarnego, być może z Tenegery. Osiągnęły one ponoć sztukę dematerializowania, a więc jeśli zechcą, mogą stać się dla nas niewidzialnymi.

W miarę jak Szut mówił, na twarzach Mayi i Taya malowało się zdumienie, potem osłupienie. Ale ostatnie zdanie Szuta wywołało wybuch historycznego śmiechu.

- Coś ty. Szut. Niewidzialni ludzie z kosmosu! - wołał Tay. - A może rzeczywiście jestem z innej planety?

Szut również się zaśmiał.

- I co najzabawniejsze, to że niektórzy zaczynają w te bzdury wierzyć.

Tay pierwszy się opanował.

- Śmiech śmiechem - powiedział - ale jeżeli jest tak, jak mówisz, to znaczy, że rządzi nami człowiek chory psychicznie.

- No, niezupełnie - odparł Szut, jeszcze rozbawiony. - Pamiętaj o nie zidentyfikowanym obiekcie. Dwa razy tajemniczy pojazd znalazł się w obszarze grawitacyjnym naszej planety. Zniknął, znowu się pokazał. Zniszczył nasze pojazdy i sam się unicestwił. Drugi argument to kosmiczna depesza. Ky zinterpretował ten fakt jako chytry wybieg mieszkańców Tenegery, zmierzający do uśpienia naszej czujności. Tak więc pewne przesłanki do takiego rozumowania jednak istniały.

Tay odpowiedział z uśmiechem politowania:

- Jeśli w nie zidentyfikowanym obiekcie znajdowałyby się istoty rozumne, to musiałyby lądować. A operacja taka byłaby niemożliwa, bo nie był to pojazd silnikowy, lecz sonda kosmiczna.

Szut rozważał w zamyśleniu:

- Co to właściwie było, nikt nie wie. Zdjęcia obiektu wskazują, że była to niewielka kula o średnicy jednego metra, posiadająca luminatory i urządzenia nadawcze. Tak czy inaczej, absurdalne jest łączenie takich faktów jak uśmiercenie mózgu sztucznego człowieka z lądowaniem nieznanymi istotami. Ale w całej sprawie najistotniejsze jest to, że bezzasadne kojarzenie przez szefa Trustu pewnych zjawisk spowodowało jego decyzję o przyspieszeniu inwazji na Tenegerę. Dlatego, mój przyjacielu, jeszcze dzisiaj powinienś zrobić odpowiednie przygotowania. - Ostatnie słowa wypowiedział Szut z wielką powagą.

Zapadła cisza. Tay utkwiał wzrok w błyszczącej tacy, w jej odbiciu widział zniekształconą nieco twarz Mayi, jej zmrużone jakby od nadmiaru światła oczy. Właśnie teraz, kiedy wszystko już było przygotowane, kiedy on sam wielokrotnie rozważał moment pożegnania oswajając się z myślą, że jest nieuniknione, poczuł się niezdolny do wypowiedzenia słowa. Niby nic się nie stało, po prostu siedzi sobie w towarzystwie życzliwych, a nawet kochających go ludzi i nagle czuje suchość w gardle i mocne bicie serca. Kilka dni temu przeżywał u Urga podobny stan ducha. Ale wtedy owo wypowiedziane słowo, jednoznaczne w treści, dotyczyło odległego dość czasu i pozbawione było otoczki, którą tworzył uczuciowy związek z tym wszystkim, co łączyło go od lat z Żółtą Planetą. Tak, to nie jest jednak takie proste, jak mi się wydawało - myśli Tay i aby czymś wypełnić tę ciężką ciszę, podnosi się i nalewa w kieliszki napój.

- Wypijmy!

Wyszczał cierpki, pachnący migdałami płyn i poczuł się lepiej.

- No więc czas na wykonanie zadania - powiedział drętym głosem, aby tylko coś powiedzieć. Spojrzał na Mayę.

Wielokrotnie zapewniała go, że będzie mu towarzyszyła w podróży. Tay pomijał to milczeniem, odkładał decyzję, gdy nadejdzie odpowiednia pora. I właśnie nadeszła. Patrzą sobie w oczy i rozumieją się bez słów. Ale Maya uważa, że musi to wypowiedzieć, więc odzywa się nie spuszczać wzroku z Taya:

- Nie zmieniałam postanowienia. Polecimy na Tenegerę razem.

Tay, choć spodziewał się tych słów, odpowiada twardo:

- Nie. To moja sprawa i ja to zrobię. Jeśli mam prawo narażać kogoś na niebezpieczeństwo, to tylko siebie, bo sam dokonałem wyboru. Nie wolno mi narażać życia innego człowieka.

Maya obruszyła się.

- Tak samo mam prawo decydować o sobie.

- Tak. Ale nie wzięłaś pod uwagę ryzyka, z którym związane jest to przedsięwzięcie. Człowiek nie powinien nierozważnie rozporządzać swoim życiem - powiedział łagodnie. W oczach Mayi pojawiły się łzy. Zwiesiła głowę na piersi i stała nieruchomo.

Szut odchrząknął, wstał z fotela i mruknął:

- To są wasze sprawy. Co do mnie, chciałbym wiedzieć, w czym mógłbym ci pomóc, Tay.

Tay wziął Szuta pod ramię i począł go wtajemniczać w swoje plany.

- Jutro o północy, dokładny Czas ustalimy przed rozpoczęciem akcji, będziesz musiał sparaliżować na kilkanaście minut pracę Centrali. Chodzi o to, aby ułatwić mi ucieczką przez uniemożliwienie obsłudze naziemnej kosmodromu przekazywania informacji. Czy możesz to zrobić?

- Myślę, że tak.

- Postaraj się.

Popatrzyli sobie w oczy.

- Być może nie zobaczymy się więcej.

Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne.

Kiedy Szut wyszedł, Maya powiedziała stanowczo:

- Jeśli mnie nie zabierzesz z sobą, to ty również nie polecisz!

Zaśmiał się.

- Zabawna jesteś, - Spojrzał na nią z uwagą i dodał poważnie: - Ale jeśli tak bardzo chcesz...

Maya rzuciła mu się na szyję.

- Musisz mieć kogoś przy sobie, kochanie. Musisz z kimś rozmawiać, sprzeczać się, śmiać. Gdybyś został sam, źle by się to skończyło. Wiesz najlepiej, jak tam jest... - Przytuliła się do niego.

On, głaszcząc jej włosy, powiedział głosem pełnym tkliwości:

- Cieszę się bardzo, Maya, a jednocześnie ogromnie mi smutno. Mam świadomość tego, że z innych układów planetarnych nie wraca się na miejsce startu i dlatego...

Zamknęła mu dłonią usta.

- Nie mówmy już o tym. Przygotujmy się do drogi.

Nazajutrz zaraz po powrocie z obserwatorium Tay udał się do Urga. Poinformował konstruktora o sytuacji. Urg słuchał w skupieniu. Kiedy Tay skończył, poprowadził go do pracowni, gdzie stał model Gwiazdy 3. - Są dwie rzeczy, na które musisz zwrócić szczególną uwagę, Pierwsza - i odsunął dłonią tylny człon pojazdu - to sprawdzenie baterii jądrowych, druga, to kontrola napromieniowania cząsteczkami Fu. Jak wiesz, są one ubocznym produktem reakcji antyjądrowej. Mówię o tym dlatego, że przy zbyt wysokim natężeniu promieniowania korpus i w ogóle metalowe części pojazdu mogą stać się aktywnymi izotopami niebezpiecznymi dla organizmu. Mimo że przebieg procesu reakcji kontroluje

komputer, musisz zwracać na nią baczną uwagę. - Urg raz jeszcze zademonstrował Tayowi działanie poszczególnych urządzeń rakiety i udzielił wyjaśnień na pytania.

Tay, doświadczony w pilotowaniu raket bliskiego zasięgu, nie znał najnowszych aparatów zainstalowanych w Gwieździe 3. Słuchał więc z uwagą.

Kiedy się żegnali, Urg wyciągnął ze skrytki niewielki pistolet.

- Wet to, chłopcze. Broniąc się, trzeba czasem użyć i czegoś takiego.

Kiedy Tay wyszedł od Urga, ogarnął go głęboki smutek. Nie umiałby określić jego przyczyny. Poczł się nagle samotny, nawiedził go żal, jakby opuścili go przyjaciele.

Jednocześnie rodziło się w nim rosnące zniecierpliwienie. Chciałby już być tam, w podziemiach kosmodromu. Zasiść w kabinie dowodzenia i włączyć reaktory. Chciałby wystartować, bo wydawało mu się, że dopiero wtedy będzie bezpieczny.

Maya zauważyła jego rozdrażnienie. Do rozpoczęcia operacji „Start” pozostały cztery godziny. Próbowwała złagodzić stan napięcia Taya, ale jej usiłowania wywoływały wręcz odwrotny skutek.

Obładowani torbami, dotarli na dach budynku, gdzie stał ich aerostat. Dopiero kiedy wystartowali, poprawiło się samopoczucie Taya.

- Można powiedzieć, że rozpoczęliśmy naszą podróż. Jak się czujesz, kochanie?

Roześmiała się z - przymusem. Patrzyła w dół na płonące tysiącem świateł miasto.

Czy zobaczy je jeszcze kiedykolwiek? Aby uniknąć niepotrzebnych komplikacji, nie pożegnała się z matką, z przyjaciółmi. Pozostawiła drogie jej sercu osoby w nieświadomości jej losu. Czy dobrze zrobiła? Kiedy Tay przygotowywał maszynę do lądowania, powiedziała z odcieniem żalu w głosie:

- Myślałam o tych wszystkich drogich nam istotach, które zostawiamy. Rozstałam się z nimi bez pożegnania, tak jakbym wychodziła po zakupy. Myślę, że źle zrobiłam. Matce należało powiedzieć...

Tay włączył reflektor. Aerostat powoli osiadł w jego jasnym kręgu.

- Daj spokój, Maya - powiedział łagodnie. - Nie czas teraz na takie rozważania. Czeka nas bardzo trudne zadanie i aby je wykonać, musimy zapomnieć o wszystkim innym.

Zacęli schodzić wolno na dno wąwozu. Bez trudu odszukali ścieżkę prowadzącą do skalnego nawisu ukrywającego wejście do podziemnego korytarza. Kiedy stanęli w jego przedsionku, Tay umocował na piersi elektryczną latarkę i spoglądając na zegarek powiedział:

- Mamy trzy godziny czasu. Odległość do kosmodromu musimy pokonać w ciągu dwóch godzin.

Poprawił przytroczoną do pleców, starannie opakowaną szczepionkę i wziął torby.

Ruszyli naprzód. Niedaleko wejścia do niedawno odkrytej starożytnej świątyni

zatrzymali się na odpoczynek. Maya chciała zajrzeć do wnętrza, ale Tay nie zgodził się.

- Nie wolno nam tracić drogiego czasu.

Nie wyjaśnił jej prawdziwego powodu swego sprzeciwu. Kiedy był tu po raz trzeci i kończył pracę nad przekopem łączącym korytarz z jednym z tuneli kosmodromu, wiedziony chęcią zobaczenia raz jeszcze zgromadzonych w grocie wspaniałych zabytków starożytnego świata, wszedł do środka i oniemiał z wrażenia. Wiszące na ścianach gobeliny utraciły barwę, a zamiast niezwyklej mumii w fotelu tkwił tylko jej szkielet. Przeraziło to Taya, nie chciał więc, aby Maya przeżyła podobny wstrząs.

Po kilkuminutowym odpoczynku poszli dalej. Nim dotarli do wydrążonego w ścianie otworu, odpoczywali jeszcze dwukrotnie. Gdy byli już na miejscu, dochodziła godzina zero. Po tej godzinie na kosmodromie nie wolno było przebywać żadnej ludzkiej istocie.

Kosmodromu strzegły jedynie czujniki połączone poprzez komputery z centralnym ośrodkiem dyspozycyjnym, którym kierował superkomputer So. Ale o tym Tay wiedział. Wiedział, że ich elektryczno-magnetyczne pola zwrócone były na zewnątrz, w stronę wejścia do kosmodromu i znajdujących się na jego powierzchni urządzeń. Droga, którą Tay obrał, wydawała mu się bezpieczna. Należało jednak być przygotowanym na nieprzewidziane przeszkody. Dlatego wyposażeni byli w specjalne urządzenie, tak zwany WNS (wykrywacz niebezpiecznych stref). Ostrzegało ono przed bezpośrednim zagrożeniem. Teraz, kiedy Tay zagłębił się w dwumetrowej długości przekop, umieścił wykrywacz na przegubie dłoni, tak aby w każdej sytuacji mógł dostrzec błyszczącą kapsułkę, wewnątrz której pulsował gaz. Precyzyjnie przeszedł przez wydrążony korytarzyk bez trudu. Przeciągnął bagaże i pomógł Mayi wydostać się z przekopu. Znajdowali się teraz w jednym z betonowych korytarzy kosmodromu. Pierwszy etap ucieczki mieli poza sobą.

- Oby tak dalej - powiedział Tay do Mayi. - Może szczęście nam dopisze.

Spojrzała na niego z serdecznym uśmiechem.

- Jestem o tym przekonana.

Szli teraz jasno oświetlonym korytarzem. Minęli ogromną salę montażową. Pełno w niej było potężnych dźwigów i różnych innych mechanizmów. Środek sali zajmował gigantyczny korpus rakiety Gwiazda 3. Widząc to wszystko, Maya wydała okrzyk podziwu.

Stała, zafascynowana potęgą ludzkiej myśli, która, zmaterializowana w połyskujących stopach metali, przytłaczała swym ogromem. Tay ponaglał do dalszej drogi.

Skręcili w główny korytarz. Był szeroki, wyłożony zieloną glazurą, obwieszony kablami i różną aparaturą.

- Takich hal montażowych jest w kosmodromie kilka - objaśnił Tay.

Po kilku minutach skręcili w jeden z bocznych korytarzy i zeszli schodami niżej.

Ogromna, okrągła sala wyłoniła się tak nagle, że Maya wydała znów lekki okrzyk. Tay również był podniecony. Stali przez chwilę w milczeniu, przyglądając się kadłubowi pojazdu

dalekiego zasięgu. Błyszczał ciemnym srebrem, gładki, o opływowych kształtach, potężny. Uwięziony w labiryncie pomostów, w szczękach olbrzymich dźwigów magnetycznych, sprawiał wrażenie gigantycznego chrząszcza wplątanego w metalową konstrukcję ogromnej sieci.

- Jak wydobyć z tego tę raketę? - zaniepokoiła się Maya.

- Jakoś poradzimy. To tylko pozornie tak groźnie wygląda. Wystarczy uruchomić mechanizmy.

Ale nim to uczynił, zajął się w pierwszej kolejności ostatnim członem rakiety, gdzie mieścił się reaktor głównego napędu. W krzemowych pojemnikach stały gwiazdki wmontowane baterie z paliwem antyatomowym. Dalej w owalnym zbiorniku zatankowana była mieszanka lotium.

- Wszystko w porządku, jedziemy do kabiny - powiedział.

Wsiadł do niewielkiej oszklonej windy i wjechali nią na zawieszony niemal pod samym stropem pomost, stanowiący czołowy człon pojazdu. Z głównego pomostu krętymi schodkami zeszli do owalnych drzwiczek prowadzących do kabiny pojazdu. Ale mimo nastawienia odpowiedniego szyfru drzwi nie otworzyły się. Dopiero kiedy trochę już zdenerwowany Tay włączył dodatkowe źródło zasilania, ustąpiły. Zajął obszerną kabinę dowodzenia. Tay sprawdził poszczególne mechanizmy. Działały sprawnie. Ale drobny incydent z wejściem do pojazdu zasiał w Tayu ziarno niepokoju. Postanowił przyspieszyć start. Opuścił pojazd i udał się do centrali mechanizmów, gdzie znajdowały się pulpity, pełne przycisków, agregaty i trzy ukryte w metalowych szafach komputery. Włączył niezbędną moc energetyczną. Następnie uruchomił mechanizm obracający kopułę startową. Operację tę obserwował przez wziernik peryskopu. Poprzez wielki, kolisty otwór widział granat usianego gwiazdami nieba. Czub pojazdu znajdował się w samym środku otworu. Teraz należało odłączyć pomosty i uruchomić mechanizmy dźwigni. Tay obserwował, jak potężny rdzeń głównego podnośnika wysuwa raketę z podziemnego hangaru. Jeszcze chwila i magnetyczne łapy udźwigu zewnętrznego opasały korpus pojazdu i ustawiły go na pierścieniach wyrzutni. Cały manewr trwał osiem minut i odbywał się przy akompaniamencie ledwo słyszalnego pomruku silników urządzeń pomocniczych. Pojazd osiadł zgodnie z przewidywaniami. Tay wspiął się po szczeblach masztu, którego jedno ramię trzymało kadłub rakiety w pionowej pozycji, do kabiny. Przy wejściu czekała na niego Maya.

- Wszystko dobrze? - zapytała z niepokojem.

- Wszystko dobrze - odparł z uśmiechem.

Nacisnął dźwignię automatu. Drzwi zasunęły się bezszelestnie. Dostrzegł pobladałą twarz dziewczyny.

- Głowa do góry, Maya, za kilka minut startujemy. Połóż się tutaj - dodał. -

Przyspieszenie jest bardzo duże...

Sam przeszedł do kabiny pilotażu. Nacisnął dźwignię i ramię pomostu opadło. Wtedy włączył reaktory. Ogłuszający huk wstrząsnął kosmodromem. Pojazd jakby drgnął, ale mogło się tylko tak wydawać. Ogarnięty nagłym strachem, Tay przestawił dźwignię pracy reaktora na maksimum. Pojazd stał nieruchomy, jakby trzymany na uwięzi przez niewidoczną a potężną siłę. Tay poczuł lekki zawrót głowy. Myśli zaczęły mu się plątać, ciało ogarniał bezwład. Z przerażeniem uświadamiał sobie, że opuszczają go siły fizyczne i zdolność myślenia. Instynktownie wyłączył reaktor. Siedział wtłoczony w fotel pilota, bezradny, sparaliżowany złowrogim przecuciem, że oto zbliża się jego porażka. Co się stało? Czego nie przewidział w swym tyle razy analizowanym planie? Nagle rozległ się ostry dźwięk alarmowych syren i przestrzeń zalały potoki jasnego światła. Widział i słyszał to wszystko nie zbliżając twarzy do iluminatora. I wtedy w okrągłym, schodzącym w dół przejściu kabiny

zobaczył twarz Mayi i usłyszał jej przeraźliwy krzyk:

- Rób coś, Tay! Słyszysz?! Rób coś! Musimy wystartować, zanim nas osaczą! Słyszysz?!

Ten krzyk przywrócił mu siły. Odzyskał na tyle spokój, że mógł logicznie myśleć. I wtedy zrozumiał wszystko. To, że nie może wystartować, sprawił superkomputer So. Kiedy pojazd przygotowany był do startu, musiał otrzymać o tym informację i spowodował blokadę. Tay nie znał mechanizmu jej działania. Wiedział tylko, że urządzenie to neutralizuje na ściśle określonym obszarze grawitację i wywołuje dysostencję wtórną. Na tej właśnie zasadzie unosiła się Chmurna Wyspa Trustu Mózgów. W desperackim porywie Tay postanowił dotrzeć do So i wymusić na nim wyłączenie blokady. Musi to zrobić, zanim zaalarmowani strażnicy dopadną rakiety. Z głównego korytarza wbiegł do przedsiionka ośrodka dyspozycji, gdzie na drugim piętrze pod szklaną czaszą znajdował się superkomputer So, potężne urządzenie, szczyt technicznej myśli mieszkańców Żółtej Planety, komputer zbudowany na podobieństwo człowieka. So nie tylko zdolny był przeprowadzać logiczną analizę faktów, ale i reagować w taki sposób, jakby posiadał zmysły.

Kiedy Tay uchylił drzwi, So odezwał się bezbarwnym głosem:

- O co chodzi, Tay? Chcesz pewnie mojej pomocy?

- Nie udawaj, So! - odparł Tay tłumiąc wściekłość. - Wiesz, o co chodzi. Jeśli natychmiast nie odblokujesz pojazdu, to...

Zgrzytliwy, metaliczny rechot odbił się zwielokrotnionym echem od wysokiego sklepienia sali.

- Grozisz mi?

W jego niesamowitym chichocie czaiła się groźba. Tay instynktownie cofnął się o krok. Zrobił to w samą porę. Drzwi zamknęły się przed nim bezszelestnie.

- Chciałeś mnie wciągnąć w pułapkę, potworze! - krzyknął. - Ale ze mną nie pójdzie

ci łatwo!

Powiedziawszy to, Tay wbiegł piętro wyżej. Teraz superkomputer, który ciągle jeszcze zanosił się śmiechem, znajdował się pod nim. Tay wyciągnął podarowany mu przez Urga pistolet. Trzy suche trzaski i trzy następujące po sobie wybuchy przeszły powietrze. Elektryczne naboje, detonując, rozerwały elektroniczny mózg So, wgrzyły się w jego kadłub deszczem iskier wysokiego napięcia, spaliły go. Wybiegając Tay widział, jak cielskim robota wstrząsają dreszcze, jak kurczy się ono i rozlatuje. W ten sposób Tay, unicestwiając superkomputer, zlikwidował ośrodek dyspozycji. Pozbawiony ochronnej kontroli, kosmodrom stał otworem dla wszystkich. Ale dla Taya fakt ten nie miał znaczenia. Biegł tunelem do stanowiska rakiety dysząc ciężko. Liczyła się każda sekunda. Syreny alarmowe wyrwały ze snu specjalny oddział ochrony kosmodromu. Oczyma wyobraźni widział Tay, jak na swych zwrotnych aerostatach lądują w obrębie lotniska, jak obstawiają wejścia do tuneli i biegną na stanowiska startowe. Musi wygrać ten wyścig. Jeśli tamci wyprzedzą go, to nie tylko nie zrealizuje swego planu, ale resztę życia spędzi przykuty łańcuchami do taczki w jednej z kopalń rud metali kolorowych. I Maya! Myśl o niej poderwała go, dodała sił. Ale kiedy wbiegł między konstrukcje wieży kontrolnej, potknął się i upadł. Padając uderzył głową w metalowy pręt. Przeniknął go ostry ból. Czuł, jak oczy zalewa mu krew. Wytarł ją dłonią i zerwał się na nogi. Oszołomiony bólem, stał chwilę, dysząc i słaniając się. I wtedy z głównego tunelu doleciały go okrzyki pościgu. Uzbrojeni strażnicy byli tuż, tuż. Zataczając się dopadł pojazdu. Ale aby dostać się do wnętrza, musiał wdrapać się po wąskich stopniach pomostu. Zaczął się wspinać. Obok jego głowy przeleciały dwa pociski. Uświadomiło mu to, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Nad sobą usłyszał przejmujący krzyk Mayi:

- Prędeż, Tay, prędeż!

Pociski padały gęsto, rozrywały się na kadłubie pojazdu, przecinały cieńsze pręty stalowej konstrukcji, po której wspinał się Tay. Jeszcze tylko kilka metrów. Udało się! Tay zwałił się, wyczerpany, w przedsionku kabiny. W tej samej niemal sekundzie Maya włączyła automat. Drzwi zasunęły się w chwili, kiedy pościg znajdował się na pomoście. Maya zawołała z radosną ulgą:

- Jesteśmy uratowani!

Podbiegła do Taya.

- Jesteś ranny? - zapytała z troską nachylając się nad nim.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Musimy wystartować... zaraz... - wyszeptał z wysiłkiem.

Jego szeroko rozwarte, przerażone oczy błędziły nieprzytomnie po twarzy Mayi.

Ostatkiem sił podniósł się jednak i czepiając się przedmiotów przeszedł do kabiny

pilotażu. Włączył reaktor. Seledynowe płomienie zdawały się ogarniać cały pojazd. W narastającym huku pojazd drgnął i pomknął w przestrzeń. Ogromna siła narastającego

przyśpieszenia wcisnęła Taya w głąb fotela pilota. Instynktownie zapiął pasy i wyciągnął nogi. Nie mógł się ruszyć, ale uśmiechał się. Uśmiechał się do własnych myśli. Przypominały mu się wydarzenia ostatnich dni, uciążliwe, uparte, pełne napięcia przygotowania.

Uświadomił sobie, że osiągnął w połowie to, co zamierzał.

Gwiazda 3 mknęła w bezwymiarowej przestrzeni kosmosu. Spojrzał na rozmieszczone nad fotelem zegary. Rejestrator przebytej drogi wskazywał trzy i osiem dziesiątych rt. Oznaczało to, że za chwilę pojazd znajdzie się w kosmicznej próżni. Teraz mógł już włączyć sztuczną grawitację. Wydał komputerowi polecenie i po chwili doznał wrażenia, jakby nie znajdował się zawieszony w przestrzeni, lecz na powierzchni rodzimej Żółtej Planety, tylko że bezkresnej, obcej.

Pomyślał o Mayi.

Po pewnym czasie zszedł do głównej kabiny. Maya leżała na koi z twarzą wtuloną w poduszkę. Jej dłonie kurczowo zaciskały się na metalowych poręczach. Tay dotknął jej ramienia. Odwróciła głowę i patrzyła na niego trochę nieprzytomnym wzrokiem.

- Zapadłam w jakieś odrętwienie... Co się z nami dzieje, Tay?

- Wszystko dobrze, Maya. Chodź, spojrzymy na naszą planetę, niedługo zniknie nam z oczu.

Maya wstała niepewnie, pierwsze kroki stawiała ostrożnie, jakby bała się, że straci pod nimi oparcie i polecą w przestrzeń.

- Śmiało, Maya - zachęcał Tay, - Nie obawiaj się, nie pofruniesz, pojazd ma grawitację i to dokładnie taką samą jak Żółta Planeta.

Przebiegła kilka kroków.

- Rzeczywiście - powiedziała, że czuję, jakbym miała grunt pod nogami.

Przeszli do kabiny nawigacyjnej, gdzie obok urządzeń pomiarowych znajdowały się różnej wielkości teleskopy. Były tak skonstruowane, że siedząc w wygodnym fotelu można było obserwować przestrzeń kosmiczną w zasięgu stu osiemdziesięciu stopni. Tay posadził Mayę przy jednym z nich i przybliżył na wysokość jej oczu okular. Sam zrobił to samo. Z odległości tysiąca rt ich rodzima planeta wyglądała jak wielka, połyskująca w połowie żółtym światłem kula. Drugą część planety otaczał cień. Przydawało to jej tajemniczości. Maya z napiętą uwagą wpatrywała się w malejącą kulę. Jakby chciała raz jeszcze, może ostatni, zobaczyć zarysy łądów, pasma gór, może nawet spodziewała się odnaleźć kontury rodzinnego miasta. Ale planetę otaczała powłoka chmur, gruba, nieprzenikniona. Maya mogła tylko wyobrazić sobie rozłożone nad brzegami jeziora miasto, którego ogromne, szklane domy połyskiwały złotem w promieniach wschodzącego słońca. W jednym z tych domów śpi jej matka i siostry, w innych przyjaciele. Za trzy godziny matka obudzi się, a w czasie śniadania zaniepokoi ją nieobecność córki. Nie była na kolacji, siostry dzwoniły do niej, ale nikt nie

odpowiadał. Może jeszcze próbowały połączyć się z Tayem, a gdy i to się nie udało, popadły w rozpacz. Ale rano zadzwoni Szut i powie matce, że wszystko w porządku, że Maya jest bezpieczna. Z zadumy wyrywa Mayę głos Taya:

- I to jest ta wielka, o wysokiej cywilizacji planeta. Jeszcze trochę, a stanie się ledwo dostrzegalnym pyłkiem w bezkresnej przestrzeni kosmicznej, do którego trudno trafić.

Maya westchnęła, słowa Taya przypominały jej sytuację, w jakiej się znaleźli.

- Sądziś, że zdołamy dotrzeć do Tenegery, że nie zbłądzimy? - zapytała.

- Na mapie gwiazdnej wydaje się, że do układu planetarnego Czerwonego Warkocza jest stosunkowo blisko. Tworzy go bowiem gwiazda z wierzchołka konstelacji Wielkiego Trójkąta. Ale tak to wygląda, gdy patrzy się na mapę, w rzeczywistości jest to odległość mierzona latami świetlnymi, a więc trudno wyobrażalna. W tej chwili, na przykład lecimy z ogromną prędkością i oddalamy się tylko od jednego punktu: od Żółtej Planety. Ona jednak niknie i nic się więcej nie dzieje. Inne układy planetarne i ich gwiazdy są nadal maleńkie i tajemnicze. Jeśli nawet wpatrywać się w jakiś jeden zbiór, to odnosi się wrażenie, że odległość między nimi jakby się zwiększała, jakby te maleńkie punkcik; uciekały od siebie w głąb nieskończoności. Umysł ludzki, wyobraźnia, nawykłe do wymiernych odległości ziemskich, nie są zdolne uzmysłwić sobie odległości istniejących we wszechświecie. Nawet my, zawodowo zajmujący się badaniem kosmosu, nie potrafimy choćby w przybliżeniu pojąć nieograniczoności przestrzeni kosmicznej. Wydaje nam się, że już, już nasze elektronowe teleskopy dotarły do granicy, że tam gdzieś poza ledwo widoczną konstelacją nie ma już nic, a tymczasem okazuje się, że właśnie tam pojawiło się nowe ciało dające początek nowemu zbiorowisku gwiazd. I tak w nieskończoność.

Rozważania Taya przerwał sygnał wywoławczy łączności radiowej. Tay włączył odbiornik. Dały się słyszeć charakterystyczne trzaski i podniecony, jak się zdawało, głos Szuta:

- Gea 1, słyszycie mnie? Gea 1, tu mówi S, jak mnie słyszycie?

Tay włączył nadajnik,

- Bardzo dobrze słyszę cię. S. Go nowego?

- Szef ogłosił alarm na całej planecie. Przed chwilą wystartowały trzy Gwiazdy.

Musicie liczyć się z tym, że pościg dopadnie was za dwie, trzy godziny. Z zamiaru lotu Gea 1 szef wywnioskował, że lecicie nad T. Sądzi on, że czynu tego dokonały istoty z innej planety.

Niemniej wydał zarządzenie kontroli wszystkich mieszkańców Żółtej Planety. Oczywiście nie zmienia to w niczym istoty sprawy, chociaż... - W głosie Szuta zabrzmiała nuta niepewności.

Tay zrozumiał, co Szut miał na myśli. Działanie odwetowe. Tay nie pozostawił na

Żółtej Planecie nikogo. Natomiast Maya... Wie podejmując myśli zawartej w słowach Szuta, odparł szybko:

- U nas wszystko w porządku. Miałem tylko Kłopoty ze startem. Musiałem zniszczyć

So.

- Wiem... Ktoś nadchodzi. Muszę się wyłączyć. Do usłyszenia, Gea 1.

Łączność została przerwana.

Tay spojrział na Mayę. Na twarzy jej pojawił się niepokój

- A więc jednak Ścigają nas. Co zrobimy?

Tay wzruszył ramionami.

- Mamy przewagę w czasie. Oni nie mogą rozwinąć większej szybkości niż my.

Lecimy na identycznych pojazdach. Chyba że zaryzykowałiby przekroczenie bariery krytycznego rozpadu masy. Ale wtedy nastąpiłby wybuch jądrowy.

- Ale to oznacza - podjęła Maya w napięciu - że zużycie paliwa wzrasta wtedy trzykrotnie, że oni na to mogą sobie pozwolić, a my nie, I dlatego mają nad nami przewagę.

Czyż nie tak?

- Tak, to prawda. Ale zobaczymy. Nie uprzedzajmy wypadków.

Tay podszedł do mikrofonu i wydał polecenie. Komputer błysnął zielonym okiem, co świadczyło, że rozkaz wykonał. Następnie Tay sprawdził przyrządy. Wszystkie pracowały sprawnie. Lecieli z szybkością dwa tysiące pięćset rt na sekundę. Tę ogromną prędkość mogła osiągnąć jedynie materia w warunkach próżni. Napawała Taya niepokojem myśl, że mogą zderzyć się z meteorytem. W przestrzeni kosmicznej krążyły różne odłamki materii i gdyby jeden z nich trafił w pojazd, to niezależnie od jego masy siła uderzenia miałaby tak ogromną energię kinetyczną, że nastąpiłby wybuch, który zamieniłby pojazd w popiół. Zapobieżenie temu przy tak ogromnej szybkości było niemożliwe. Tay wiedział, że nawet komputer nie zareaguje na niebezpieczeństwo, ponieważ szybkość jego reakcji była w porównaniu z prędkością statku zbyt wolna. Tay pocieszał się tym, że w dotychczasowych kosmicznych lotach nie zanotowano przypadków zderzenia z meteorytem. Nieco uspokojony, przeszedł do kabiny służącej za jadalnię i sypialnię. Zastał Mayę przy lodówce. Wyciskała z tubek na małe i cienkie sucharki pasty odżywcze. Kolorowe kanapki ułożyła na srebrnych tackach. Zasiadli do jedzenia. W pewnej chwili Tay poczuł znużenie. Zaczęły mu drżeć ręce, głowa opadała na piersi. Nie potrafił tego opanować.

- Co ci jest, kochanie? - zapytała z niepokojem Maya.

- Nic mi nie jest. Jestem tylko trochę wyczerpany Muszę odpocząć.

Zaraz też rozebrał się i położył.

- Póki nie będziemy pewni, że uszliśmy pościgowi - powiedział jeszcze - musimy czuwać. Obserwuj więc, gdy będę spał. Jeśli coś dostrzeżesz, obudź mnie.

Maya uśmiechnęła się i spojrzała na niego z czułością.

- Co byś ty zrobił beze mnie?

- Tak, co bym zrobił? - odparł również z uśmiechem, sennym już głosem.

Przez chwilę Maya wsłuchiwała się w jego oddech. Potem usiadła przy teleskopie wpatrując się przez okular w rozpościerającą się przed nim przestrzeń. Żółta Planeta podobna była teraz do wielkiej dyni połyskującej żółtozłotym blaskiem. Z prawej strony pojazdu

migotała niebieskawym światłem Orta, gorąca, pozbawiona życia planeta, na której odbywały się procesy formowania jej zewnętrznej skorupy. Dalej widać było inne ciała niebieskie układu galaktycznego, do którego należała i Żółta Planeta. Były one jednak słabo widoczne z powodu światła gwiazdy Myt. Maya nasunęła na okular brązowy filtr. Mogła teraz obserwować nie tylko otaczający ją zewsząd rój gwiazd, ale i samą Myt. Białą, rozżarzoną kulistą masę otaczała wydłużająca się nieco w dwóch przeciwnych sobie kierunkach korona. Mieniła się delikatnymi odcieniami trzech kolorów: jasnoniebieskim, amarantowym i seledynowym. Były one jednak ledwo dostrzegalne i tylko w górnej części korony tej potężnej białej masy. Jakże inaczej wyglądała gwiazda Myt z powierzchni Żółtej Planety, podobna do miedzianej, promieniującej ciepłem kuli. Jej łagodne ciepło powodowało powstawanie złożonych związków organicznych. Energia cieplna tej gwiazdy dała początek życiu na Żółtej Planecie i rozwinęła je w różnorodną wielorakość form. Kiedyś, tysiące lat temu, na cześć gwiazdy Myt układano hymny, śpiewano pieśni, składano ofiary, Czczono Myt jako dobroczynne bóstwo. Dla Mayi była Myt tylko gwiazdą, na której odbywał się nieustanny proces rozpadu i syntezy atomów. Jeszcze przez chwilę obserwowała wspaniałą koronę gwiazdy. Potem, znużona, odsunęła okular i wtuliła głowę w miękkie obicie fotela. Przez chwilę walczyła z ogarniającą ją sennością. Ale uczucie zmęczenia było silniejsze. Zbudził ją jednostajnie brzmiący i regularnie się powtarzający sygnał radiowy. Zerwała się, przestraszona, i nacisnęła przełącznik. Nachylając się nad mikrofonem powiedziała:

- Tu Gea 1. Co słychać, S?

W głośnika zabrzmiał zachrypnięty nieco głos Szuta:

- Co u was? Dobijam się już od kilku minut i jestem zaniepokojony ciszą.

- W porządku, S. Tay śpi, ja również zdrzemnęłam się.

- Słuchaj, Maya - powiedział Szut gwałtownie - przed chwilą otrzymałem meldunek, że oni już was widzą.

Słowa Szuta zmroziły Mayę.

- Obudź Taya - mówił dalej Szut - muszą z nim rozmawiać.

Obudziła go. Patrzył na nią półprzytomnym wzrokiem. Podała mu mikrofon.

- Szut chce z tobą mówić - powiedziała.

Tay natychmiast oprzytomniał.

- Co nowego, Szut? - rzucił w mikrofon.

- Mówiłem już Mayi. Oni dostrzegli was. Za kilka godzin...

- Ależ Szut, nie sądzę, aby mogli przekroczyć barierę prędkości!

- Zrobią to, Tay. I mają polecenie, aby zniszczyć wasz pojazd.

- Nie wiem, w jaki sposób mogliby to zrobić.

- Ich rakiety wyposażone są w wyrzutnie pocisków atomowych.

- Co z tego? Prędkość pocisku jest o połowę mniejsza od prędkości Gwiazdy-3.

- Tak, ale oni wcale nie muszą atakować z tyłu.

Tay zasepił się.

- Rzeczywiście. Nie brałem tego pod uwagę. Co w takim razie mam zrobić?

- Nic. Musicie uciekać. Gdyby jednak użyć broni.”

- Wiesz, że nie zrobią tego. W pojazdach są ludzie niewinni ludzie.

- Ale jeśli was zaatakują, musicie się bronić.

- Zmienią kurs, może uda mi się zmylić pogoń. Mam już nawet plan...

- Muszę kończyć, Tay. Życzę wam powodzenia.

- Dziękuję. Pozdrów ode mnie Urga i jego córkę. Trzymaj się. Mijam w tej chwili planetę Ut, ale lecę po przeciwnej stronie jej orbity względem Myt. Odczuwamy energetyczne działanie naszej gwiazdy, mimo że urządzenia klimatyzacyjne działają bez zarzutu. Będę musiał zmienić kurs lotu...

- Do widzenia, Gea 1.

- Do widzenia.

Tay zawiesił mikrofon i podszedł do teleskopów. Przy jednym z nich siedziała Maya.

Kiedy nastawiał ostrość, powiedziała:

- Musisz założyć filtr. Bez przesłony pojazdy do złudzenia przypominają dalekie gwiazdy.

Tay z uwagą obserwował przestrzeń. Gdzieś na kursie lotu pojazdu Gwiazdy 3 połyskiwały odbitym światłem trzy maleńkie punkciki. Dopiero kiedy nasunął na soczewki przesłonę, połyskujące punkty nabrały wyraźniejszych kształtów. Wpatrując się w nie, Tay obliczał, za ile godzin zbliżą się na taką odległość, aby mogły skutecznie zaatakować jego pojazd. Wiedział, że ścigające go statki pędzą z maksymalną prędkością. Uwzględniając różnice prędkości doszedł do wniosku, że dopadną go za sześć godzin i dwadzieścia minut. Jego pojazd będzie wtedy na wysokości orbitalnej planety Hez.

- Ależ ze mnie głupiec! - zawołał nagle. - Żeby tego nie przewidzieć.

Podszedł do metalowej szafy i z szuflady wyjął atlas kosmosu. Chwilę patrzył na wycinek w kwadracie 3-17 i 60-23.

- Co się stało? - zapytała Maya podchodząc do niego.

Nie odpowiedział. Wodził po mapie przenośnikiem porównując odległości.

- Żeby nie brać pod uwagę takiej ewentualności, trzeba być skończonym durniem! - złościł się na siebie.

- Ale o co chodzi, Tay? - zapytała Maya. - Czy znaczy to, że...

- Tak, właśnie - odparł.

To znaczy - ciągnęła domyślając się z zachowania Taya, o co chodzi - że Trust Mózgów wysłał z planety Hez pojazdy, które przetną nam drogę?

- Tak. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy! Przecież nawet małe dzieci wiedzą, że na planecie Hez znajduje się baza pojazdów dalekiego zasięgu. Trust to wykorzysta, tym bardziej że ścigające nas pojazdy przekazują dokładne dane o położeniu naszego.

Maya ożywiła się.

- Ależ, Tay, twoje obawy są nieuzasadnione. Zanim kosmodrom na planecie Hez otrzyma rozkaz, my będziemy już daleko.

Taya to nie przekonywało.

- Brałem to pod uwagę - powiedział. - Ale jest pewna różnica w czasie. Dlatego nie możemy ryzykować. Zmienimy kurs naszego lotu kierując się w stronę układu Troton. Co prawda zboczymy nieco z naszej trasy, ale daje to większą szansę ucieczki.

Podszedł do mikrofonu, przekazał polecenie komputerowi. Sterowanie pojazdem odbywało się za pomocą jednego z czterech reaktorów. W zależności od kąta manewru komputer wyłączał na chwilę jeden lub dwa reaktory. Maksymalna praca dwóch pozostałych powodowała odpowiednie odchylenie trasy pojazdu od dotychczasowego kursu. Zmianę kierunku określało położenie względem Myt. Każde odchylenie od zaprogramowanego kursu rejestrował specjalny przyrząd. W tej chwili absorbował Taya problem, czy jeśli polecą drogą okrężną, starczy mu paliwa. Paliwo determinowało zasięg lotu, powodzenie wyprawy zależało więc od ilości zapasu; Jeszcze przed lotem Tay obliczył wspólnie z Urgiem, że aby dotrzeć na Tenegerę, musi zabrać z sobą osiem baterii z paliwem antyatomowym i pełen zbiornik lotium. Dysponował więc niezbędnymi zasobami do przebycia tej drogi, Teraz jednak, kiedy zmienił trasę lotu, a za sobą miał coraz wyraźniej widoczne statki ścigające, sprawa paliwa nabrała innych wymiarów. Tay postanowił raz jeszcze przemyśleć nowy wariant lotu. Z rozważań wyrwał go okrzyk Mayi. Pobiegł do niej. Oderwała na chwilę oczy od wziernika teleskopu i powiedziała przejęta:

- Patrz, coś wisi nad nami!

Spojrzał w lunetę. Przez moment oślepiły go promienie gwiazdy Myt. Przekręcił filtr i począł pilnie obserwować przestrzeń ponad lecącym pojazdem. W ostrym świetle gwiazdy dostrzegł w znacznej odległości od rakiety trzy małe punkciki. Oślepiające, białe tło podkreślało ich dziwne kontury. Przypominały postacie ludzkie. Co to mogło być? Przesławił pokrętką namiarów na bliski zasięg. Tajemnicze sylwetki przybliżyły się i nabrały ostrości. Pierwsze, niejasne dotąd wrażenie potwierdziło się. To byli ludzie. Ubrani w ciemne skafandry kosmiczne, przywiązani do siebie linką, tkwili w próżni na podobieństwo błądzących meteoroidów. Tay uczył przyspieszone bicie serca i nieprzyjemny skurcz w gardle.

Z trudem oderwał wzrok od okularu teleskopu.

- Maya, to przecież ludzie - powiedział.

Maya z trwogą obserwowała, jak wyciągnięte sztywno ciała ludzkie przesuwają się wolno ponad pojazdem, krążąc po swojej własnej, wyznaczonej im przez grawitację kosmiczną orbicie. Połączone sznurem, który stanowił jakby symbol ich wspólnego losu, przez chwilę jeszcze majaczyły w białej poświacie gwiazdy Myt, by zniknąć nagle w nasyconej promienistą energią głębi kosmosu. Maya z trudem oderwała wzrok od okularów

teleskopu. Nie podnosząc głowy powiedziała bezdźwięcznym głosem:

- Niesamowite. Nigdy bym nie uwierzyła, że to może się zdarzyć.

Tay odparł przygnębiony:

- Oto jak Trust Mózgów postępuje z ludźmi, Niejeden już eksperyment kosmiczny kończył się podobną tragedią. W dalekie rejony kosmosu wysyła się pojazdy z załogami, którym wyznacza się zadania nieraz niewykonalne. Zdarzało się, że załogi statków uważanych za zaginione zdawały sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Zwracały się do Ky, aby zwolnił ich z obowiązku kontynuowania eksperymentu. Z reguły otrzymywały odpowiedź negatywną, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Przebywający w kosmosie ludzie popadali w chorobę psychiczną, zwaną obłędem przestrzeni, i kierowali swe pojazdy w głąb kosmosu. Żywili podyktowaną szaleństwem nadzieję, że uda im się osiągnąć najbliższy układ planetarny i wylądować na planecie, której zielona barwa znamionuje życie. Inni próbowali ratować się lądując na planecie Hez. Ucieczka czasem udawała się. Żyją teraz ukryci w niedostępnych ostępach. Byli i tacy, którzy po wyczerpaniu zapasu paliwa opuszczali pojazd i próbowali dostać się w orbitę magnetyzmu Żółtej Planety. Nie zdawali sobie sprawy, że siła odśrodkowa planety wyznaczy im orbitę, po której krążyć będą dopóty, dopóki ich wyschnięte ciała nie zaczną spadać z ogromnych wysokości na Żółtą Planetę, a na jej powierzchnię dotrze już tylko popiół z ich ciał. Taki sam koniec czeka i tych ludzi, z którymi zetknął nas nieoczekiwane los.

Po chwili milczenia odezwała się ze smutkiem Maya:

- Sądzę, że i nas czeka taki los.

Tayowi sprawiły te słowa dotkliwy ból.

- Nie, Maya - powiedział z tkliwą troską. - Jesteśmy w innej sytuacji. Tamci wykonywali polecenia Trustu, my możemy lecieć według własnej woli.

Maya uśmiechnęła się gorzko.

- O tak, cały wszechświat stoi przed nami otworem. Możemy pędzić od galaktyki do galaktyki przez całe nasze życie.

Odpowiedział nie ukrywając rozdrażnienia.

- Uprzedzałem cię przecież, że to niebezpieczne.

- Już dobrze. - Przytuliła się do niego i pocałowała.

Przeszła do drugiej kabiny i usiadła na koi, Czuła się śmiertelnie znużona. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin żyła w nieustannym napięciu. Wszystko, co robiła, było konsekwencją podjętej wcześniej decyzji. Ale okoliczności towarzyszące wydarzeniom i same wydarzenia okazały się tak nieoczekiwane, że przerastały jej wyobrażenia. I dlatego wszystko, co robiła, wykonywała jakby bez udziału swej woli. Nawet już kiedy znalazła się w startującej rakiecie, miała wrażenie, jakby to, co dzieje się wokół niej, było snem na jawie.

Ale teraz, kiedy patrzyła przez lunetę na ledwo już' widoczną Żółtą Planetę, uprzytomniła sobie, że stała się kimś innym, kimś, kto zostawiwszy tamten świat, bliskich ludzi, stał się istotą należącą do ogromnego, pełnego tajemnic kosmosu. Leci teraz z ogromną prędkością w bezkresnej pustce, ale wcale tego nie odczuwa. Wydaje jej się, że jest w małym, dziwacznym schronieniu, za oknem jest noc usiana gwiazdami, z których tylko jedna jest jeszcze wielka, ogrzewająca swym ciepłem połowę tego schronienia. Tylko że otaczające go zewsząd gwiazdy są inne niż ta, którą obserwowała z tarasu swego mieszkania na Żółtej Planecie. Jest ich dużo więcej i to jakby się przybliżały, to znowu oddalały. Dziwne są gwiazdy mrugające w czarnej otchłani kosmosu - myśli Maya kładąc się do snu. Błyszczą zimno, groźnie, wrogo, jakby rozgniewane, że ktoś obcy wdarł się w ich królestwo. Tay usiadł przy teleskopie, Obserwował gwiazdo zbioru, które zmieniały konfigurację przestrzenną tworząc nowe układy. Oś centralnego układu, która z powierzchni Żółtej Planety wyglądała jak zagęszczona świecącym pyłem rzeka, tutaj zmieniła swój kształt. Migocący miliardem światełek obszar, w kierunku którego lecieli, rozszerzał się tworząc nowe, asymetryczne układy. Wyłaniały się one z głębin przestrzeni ledwo dostrzegalne, a jednak jakby miały zaznaczyć swe istnienie i potwierdzić tezę, że wszechświat jest skończony, ale nieograniczony. Gdzieś z gwiazdozbioru Ata wyłoniła się nagle kometa. Podobna do płonącej główki, pędziła po nie znanej nikomu elipsie, piękna, przypominająca głowę dziewczyny z rozwianym włosom. Tay spojrział w dół. Jakby odbite w ogromnym lustrze wisiało pod nim podobne rojowisko gwiazd. Gdzieś na jego skraju błyszczał fosforyzującym światłem obłok Tu. Skręcone w spiralę o niezwykłym kształcie ciało niebieskie połyskiwało fioletoworożową poświatą. Interesujący Taya najbliższy układ planetarny Tratom składał się z dziewięciu planet. Posiadał wysokie natężenie promieniowania let. To niebezpieczne dla życia promieniowanie było powodem, że statki kosmiczne z Żółtej Planety startowały w inne rejony kosmosu, starannie omijając gwiazdę Troton. Tay wiązał z tym pewne nadzieje. Sądził, że ścigające go jednostki widząc, że leci w strefę zagrożenia, zaniechają pościgu. Brał również pod uwagę i to, że za dwie godziny jego pojazd znajdzie się w sferze bezwzględnego cienia. Był to obszar w przestrzeni, do którego nie docierała energia cieplna żadnej z gwiazd. Wieczna, absolutna ciemność otchłani o temperaturze bezwzględnego zera przerażała go, a jednocześnie podsyciała ciekawość. Jak w tym nowych warunkach zachowa się organizm? Co kryje w sobie przestrzeń, w której gwiazda jego rodzimego układu będzie już tylko w jedną z tych odległych, mrugających światełek? Czy człowiek zdolny jest świadomie uczestniczyć w pokonaniu olbrzymiej przestrzeni dzielącej dwa różne układy gwiazdne? Z relacji uczestników wypraw, którzy na Gwieździe 2 zapuścili się w te strony, Tay wiedział, że odczuwali oni poważne zaburzenia całego organizmu. Uwidaczniały się one w gwałtownym

spadku ciśnienia krwi, w braku reakcji zmysłów na bodźce zewnętrzne. Najgorsze było jednak przeświadczenie, że oto za chwilę wydarzy się coś strasznego, coś, co w ułamku sekundy zniszczy pojazd. To uczucie nieustannego zagrożenia było tym, z czym ludzie nie mogli sobie poradzić. Tay zdawał sobie również sprawy, że jego poprzednicy przebywali w strefie bezwzględnego cienia zaledwie kilkanaście godzin, gdy tymczasem dla Gwiazdy 3 czas ten jest nieokreślony. Wprawdzie pojazd Gwiazda 3 był szczytowym osiągnięciem myśli technicznej i jak dotąd wszystkie jego urządzenia działały z niezwykłą precyzją, to jednak przewidzieć, jak się zachowa w nowych warunkach, nie było możliwe. Pełen wątpliwości, Tay nastawił obiektyw teleskopu na ścigające go pojazdy. Zbliżały się. A więc mimo że zmienił kierunek lotu, tamci nie zaniechali pogoni. Pędzą za nim nie obawiając się, że zagraża to ich życiu.

Tay mógłby zwiększyć szybkość swego pojazdu. Była to jednak ostateczność. Istniała jeszcze inna możliwość pozbycia się - natrętów: działko. Tay wszedł na znajdujący się pod kopulastą wieżyczką pojazdu pomost, gdzie było umieszczone. Połączone z przymocowaną zewnątrz pojazdu wyrzutnią, posiadało mechanizm samoczynnie naprowadzający na cel. Tay pochylił się nad peryskopem. Nastawił elektroniczny system rażenia. Mechanizm zawarczał cichutko i dyni sza wyrzutni skierowała się na jeden z trzech pojazdów. Każdy z pocisków zaopatrzony był w głowicę atomową. Przez chwilę Tay wpatrywał się w płaskie sylwetki pojazdów. Wahał się. W pojazdach byli ludzie. Może nawet jego koledzy? Powinien ich ostrzec. Włączył radiotelefon. Usłyszał jakieś śmiechy i podniesione głosy. „Niedługo go dostaniemy. Wydaje mu się, że jeśli ucieka w kierunku Trotona, to się przestraszymy. Niech nie zapomina, że ma do czynienia z Legionem Nieustraszonych!” Znowu rozległ się śmiech. Potem Tay rozpoznał głos Doya: „Urządzimy sobie niezłe widowisko. Najpierw zaaplikujemy im kilka pocisków z ładunkami Fi. Niech sobie trochę poskaczą. Potem użyjemy sprzężenia zwrotnego, a jak to nie pomoże, rąbniemy jądrowym.” Znowu rozległ się śmiech. Tay włączył nadajnik i powiedział hamując gniew:

- Hej, wy tam, słyszycie mnie?! Mówi do was dowódca Gwiazdy 3, pojazdu, który ścigacie.

W odbiorniku znowu śmiech i potem:

- Słyszemy cię, słyszemy. Co chcesz przekazać nam chłopcze? Masz dość ucieczki? Tay zacisnął zęby.

- Uważajcie, co wam powiem! Jeśli w ciągu pięciu minut nie zawrócicie na Żółtą Planetę, będę zmuszany zniszczyć was!

Odpowiedzią był urągliwy śmiech i wyzwiska, Tay nie zastanawiał się już dłużej.

Nastawił celownik wyrzutni tak, aby pocisk rozerwał się o dwie mile ponad pojazdami.

Będzie to pierwsze ostrzeżenie. Uruchomił mechanizm. Cicho zaszumiał automatyczny

przenośnik, pocisk został przesunięty z wnętrza pojazdu i umieszczony w pierścieniach wyrzutni. Tay uruchomił urządzenie powodujące reakcję jądrową. Po sekundzie błysk wybuchu oświetlił pędzące niżej pojazdy. Nie zaniechamy pościgu. Jeden z nich leciał po torze rakiety Taje, dwa pozostałe wykonały manewr, aby przeciąć lot Gwiazdy 3. Nie było to groźne, odległość była zbyt duża. Gdy jednak Tay poczuł bolesną wibrację ciała, zrozumiał, że jeden ze ścigających pojazdów wysłał wiązkę promieni elma. Te niebezpieczne, powodujące paraliż ciała promienie działały szczególnie skutecznie w niewielkich, zamkniętych pomieszczeniach, kumulując się w substancjach o twardości powyżej dwu i pięćdziesiąt ti. A Gwiazda 3 zbudowana była z takich właśnie materiałów. Jeśli w ciągu kilkunastu minut Tay nie zniszczy źródła promieniowania, to jemu i Mayi zagraża śmierć. Czuł narastający ból mięśni i gwałtowne bicie serca. Zrobił dwa kroki i zatoczył się. Zrozumiał, że musi uciec się do ostateczności. Nie chciał niczyjej śmierci, nawet śmierci ludzi, którzy go ścigali. Oni sami jej chcieli. Promienie elma wysyłał pojazd lecący w środku. Tay nastawił na niego celownik. Błysnęło i tam gdzie przed chwilą był statek powietrzny, pojawił się skłębiony obłoczek. Tay przesunął celownik na następny pojazd. Wtedy zobaczył, że oba pojazdy zawracają. Odetchnął z ulgą. Pokonując dokuczliwy ból podszedł do lunety teleskopu i przez chwilę obserwował pojazdy. Jeszcze połyskiwały w promieniach gwiazdy Myt, by po kilku sekundach stać się ledwo dostrzegalnymi pyłkami.

Tay poczuł się wolnym. Ale przebywanie w przestrzeni komicznej i działanie promieni elma bardzo go znał, że powinien zażyć środki wzmacnia gotować się do snu. Ponieważ od pewnego czasu we Wnętrzu pojazdu robiło się coraz chłodniej i ciemniej komputer włączył ogrzewanie. Gwiazda 3 pędziła w gwiazdy strefę względnego cienia, jej odległość od Myt wynosiła teraz ponad milion rt. Tay postanowił określić granicę promieniowania cieplnego gwiazdy. Powinna ona pokrywać się z magnetycznym współczynnikiem zerowego odchylenia całego układu planetarnego Myt. Tay z napięciem obserwował wskazówki czułych zegarów. Wolno, bardzo wolno przesuwają się do punktu zerowego. Zanim go osiągną, upłynie kilka godzin. Tay, wpatrzony w nie, zasnął. Obudziło go uporczywe szarpanie. Otworzył oczy i w jasnym świetle iluminatora zobaczył twarz Mayi. Słyszał jej głos, ale nie rozumiał, co do niego mówi.

- Co się stało?

- Bardzo źle się czuję - powiedziała z niepokojem. - Co z nami będzie, Tay? To wszystko jest nie do zniesienia. - Zaciśnęła dłonie wokół poręczy fotela i rozglądała się po kabinie błędnym wzrokiem.

- Gdzie my jesteśmy?! - krzyknęła. - W jakiejś czarnej otchłani, pełnej dalekich, zimnych gwiazd!

Tay wstał z wysiłkiem. Wiedział, że pojazd przekroczył granice grawitacji układu planetarnego Żółtej Planety, że nie dociera już do nich energia cieplna gwiazdy Myt. Ich życiodajna gwiazda była teraz jak tysiące innych małą, może tylko bardziej intensywnie migoczącą plamką świetlną. Pokonując bezwład nóg, Tay, uczepony ramienia Mayi, przeszedł do drugiej kabiny. Odsunął metalową przesłonę i z głębi półki wyciągnął opancerzony stalową siatką flakon. Nappełnił nim maleńkie, srebrne kubki. Jeden z nich podał Mayi.

- Uspokój się. Wypijemy to i zaraz pracujemy się lepiej.

Maya rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w gęstą, brunatną ciecz. Tay wypił, a widząc, że Maya się waha, zachęcał:

- To jest jedyny skuteczny lek. Nie rozumiem, czemu się ociążasz.

Maya zacisnęła powieki i wypła. Zaprowadził ją do jej koi i siadając obok powiedział łagodnie:

- Wszystko będzie dobrze. Przechodzisz jak ja szok względnego cienia. Jest to obszar, w którym nie działa żadne ze znanych nam praw fizycznych. Będziemy musieli pokonać tę ciemną, zimną otchłań. Pojazd zabezpiecza nas przed jej niszczącym działaniem. Jest tu ciepło, widno, spokojnie. Ale jeszcze będzie lepiej, kiedy ułożymy się do snu.

Tay wyciągnął spod koi podłużne, metalowe urządzenie. Był to symulator, aparatura służąca do utrzymania organizmu w długotrwałym uśpieniu. Tay uruchomił ją. Dał się słyszeć cichutki syk wydobywającego się z otworu ustnika tlenu, a jednocześnie zamigotały światełka aparatów regulujących temperaturę i ciśnienie.

- Ale nim się położymy - powiedział - zjemy kolację i posłuchamy komunikatów radiowych z Żółtej Planety. Zgoda?

Uniosła twarz i spojrzała mu z wdzięcznością w oczy. Ciągle były jeszcze rozszerzone, ale znikło już przerażenie. Uśmiechnęła się.

- Już mi lepiej.

Tay włączył odbiornik. Przygotował posiłek.

- To nasza ostatnia kolacja przed zaśnięciem - powiedział. - Kiedy się obudzimy, będziemy już w zasięgu grawitacji układu Trotona.

W głośniku rozległy się jakieś szepty, a potem cicha, daleka muzyka.

Obudził go jednostajny dźwięk sygnału alarmowego. Odruchowo sięgnął dłonią po rurkę doprowadzającą tlen i odsunął ustnik. Teraz mógł swobodnie unieść wieko symulatora. Chwilę zastanawiał się, jak długo pogrążony był w letargicznym śnie. Z wysiłkiem uniosł się nieco i ogarnął wzrokiem kabinę. Zauważył natarczywe błyski lampy kontrolnej komputera. Sygnalizowała niebezpieczeństwo. Tay wydostał się ze symulatora i z trudem utrzymując się na nogach przeszedł do kabiny pilota. To, co zobaczył, sparaliżowało na chwilę jego ruchy. Z osłupieniem patrzył na obracające się w zawrotnym tempie zegary, na mrugające aparaty, na

wydające dziwne głosy instrumenty pomiarowe. Było jasne, że z pojazdem dzieje się coś niezwykłego. Ale co? Przewyciężając strach, dopadł do lunety teleskopu. W pierwszej chwili poraziło go ostre światło gwiazdy. Przysłonił więc okular filtrem i przesunął obraz równoległe z kierunkiem lotu rakiety. Zobaczył przed sobą ogromną, pokrytą ciemnymi chmurami kulę. Omal nie krzyknął z wrażenia. To nie były chmury, to był jakiś ciemnorudy dym, który przesłaniał coś, co świeciło ciemną czerwienią i promieniowało ciepłem. Teraz rozumiał, dlaczego tak właśnie reagowały przyrządy. One pierwsze zarejestrowały zbliżającą się katastrofę. Tay pobiegł do przekaźnika dyspozycji lotu i dał polecenie zmiany kierunku. Komputer zamrugnął zielonym okiem i wykonał rozkaz. Rakieta, ocierając się niemal o górne warstwy wypełnionej dymem stratosfery, pomknęła w bok. Czas był już najwyższy. Promieniujące z planety ciepło podniosło temperaturę wnętrza pojazdu do stu pięciu stopni w skali Ta. Nie pomagały urządzenia klimatyzacyjne, Maya i Tay dusili się z braku powietrza. W ostatniej niemal chwili Tay wyprowadził pojazd z niebezpieczeństwa. Stało się to dzięki temu, że nie zawiodły urządzenia alarmowe, brzęczyk tak długo drażył słuch Taya, aż go obudził. Tay myślał teraz o tym, jak bardzo względny jest stosunek czasu do przestrzeni. W przestworzach kosmosu jednostka czasu jakby straciła swój wymiar, utożsamiała się z prędkością, bo stała się nieporównywalna, po prostu niepotrzebna. Dopiero w układzie planetarnym, kiedy pojazd pędził w środek nieznannej planety, sekunda, ułamki sekund nabrały znów wartości. Tay podszedł do teleskopów. Znajdowali się teraz w omijanym dotąd układzie planetarnym Trotona. Tay sprawdził liczniki rejestrujące napromieniowanie cząsteczkami elma. Ze zdumieniem stwierdził, że wskazówka licznika wskazywała dwa i trzy F. Oznaczało to, że natężenie groźnego dla organizmu promieniowania jest znacznie niższe niż w stratosferze Żółtej Planety. Mylne więc były przypuszczenia, że źródłem elmy jest gwiazda układu Trotona. Promieniowanie musiało pochodzić z innego źródła. Tay uważał, że mogło nim być nie zbadane dokładniej skupisko tak zwanej czarnej liny. Wiedzano tylko, że jest to rozdrobniona materia zajmująca górną część galaktyki Doc.

Pojazd wszedł niespodziewanie w cień wielkiej, otoczonej dymem planety. Zrobiło się chłodno. Tay obserwował przez analizator widma planetę, która przed kilku minutami mogła stać się ich grobem. Co kryje się w jej ciemnoczerwonym wnętrzu? W jakiej fazie rozwoju znajduje się ta wielka, wirująca ze zmiennym przyspieszeniem wokół swej osi planeta? Czy inne planety układu Trotona również znajdują się w stanie wysokiej aktywności termicznej? Pierwsze wyniki analizy widma wskazywały, że w skład materii tworzącej planetę wchodzi te same struktury energetyczne, jakie występują na Żółtej Planecie. Potwierdzałyby to tezę o jednorodności podstawowych struktur, z których składa się materia wszechświata. Tay, obserwując rudawoszarą obłoki planety, odnosił wrażenie, że patrzy w krater ogromnego

wulkanu. Nieznana planeta tworzyła ogromny tygiel, z którego wydobywała się w gigantycznych wybuchach płynna lava, pomieszana z rozżarzonymi gazami. Tay sądził, że gdyby pojazd choć przez sekundę znalazł się w jej atmosferze, słyszałby nieustanny, potworny huk przemieszczającej się w wyniku ogromnego ciśnienia materii. Ale pojazd mknął w próżni, więc tylko bardzo czułe przyrządy magnetyczne mogły zarejestrować zachodzące na planecie procesy. Kiedy Tay badał graficzny wykres natężenia pola magnetycznego, pojazd opuścił strefę cienia. Tay powrócił do przerwanej obserwacji gwiazdy. Miała większą masę niż gwiazda układu Żółtej Planety. Różniła się również wyższym stopniem jasności i zwiększoną intensywnością promienia. Świeciła jednobarwnym płomieniem, którego rozległość znacznie przekraczała koronę Myt. Tay zwrócił uwagę na wzmożone działanie radiacyjne. Zastanawiało go, co jest tego źródłem. Usłyszał charakterystyczny sygnał. Komputer jednostajnym brzęczeniem ostrzegał przed nowym niebezpieczeństwem. Elektroniczne urządzenie migotało okrągłym okiem. Tay spojrzął na regulator przepływu paliwa i znieruchomiał z wrażenia. Spośród sześciu baterii zasilających reaktory w paliwo dwie były nieczynne, to znaczy że nierównomiernie pracujące silniki zmieniły kierunek lotu rakiety. Gdyby stan taki trwał dłużej, pojazd zacząłby krążyć po wytyczonej tym faktem orbicie. Aby utrzymać obrany kierunek lotu, Tay wyłączył dwie przeciwległe baterie. W ten sposób unieruchomione były cztery baterie i szybkość pojazdu zmniejszyła się do około tysiąca rt na sekundę. Pociągało to za sobą poważne konsekwencje. Tay zastanawiał się, co w tej sytuacji należałoby zrobić. Usunięcie awarii silnika atomowego w czasie lotu było niemożliwe.

Udaremniało to kontynuowanie lotu na odległą Tenegerę, gdyż zmniejszenie szybkości dwukrotnie wydłużało czas lotu. Tay nie wiedział, co począć. Podszedł do pogrążonej w letargicznym śnie Mayi. Spojrzął na jej twarz. Miała ściągnięte, zastrzone rysy i żółtoszarą cerę. Przeraził go jej wygląd. W lustrze zobaczył własną twarz. Tak, i on się zmienił. Jakby postarzał się o kilka lat. Oczy straciły dawny blask, jakby pociemniały. Skóra na policzkach była zwiotczała i pomarszczona. Kiedy tak przyglądał się swemu odbiciu, zaświtała mu w głowie pewna myśl. Ależ tak, powiedział do siebie, to będzie najlepsze rozwiązanie. Wysunął jedną z szuflad, wyciągnął z niej buteleczkę z płynem i podszedł do Mayi. Odłączył rurkę z dopływem tlenu i podsunął pod nos Mayi buteleczkę z ciekłym Ba. Ostra, orzeźwiająca woń wypełniła kabinę. Maya westchnęła, Tay powiedział do niej łagodnie:

- Obudziłem cię, ponieważ pojazd nasz dotarł już do układu planetarnego Trotona.

Maya odparła, jeszcze półśpiąca:

- Długo już lecimy?

- Nie wiem dokładnie.

Potem Tay powiedział jej o awarii.

- Co zamierzasz zrobić? Przecież tej awarii nie zdołamy usunąć.

- Musimy lądować.

Maya podniosła się gwałtownie.

- Jak to lądować?

To proste. Posłuchaj. Jesteśmy w zasięgu magnetycznym układu gwiazdy Trotona, prawdopodobnie z siedmioma albo ośmioma planetami. Jedna z nich znajduje się w fazie rozwoju określanego jako termicznie aktywny, ale przynajmniej na dwóch z tych planet, jeśli nawet nie ma na nich rozwiniętego życia organicznego, istnieją warunki, aby ono powstało.

Musimy taką właśnie planetę odszukać i wylądować na niej.

Maya miała wątpliwości.

- Gdybyśmy ją nawet znaleźli, to czy zdołamy wylądować?

- Sądzę, że będzie tam kilkadziesiąt metrów względnie równego, skalistego terenu, a to nam wystarczy.

Maya, milcząc, spoglądała w niewielkie okienko, pełne białego, rażącego światła, którego smuga wisiała nieruchomo nad owalnym stołem i zapalała na srebrnej tacy gorejące blaski. Maya chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Tay posadził ją z powrotem w fotelu i podał jej kubek z płynem owocowym, do którego dolał kilka kropli embra. Zaraz poczuła się lepiej. Przygotował jej posiłek, po czym wyszedł, aby przejrzeć atlas kosmiczny. Stwierdził, że gwiazda Troton posiada pięć krążących wokół niej planet, jednak dane dotyczące mas tych planet jak i samej gwiazdy nie zgadzały się z tymi, jakie wynikały z obserwacji Taya. A miały one ogromne znaczenie. Interesowały Taya również odległości pomiędzy poszczególnymi planetami oraz nachylenie ich orbit względem Trotona. Uwagę Taya zwracała szczególnie trzecia planeta układu. Obliczenia, jakie przeprowadził, wskazywały, że na planecie tej istnieją optymalne warunki dla rozwoju wyższych struktur energetycznych. A jeśli tak, to nadawałaby się ona na miejsce ich lądowania. Więc muszą do niej dotrzeć. Jeszcze raz dokonał gorączkowo obliczeń. Wynik okazał się mało precyzyjny. Brakowało w nim podstawowego elementu: wielkości masy gwiazdy Troton. A bez tego nie można było określić dokładnie położenia planety. Nie pozostawało zatem nic innego, jak lecąc wzdłuż układu prowadzić bezpośrednie obserwacje. Tay wrócił do kabiny. Zastał Mayę przed lustrem. Usiadł obok niej.

- No, jak się sobie podobasz? - spytał żartem.

- Chciesz powiedzieć, że się postarzałam.

- Dziwna rzecz, że przy tej tak ogromnej szybkości nie tylko czas się nie cofa, ale nawet jego działanie na organizm...

- To nie czas, ale przestrzeń - przerwała mu. - Warunki tego lotu sprawiają, że zużycie naszych organizmów następowało odwrotnie proporcjonalnie do czasu. Jeżeli poleżymy sobie w tych inkubatorach jeszcze przez rok lub dwa, powrócimy na Żółtą Planetę tak starzy, że

własne rodziny nas nie rozpoznają.

- Myślisz jednak o naszej Planecie?

- Dziwi cię to? Byłoby dziwne, gdybym nie myślała.

- Tak, oczywiście.

Tay nie chciał, aby wspomnienia wywołały przygnębienie. Dlatego zmienił temat rozmowy.

- Nie ustaliłem jeszcze położenia planety Szuta.

- Planety Szuta? Co to takiego?

Wyjaśnił, że taką nazwę nadał planecie, na której mieli lądować.

- To znaczy, że jeszcze jej nie widziałeś - powiedziała Maya z niepokojem.

- Nie widziałem. Natężenie jasności jest tam tak wielkie, że trudno odróżnić gwiazdę od planety.

Maya wydobyła z walizy znaną w jaskini księgą opisującą dzieje starożytnego ludu Karii.

- Dobrze, że zabrałam to z sobą.

Podeszła do stołu i położyła na nim książkę. Jej zmrużone, pełne światła oczy przebiegały po przewracanych powoli kartkach.

Tay tymczasem usiadł przy lunetach najsilniejszego w pojeździe teleskopu. Zobaczył ogromną, jakby nieruchomą bryłę nowego ciała. Był to satelita planety, którą niedawno minęli. Jego powierzchnia błyszczała odbitym światłem gwiazdy. Była pusta i martwa, pełna głębokich kraterów i ostrych wzniesień wulkanicznych, pocięta olbrzymimi, czarnymi szczelinami. Biegły równolegle wzdłuż równika satelity i w regularnych odstępach przecinały się pod kątem prostym z podobnymi łączącymi bieguny. Z odległości tysiąca stu metrów szczeliny podobne były do gigantycznej siatki. Tay doszedł do wniosku, że są to pęknięcia skorupy powstałe w wyniku procesów termicznych. Materia ogromnego ciała kurczyła się i pękała. Być może, że układ planetarny Trotona jest stosunkowo młodym, formującym się fizycznie układem, a to by znaczyło, że istnienie na nim wyższych form energetyczno-asymetrycznych materii jest mało prawdopodobne. W obiektywie teleskopu pojawiły się zbiorowiska gwiazd o nowych, nie znanych Tayowi układach przestrzennych. Gdzieś pod nim rozpościerało się ogromne zbiorowisko materii, podobne do lekkiego obłoku. Dalej pulsowała silnym światłem gwiazda przypominająca kształtem gruszkę. Tay pierwszy raz widział tak niezwykle w formie skupienie materii. Wykonał kilkanaście zdjęć i nastawił aparaty dokonujące analizy widma. Pomyślał, że być może jest świadkiem niezwyklego zjawiska: podziału masy pulsującej gwiazdy albo rodzenia się nowego systemu planetarnego. Obserwowana gwiazda była jednak oddalona od pojazdu o kilkanaście lat świetlnych, więc jej niezwykle kształt mógł być tylko złudzeniem.

Tay przesunął obiektyw. Z jego piersi wyrwał się okrzyk radości. Prostopadle do kierunku lotu pojazdu, tylko nieco niżej, jaśniała słabym blaskiem planeta. Aby lepiej ją

widzieć, Tay zmienił ostrość i filtr. W nowym zbliżeniu planeta jaśniała niebieskawą poświatą. Ta właśnie jednobarwna, mglista poświata świadczyła, że planeta otoczona jest chmurami. A więc przypuszczenia Taya wydają się potwierdzać. Długo jeszcze Tay wpatrywał się w niebieską planetę. Oczami wyobraźni widział już, jak sprowadza pojazd na powierzchnię planety, porośniętą bajecznie kolorową roślinnością, a prymitywni ludzie witają ich z bojaźliwą czcią, bo są pewni, że przybysze, którzy zjawili się na miotającym płomienie pojeździe, są potężnymi bogami.

Przejęty tą wizją, Tay pobiegł do Mayi. Słuchała tego, co mówił, z uwagą, a kiedy skończył, powiedziała z nutką ironii:

- Czeka nas więc piękne życie. Tylko skąd ty wiesz, że ci prymitywni ludzie będą nosili nas na rękach, a nie uwędzą nas na przykład w jałowcowym dymie?
- Nie sądzę, abyśmy zastali tam dzikusów.
- Ponoś cię wyobraźnia. Jeszcze nie wiesz, czy w ogóle można będzie wylądować, a już opowiadasz takie fantastyczne historie.
- Nie spierajmy się. Jak wylądujemy, przekonamy się, kto ma rację.
- Na pewno.

Tay wrócił do kabiny pilota. Poprzez urządzenie dyspozycyjne wydał komputerowi rozkaz zmiany kursu. Następnie uruchomił niewielki aparat z wielostopniową pamięcią. Na taśmie zakodował kilka danych i włączył je w obwód maszyny. Za chwilę ukazała się taśma z wynikiem. Odczytał go i wrócił do Mayi.

- Za siedemnaście dni osiągniemy błękitną planetę.
- Ucieszyła się. Odsunęła księgę i podeszła do Taya.
- To jednak wspaniale - powiedziała - być świadkiem procesu, którego tajemnicy strzeże zazdrośnie przyroda: tworzenia się żywej komórki. Na Żółtej Planecie setki ludzi zabiegają o uzyskanie aktywnej struktury białka, a my oglądać będziemy to wszystko w laboratorium stworzonym przez samą naturę.

Tay, uradowany, podniósł ją w górę i okręcił wokół siebie kilka razy.

- Krytykowałeś mnie - zawołał - a teraz samą cię porwało! Skinęła głową.
 - Działo się ze mną coś strasznego. Myślałam, że nie przeżyję.
- Posadził ją w fotelu. Zmęczony, ale szczęśliwy, podszedł do spizarki, wyciągnął z niej butelkę dertesla i napelnił kieliszki,
- Wypijmy za pomyślność!
 - Za pomyślne lądowanie - dodała,

Od kilku już godzin Tay nie odrywał oczu od lunety teleskopu. Z każdą sekundą planeta Szut rosła, olbrzymiała. Teraz nie była już niewielkim, połyskującym niebieskawą poświatą krążkiem, ale ogromną, majestatycznie zawieszoną w przestrzeni bryłą. W miarę zbliżania się pojazdu przybierała różne odcienie barw. Na ten widok Maya wydała okrzyk zachwyty:

- Jaka ona piękna!

Jasne, gdzieniegdzie nawarstwiające się chmury, spomiędzy których wyłaniają się połacie rudych piasków, błękit wodnych obszarów i szmaragdowe plamy zieleni, błyszczą w promieniach oświetlających planetę, do której mknie Gwiazda 3. Tay drżącymi palcami nieustannie reguluje ostrość w polu swego widzenia. Chciałby już znać miejsce lądowania, wyznaczyć je z możliwie jak największą precyzją, a jednocześnie zdaje sobie sprawę, że jest jeszcze zbyt daleko, aby mógł to uczynić. Nagle zerwał się z miejsca z okrzykiem przerażenia. Za kilkanaście minut pojazd zacznie lądować, a Maya i on nie mają na sobie kosmicznych skafandrów, Pobiegł po Mayę. Z metalowej szafy wy ciągnął srebrzyste kombinezony. Ubierali się pośpiesznie. Nie było ani chwili do stracenia.

Pojazd był już blisko planety. Za dwie, trzy sekundy osiągnie górne warstwy stratosfery. Tay wydał polecenie zmiany kierunku lotu. Postanowił, że będą schodzić do lądowania, zataczając po spirali coraz mniejsze koła. Pojazd obleciał już raz planetę. Kiedy znajdował się w jej cieniu, Tay gorączkowo wypatrywał światła, które by świadczyły o istnieniu wielkich miast. Ale na pokrytej nocnym cieniem półkuli nie widział nic błyszczącego. Nagle wychodzący z cienia pojazd omal nie zderzył się z czymś, co było srebrzystą, połyskującą kulą i co pędziło z ogromną szybkością z przeciwnego kierunku. Zdziwiony i zaskoczony, Tay zauważył jeszcze, że dziwny obiekt najeżony był antenami, a więc nie było to jakieś ciało kosmiczne, lecz obiekt latający, dowód wysoko zorganizowanej cywilizacji technicznej planety.

Tay przywołał Mayę.

- Nie - sprawdziły się ani twoje, ani moje przewidywania.

Podszedł do komputera i wydał polecenie. Reakcja jądrowa baterii została przerwana.

Włączone silniki hamujące strzeliły ognistymi płomieniami. Po chwili pojazd jakby uległ szarpnięciu. Hamowanie przebiegało prawidłowo. Wtem Maya zawołała:

- Patrz!

Nieco powyżej Gwiazdy 3, ale w znacznej od niej odległości przesuwiał się dziwny pojazd. Podłużny, owalny statek, składający się z kilku jakby członów, nie był podobny do żadnego ze znanych Tayowi pojazdów. I co najdziwniejsze, obiekt ten nie zostawiał za sobą najmniejszych śladów spalin. Po prostu płynął jakby wyrzucony na wyznaczoną mu orbitę. Po dłuższej obserwacji Tay nie miał wątpliwości, że była to jakaś stacja satelitarna. W pierwszym odruchu chciał ją nawet dogonić, ale kiedy silniki Gwiazdy 3 wytracały szybkość, mogło okazać się to niebezpieczne.

A tymczasem Gwiazda 3 zbliżała się do planety zamieszkałej przez istoty, które osiągnęły podobny stopień rozwoju jak mieszkańcy Żółtej Planety. Co to za istoty? Jak zachowają się wobec przybyszy z innego układu? Podczas gdy Gwiazda 3, zataczając coraz mniejsze koła, zbliżała się do powierzchni planety, Tay i Maya myśleli o jednym: Co się z nami stanie? Ciekawość poznania ustąpiła miejsca niepewności rodzącej lęk. Patrzyli sobie w

oczy i rozumieli się bez słowa. Maya przytuliła się do Taya, on pochylił się i pocałował ją w usta. Potem założył jej hełm i podłączył dopływ tlenu. Sam uczynił to samo. Zanim przystąpił do ręcznego sterowania, wyjrzał jeszcze przez okienko bezpośredniej obserwacji. Pod nim nieruchomo wisiały pierzaste obłoki. Kiedy rakieta okrążyła zaciemniony obszar planety, Tay ujrzał potężny masyw górski, a potem ogromny zbiornik wodny. Chciał włączyć poziome stery, by ustawić raketę pionowo, ale miał ciągle przed sobą błękitny obszar wodny. Był zaniepokojony. Wreszcie jednak pojawił się porośnięty zielenią ląd, a na nim miasto, nieco dalej drugie... Tay szarpnął dźwignię sterów. Pojazd wykonał zwrot o czterdzieści pięć stopni i zatrzymał się jakby w pozycji pionowej w stosunku do powierzchni planety. Tay zmniejszył nieco ciąg hamowania. Statek, odwrócony tyłem do planety, począł wolno opadać. Dziesięć, pięć, trzy... Dłonie Taya kurczowo zaciskały się na dźwigni sterów. Jeśli choć na chwilę wypuści ją z rąk, rakieta wychyli się z pionu. I wówczas nastąpi katastrofa. Jednak nie nastąpiła. Był tylko lekki wstrząs. Gwiazda 3 osiadła łagodnie na czterech wielkich łapach amortyzatorów. Jeszcze przez moment Tay siedział przy sterach, wpatrzony w zegar wysokościomierza. Wskazówka znieruchomiała na zerze. Wtedy Tay zerwał się z krzykiem triumfu.

- Udało się, Maya! Wylądowaliśmy!

Pośpiesznie przeszedł do kabiny, w której znajdowała się Maya. Jej twarz była poważna, zamyślona.

- Maya, nie cieszysz się? - zawołał Tay.

Wykonała ręką ruch, który mógł oznaczać, że nie ma z czego. Usłyszał jej głos:

- To miasto, na skraju którego wylądowaliśmy, jest jakieś dziwne, jakby wymarłe.

- Myślę, że nie będzie tak źle. Wychodźmy, Maya.

Nim otworzył właz, zaopatrzył Mayę i siebie w niezbędne wyposażenie, które składało się z żywności, medykamentów, przyborów do pokonywania niewielkich przeszkód oraz środków ochrony osobistej: pistoletu i urządzenia wysyłającego promienie paraliżujące wzrok. Z bijącym sercem nacisnął guzik i właz otworzył się. Jednocześnie wysunęły się spod niego metalowe schodki. Tay zszedł pierwszy. Stał na równym, granitowym podłożu i rozejrzał się. Nie opodal wznosiły się długie, oszklone budynki, częściowo leżące w gruzach. Na horyzoncie, oblanym blaskiem gwiazdy Troton, piętrzyły się różnej wielkości i kształtu budowle: jakieś wieże o dziwnych kształtach, pojedyncze ściany, misterne konstrukcje. Sprawiało to niesamowite wrażenie. Pod nogami Taya walały się kawałki szkła, gruzu, powyginane żelastwo i strzępki nieznanej materii. Z drugiej strony pojazdu ciągnęła się równina, porośnięta gdzieśgdzieś kępkami drzew, czarnych, bezlistnych, jakby spalonych. Maya i Tay stali na swego rodzaju dziedzińcu, którego jeden bok tworzyło rumowisko gruzów, drugi rzędy poczerniałych od rdzy wehikułów nieznanej przeznaczenia. Mimo że bezchmurna, pełna błękitu przestrzeń nasyciała powietrze ciepłem, zarówno Tay, jak i Maya

„czuli przenikający ciało chłód. Być może, wywoływała to wrażenie ogólna martwota, brak jakichkolwiek dźwięków, zapachów, nieobecność jakiegokolwiek żywego stworzenia.

Przewycięzając przygniatające uczucie, Tay odezwał się ochryple:

- Wygląda na to, że wylądowaliśmy obok ruin starego, opuszczonego miasta. W przeciwnym razie...

Maya przerwała mu ze zniecierpliwieniem w głosie:

- Gdyby w promieniu kilku mil znajdowały się istoty rozumne, to na pewno by się tu zjawiły. Niemożliwe, aby lądujący pojazd nie wzbudził w nich ciekawości.

Tay obrócił się nagle i rozglądając dokoła zawołał:

- A może oni są tutaj? Może podglądają nas? Słowa odbiły się złowrogim echem.

W ruinach coś zaszeleściło, a z wierzchołka rozwalonego muru posypały się kawałki tynku.

- Słyszałaś?

Maya skinęła głową.

- Więc miałem rację. Oni tu są. Chodźmy!

Z pistoletem w dłoni, ruszył pierwszy. Minęli zwalisko gruzu i idąc wzdłuż wysokiej ściany dotarli do prostokątnego otworu, z którego boku zwisały metalowe, pogięte drzwi.

Wewnątrz hali było mroczno. Tay zapalił umieszczoną na hełmie latarkę i ostrożnie stawiając kroki wszedł do wnętrza. Tam, gdzie strop budynku był cały, stały rzędem ustawione maszyny.

- Patrz, Maya, tu musiała być kiedyś fabryka.

Podszedł do najbliższej stojącej maszyny i oglądał ją z zaciekawieniem. Ale w tej właśnie chwili coś zaszumiało w powietrzu i kilka wielkich, czarnych ptaków spadło na ich głowy. Potężnymi dziobami waliły w metalowe hełmy, szponami próbowały rozerwać szklaną osłonę twarzy. Słysząc było ślizgające się po niej szpony. Towarzyszyło temu przejmujące, złowrogie krakanie. Tay i Maya bronili się, ale to tylko rozdrażniało ptaki, wzmagając ich wściekłość. Siadały na ramionach i potężnymi dziobami rozrywały tkaninę skafandrów. Nawet powalony ptak uczeplił się, leżąc nogi Taya. Tay usłyszał rozpaczliwy krzyk Mayi. Wybiegła z wnętrza budynku i usiadła, skulona, pod ścianą, osłaniając się przed atakami rozszalałych ptaków. To sprawiło, że Tay nie wahał się dłużej. Wyciągnął aparat Soso i skierował go w chmurę ptaków. Opadały z podwiniętymi skrzydłami, bezwładne, zwiotczałe. Tay nachylił się nad jednym z nich. Miał niesamowite, wylazące z orbit oczy i nieopierzoną, pokrytą rankami szyję. Maya, tknięta złym przeczuciem, szepnęła:

- Te ptaki dotknięte są chorobą popromienną.

Tay uważnie wpatrywał się w popękana, krwawiącą skórę. Wyciągnął z kieszeni przyrząd do pomiarów promieniowania i zatrzymał chwilę nad ciałem ptaka. Wskazówka aparatu stanęła w miejscu oznaczającym 5 het.

- Dziwne, że ptaki te w ogóle żyją - powiedział i zaczął mierzyć stopień

napromieniowania maszyn, granitowego podłoża dziedzińca i samotnego, zwęglonego drzewa. Wszystko, czego dotknął aparatem, wykazywało przekraczającą normę radioaktywności.

- Okolica ta - stwierdził - była bombardowana pociskami nuklearnymi o znacznym stopniu zanieczyszczeń radioaktywnych. Jest bardzo prawdopodobne, że istoty rozumne opuściły to miejsce spalone, zatrute opadami miasto.

- A co my zrobimy? - zapytała z ukrytą trwogą.

Tay milczał.

- No cóż - odezwał się po chwili. - Na usunięcie awarii trzeba trochę czasu. Najpierw muszą ostygnąć komory i baterie. Nie pozostaje nam nic innego, jak poznać tę okolicę.

- Nie zamierzasz chyba podróżować pieszo?

Tay roześmiał się.

- Nie, kochanie. Mamy aerostat. Wykorzystamy go.

Aerostat okazał się nieocenionym środkiem komunikacji. Krążąc nad zniszczonym miastem, zauważyli ogromny, poczerniały lej. Tay obniżył lot i zatrzymał się. Patrzyli ze zgrozą w czarną otchłań, pozostałą po wybuchu bomby. Potężny, gorący podmuch rozsadził mury, spalił ludzi, drzewa, stopił szkło, powyginał stalowe konstrukcje. W promieniu mili ciągnęło się pofałdowane rumowisko, pokryte popiołem spalonej ziemi. Tylko na obrzeżach miasta sterczały wysokie ściany samotnych domów i szare kamienne wieże.

Wokół panowała cisza i pustka. Tylko gdzieś z ruin dolatywało krakanie czarnych ptaków i zgrzyt ocierającej się na wietrze blachy. Czasem czułe słuchawki umieszczone w hełmach skafandrów łowiły jakiś dziwny, przez wiatr niesiony jęk.

Kiedy mijali północno-zachodni skraj miasta, Maya zwróciła uwagę na stojący wśród popalonych drzew budynek. Był to okazały gmach z jasnego kamienia, nie tknięty dokonanym wokoło dziełem zniszczenia.

- Patrz, Tay, widzisz ten budynek? - zapytała.

- Czy chciałabyś, - abyśmy tam wylądowali?

- Właśnie. Ciekawa jestem, co kryje się w jego wnętrzu.

Tay zatoczył półkole i osiadł na okrągłym, wyłożonym biało-czarnymi płytkami placu. Schodami z jasnego marmuru dotarli do przedsionka. Jego strop podtrzymywały potężne kolumny z różowego marmuru. Dalej, tuż przed rzeźbionymi wrotami, stały na czarnych postumentach dwie odlane w brązie postacie zwierząt, wielkich i groźnych, jakby strzegących wejścia. Ich wydłużone, uniesione nieco pyski wyrażały dumę i władczość. W spiżowych ślepiach czaiła się dzikość i okrucieństwo.

- Wydaje się - powiedziała Maya - że zamieszkujące tę planetę zwierzęta odznaczają się wyjątkową agresywnością.

- Czy można na podstawie wyglądu posągów uogólniać cechy żyjących tu zwierząt?

- A ptaki? Nigdy bym nie przypuszczała, że mogą być tak napastliwe.

- To szczególny przypadek. Wiedzą, że czeka je śmierć, i dlatego są takie.

- A ja myślę, że one są po prostu głodne. A nie mają sił, aby szukać żerowiska.

Tay z wysiłkiem uchylił drzwi. Wsunęli się do wielkiej, mrocznej sali. Kiedy zapalili

latarki, ujrzeli kilka ogromnych sal wypełnionych różnymi sprzętami. Na ścianach wisiały barwne obrazy, a środek wypełniały rzeźby, jakieś połyskujące złotem skrzynie, sarkofagi i inne przedmioty, których przeznaczenia nie potrafili określić. Wszystko wywoływało w nich nieustanny podziw. Obrazy, posągi, gobeliny, złote ozdoby i inne przedmioty tchnęły niewypowiedzianym urokiem. Patrzyli, urzeczeni, doznając niezwykłego wzruszenia. To, co oglądali w przypadkowo odkrytej pieczarze starożytnego ludu Karii, emanowało niepokojącą tajemniczością. Jeśli jednak ornamenty, rzeźby i gobeliny napotkane w podziemnym korytarzu nie oddziaływały jak coś obcego, to treść obrazów była zupełnie niezrozumiała. Przedstawiały one dziwny, niepodobny do znanej im rzeczywistości świat ludzi, zwierząt i rzeczy. A może właśnie taki świat istniał przed kataklizmem nuklearnym? Może te uśmiechające się z obrazów istoty o niskich czołach, zapadniętych oczach i fioletowej skórze były przodkami tych, które zniszczyły stworzoną przez siebie cywilizację? Może te dziwne, towarzyszące ludziom stwory żyją gdzieś w lasach albo w niedostępnych górach? Obok obrazów pełnych pogody były także takie, które budziły grozę. Temat śmierci powtarzał się w licznych wersjach i w różnych sytuacjach. Obrazy wyobrażały krwawe wojny na lądzie, morzu i w powietrzu, a nawet w przestrzeni kosmicznej. Statki ludzi zamieszkujących tę piękną i straszną zarazem planetę były innej konstrukcji niż pojazdy będące wytworem cywilizacji Żółtej Planety. Podobne do spłaszczonych pocisków, o liniach aerodynamicznych, precyzyjnie zarysowanych, nie uwzględniały punktu ciężkości. Było to dla Taya dziwne i niezrozumiałe. Symetria statków kosmicznych dalekiego zasięgu wymagała, aby punkt ciężkości położony był na wysokości dwóch trzecich średnicy kuli wpisanej w konstrukcję pojazdu.

Przeszli teraz przez wąską wnękę do trzeciej sali i stanęli zdumieni. Zewsząd patrzyły na nich fosforyzujące oczy sztucznych ludzi. Niektórzy, odziani w powłóczyste szaty, przypominali z twarzy postacie z obrazów. Inne, nagie i przezroczyste, podobne były do połączonych z sobą retort w gigantycznym laboratorium. Można w nich było zobaczyć pracę narządów wewnętrznych człowieka. Tay nacisnął kilka guzików tablicy sterowniczej. Ludzie-komputery ożyli. Szczęrzyli w uśmiechu białe, do kłów podobne zęby. Mrugali porozumiewawczo powiekami swych szklanych, fosforyzujących oczu. W przezroczystych ciałach zabiły serca i popłynęła w żyłach substancja przypominająca krew. Roboty wykonane z metalu wykrzykiwały jakieś słowa, poruszały się i zderzając się z sobą wygrażały sobie nawzajem. Były to niewielkie mechanizmy skonstruowane na podobieństwo używanych na Żółtej Planecie komputerów. Ich obudowa kształtem przypominała sylwetki ludzkie. Cała ta ożywiona energią cizba metalowych ludzików parła do przodu popychając się, krzycząc i wymachując sprężystymi ramionami. Ich zachowanie wywołało mimowolny uśmiech Mayi,

choć widowisko w gruncie rzeczy nie było wcale zabawne.

Nagle odwróciła się instynktownie i zamarła w przerażeniu. Nad nią pochylał się ogromny, tryskający iskrami robot o zwierzęcej twarzy i grymasie okrucieństwa na ustach. Jego potężne ramiona unosiły się nad jej głową, otaczały szyję. Maya skuliła się, cofnęła o krok, jakby zamierzała uciec, ale wtedy cała czereda tych, którym się przed chwilą przyglądali, zagroziła jej drogę, wyjąc i klaszcząc w wypukłe, metalowe dłonie. Tay rzucił się Mayi z pomocą, ale było już za późno. Otoczyły go ciasno mechanizmy o ludzkich kształtach, uśmiechające się bezzębnymi otworami ust, i pozbawiły swobody ruchów. Uśmiechy robotów, ich połyskujące fioletowym światłem oczy wyrażały złośliwość i kpinę. Te stworzone i udoskonalone przez człowieka mechanizmy posiadały zdolność kojarzenia prostych faktów, pewnego rodzaju inteligencję. Tay szarpnął się. Usiłował zrobić wyłom w zwartym szeregu mechanicznych postaci, chciał przedrzeć się do pulpitu i wyłączyć energię. Ale nie mógł. Był za słaby, by walczyć z czymś, co było z metalu i co posiadało ogromną, niewyczerpaną siłę. Kiedy dłonie robotów chwyciły go za ramiona, usłyszał przejmujący krzyk Mayi. Dostrzegł, jak łapy robota-olbrzyma uniosły ją w powietrze. Tay zamarł z przerażenia. Jeżeli ten zanoszący się szaleńczym śmiechem potwór rzuci Mayę na ziemię... Rozpaczliwym ruchem wy dobył pistolet, ale aby się oswobodzić, trzy pierwsze pociski wystrzelił do tych, którzy go trzymali. Z roztrzaskanych czaszek robotów posypały się kawałki półprzewodników. Ich dłonie i ramiona straciły prężność i opadły bezwładnie. Tay wydostał się z okrążenia w chwili, gdy monstrum uniesioną wysoko Mayę zamierzał cisnąć w dół. Ale Tay ubiegł potwora, dopadł do urządzenia i wyłączył źródło zasilania. Zapadła ciemność i cisza. Tay skierował światło latarki na olbrzyma. Stał nieruchomy, był pozbawiony dającej mu siłę energii. Ale jego ramiona nie opadły. Nadal trzymał w nich Mayę. Musiała stracić przytomność, bo nie odpowiadała na pytania Taya. Nie namyślając się, strzelił w elektronowy mózg robota. Ramiona opadły. Resztkę skondensowanej w zwojach energii wyładowała się. Tay nachylił się nad Mayą. Miała półprzymknięte oczy i zaciśnięte usta. Tay zamknął zawór z dopływem tlenu i ściągnął z twarzy Mayi maskę. Następnie rozchylił jej usta i wlał w nie kilka kropli Miteru. Westchnęła i otworzyła oczy. I wtedy krzyknęła zasłaniając twarz dłońmi. Uniósł jej głowę i powiedział łagodnie:

- Nie bój się, kochanie, to ja.

Musiał to powtarzać kilkakrotnie, zanim zrozumiała i uspokoiła się. Ale żądała, aby natychmiast opuścili to straszne miejsce. Ujął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz.

Uśmiechnęła się i powiedziała z udaną wymówką:

- Wydałeś mnie na łup potworów. Mało brakowało, a lot na Tenegerę odbyłbyś sam.

- Wszystko zaczęło się tak zabawnie - odparł - a mogło skończyć się tragicznie. Te

roboty, wyposażone w elektronowe, zaprogramowane mózgi, potrafią się poruszać, mówić, wyczuwać cudzą obecność. Ale skąd one posiadły możliwość oceniania sytuacji i na jakiej zasadzie działa ich zdolność niszczenia? Nam na Żółtej Planecie udało się skonstruować mózgi z pamięcią ale istoty rozumne planety Szuta wyprzedziły nas pod tym względem. Chociaż...

Maya przerwała mu z serdeczną wyrozumiałością:

- We wszystkim doszukujesz się czegoś nadzwyczajnego. A może po prostu niektóre roboty mają nakazane niszczenie. Śmieją się przy tym, co znaczy, że ci, którzy je zaprogramowali, są okrutni, bezwzględni...

Tay kiwnął z uznaniem głową.

- Masz rację. Ale jak w takim razie wytłumaczyć zachowanie się innych robotów? Wrzeszczały, posuwały się w różnych kierunkach potracając się wzajemnie, ale ten chaos był pozorny, gdyż w pewnym momencie okazało się, że jesteśmy w pułapce. Świadczy to, że ich działanie było z góry zaprogramowane, od początku podporządkowane określonemu celowi.

Jak to wytłumaczysz?

- Rzeczywiście, coś w tym jest. Tylko co?

Kiedy wsiadali do aerostatu, Tay raz jeszcze spojrzął na budynek, który opuścili.

Pięknie rzeźbione kolumny, ściany wykładane drogim kamieniem, a za nimi wiele pięknych i strasznych zarazem rzeczy.

Maya ponagliła:

- Ruszajmy! Jeszcze zza tych drzew wychyli się znów jakiś potwór i znowu będziemy mieli kłopot.

- Gorzej będzie, jeśli spotkamy się z ludźmi. Oni są na pewno gorsi.

- A jednak musimy ich odszukać, - Głos Mayi zabrzmiał taką stanowczością, że Tay spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Jesteś pewna, że oni istnieją?

- Oczywiście. Niemożliwe, aby wymordowali się wzajemnie. Istoty rozumne będące na tak wysokim szczeblu rozwoju kultury nie mogą dopuścić do totalnej zagłady.

Tay westchnął.

- Oby tak było. Jednak fakty świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

Włączył silniki i za chwilę pojazd wystartował pionowo. Kiedy aerostat wzbił się wyżej, Tay powiedział:

- Wybieraj kierunek. Może twój wybór przyniesie nam więcej szczęścia.

Maya zaprotestowała.

- Teraz twoja kolej. To ja przecież zaproponowałam lądowanie tutaj.

- Jeśli tak, to polećmy w kierunku pasma tych ledwo widocznych na horyzoncie wzgórz.

Maya skinęła głową.

- Dobrze.

Lecieli ponad wypaloną równiną, porośniętą gdzieniegdzie kępami szerniałych drzew. Z prawej strony majaczyły gruzy fabrycznego miasteczka. Jego ulice były puste. Na ogromnym składowisku znajdowały się maszyny nie znanych Tayowi konstrukcji i inne urządzenia. Podmuch o potwornej sile zmiotł je i zbił w gigantyczną piramidę przypominającą naziemną część wyrzutni raketowej typu „hock”. Rakiety takie służyły mieszkańcom Żółtej Planety w wojnie z mieszkańcami planety Hez. Wybudowane nakładem ogromnych kosztów, okazały się jednak nieprzydatne. Cywilizacja planety Hez nie wynalazła bowiem pojazdów pokonujących przestrzeń międzyplanetarną.

Kilka mil za zrujnowanym miasteczkiem teren zaczynał się wznosić, a po pewnym czasie ukazała się połyskująca srebrem wstęga rzeki. Płynęła głębokim kanionem pomiędzy wzgórzami, które ku północy przechodziły w potężny masyw górski. Tak wysokich gór Maya i Tay nie widzieli jeszcze. Z każdą minutą olbrzymiały, tworząc jakby naturalną, bo sięgającą szczytami chmur zaporę. Aby ją pokonać, Tay musiał wzbic się ponad pierzaste obłoki na wysokość sześciu mil. Lecąc podziwiali nagie, poszarpane turnie, pokryte tu i ówdzie płachtami śniegu. Jeszcze wyżej skrzyły się w promieniach gwiazdy Troton białe lodowce. Dzika, nie tknięta od początku uformowania się planety przyroda nadawała krajobrazowi niebotycznych gór tajemniczy urok. Ani Tay, ani Maya, zafascynowani rozciągającym się pod nimi widokiem, nie zauważyli, że aerostat zaczął nagle opadać. Dopiero kiedy od pokrytego lodem grzbietu góry dzieliło ich kilkanaście metrów, Maya wykrzyknęła:

- Opadamy na jakiś szczyt!

Tay gwałtownie szarpnął sterem. Pojazd nachylił się niebezpiecznie, ale manewr uratował ich od zderzenia. Niemal ocierając się o skalną ścianę, aerostat zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni. Lecieli teraz między wierzchołkami gór. Pojazd z trudem pokonywał szalejącą wichurę. Czując niebezpieczeństwo Maya powiedziała trwożnie:

- Co się dzieje?

- Wpadliśmy w wir powietrzny o niezwyklej sile.

Tay, manewrując sterami, uważnie obserwował horyzont. Pojazdem znowu wstrząsnęło. Silny podmuch uniósł go w górę. Tayowi udało się po włączeniu silnika pionowego wznoszenia wyprowadzić aerostat z dużą prędkością ponad szczyty na wysokość dziewięciu mil. Nie czuło się tu najmniejszego prądu powietrza. Szczyty, przysłonięte białymi obłokami, utraciły swój groźny wygląd. Tay przez okular peryskopu obserwował powierzchnię planety. Ale gęstniejące w dole chmury nie pozwalały nic zobaczyć. Po kilkunastu minutach Tay odważył się obniżyć lot. Pojazd przebił powłokę pierzastych obłoków. Pod nimi rozciągało się teraz pofałdowane podgórze porośnięte gęstym lasem. Ciemna, o niebieskawym odcieniu zieleń nadawała okolicy trudną do określenia barwę.

- Tam, gdzie jest zieleń - powiedziała Maya - musi być bujne życie.

- Oby tak było. W każdym razie wylądujemy na bardzo dziwnej planecie. Z jednej strony gór ziemia wypalona, wskazująca na wysoki stopień radioaktywnego skażenia, a z

drugiej...

- Skręć w prawo! - przerwała mu Maya. - Patrz, tam w dolinie bieleją mury jakiegoś miasta.

Tay spojrzał w dół.

- To nie miasto. Jakaś duża budowla.

Zbudowana z jasnego piaskowca, ostro kontrastowała z otaczającą ją zielenią.

- Lądujemy?

- Oczywiście.

Tay włączył silnik pionowego lądowania. Budowla rosła w oczach, potężniała.

Wylądowali na obszernym, wyłożonym jasnym kamieniem placu. Otaczała go zwarta zieleń wysokich drzew i białe mury budowli. Wznosiła się, strzelista, majestatycznie, jakby ci, którzy ją budowali, chcieli wyrazić swe dążenia do wzniosłych celów, a zarazem obojętność wobec nicości doczesnego życia.

Aby dotrzeć do bram, trzeba było pokonać dziesiątki wykutych w skale schodków.

Zmęczeni, dotarli wreszcie na taras. Zappełniały go symetrycznie rozmieszczone, monumentalne posągi. Tworzyły one podwójną amfiladę, która prowadziła do lekko uchylonych wrót budynku. Wykute w kamieniu posągi przedstawiały dziwne, nie oglądane dotąd zwierzęta, niektóre splecione z sobą w śmiertelnej walce, inne nieruchome, ze ślepiami pełnymi pychy i zimnego okrucieństwa.

- Czy sądzisz - zapytała Maya - że istoty tworzące te rzeźby świadomie dokonywały deformacji?

- Być może.

- Chciałabym je spotkać, rozmawiać.

Tay roześmiał się.

- Rozmawiać? Ciekawe, w jakim języku?

Maya, nie zrażona, powiedziała, że przecież można porozumieć się za pomocą gestów i znaków geometrycznych.

Nagle Tay zawołał zduszonym głosem:

- Maya, to oni!

Odwróciła się gwałtownie i zamarła z wrażenia. W prostokącie uchylonych wrót ukazały się dwunożne, odziane w długie szaty istoty. Jedna z nich podeszła do Mayi i Taya i wyciągniętą ręką wskazała drogę. Tay i Maya nie mieli wątpliwości, że mają przed sobą istoty rozumne, że stoją przed nimi ludzie. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie wzajemnie z zaciekawieniem. Ludzie z planety Szuta przewyższali mieszkańców Żółtej Planety wzrostem i silniejszą budową ciała. Ich skóra była jasnobrązowa, a opadające na ramiona włosy połyskiwały srebrzyście. Mieli wydłużone, kościste twarze, głęboko zapadnięte oczy i wysunięte czoła. Wąskie wargi skrzywione były jakby w grymasie i nie można było odgadnąć, czy oznacza to radość, gniew czy pogardę. Kiedy tak stali, obserwując się wzajemnie, jeden z mieszkańców planety Szuta powiedział coś do pozostałych wysokim, dźwięcznym głosem. Tamci zaśmiali się gardłowym śmiechem,. Znowu jeden z nich

wyciągniętą ręką wskazywał kierunek.

Tay chciał ruszyć naprzód, ale Maya zatrzymała go.

- Może chcą zwabić nas w pułapkę? Zachowują się z pozoru przyjaźnie, bo nie wiedzą, czy nie jesteśmy uzbrojeni. Jeśli wejdziemy...

Tay starał się uspokoić ją.

- Zastanawianie się - powiedział łagodnie - niczego nie da. Tylko spełniając ich życzenia możemy coś osiągnąć. W przeciwnym razie...

Nie dokończył. Uczuł silne uderzenie w kark. Nim stracił przytomność, usłyszał jeszcze urwany krzyk Mayi.

Kiedy otworzył oczy, wokół otaczała go ciemność i cisza. Chwilę leżał nieruchomo starając się mimo bólu uprzytomnić sobie konsekwencje sytuacji, w jakiej się znalazł. Ale co z tego miałyby wynikać? To, co Mayę i jego spotkało ze strony mieszkańców planety, nie musiało wcale świadczyć o nich źle. Być może, że na widok przybyszy z kosmosu poczuli się zagrożeni i dlatego zareagowali właśnie w ten sposób. Prawda, uciekli się do podstępów. Ale musieli tak zrobić, inaczej Tay użyłby broni. Oni wiedzieli, że jest uzbrojony, a nie wiedzieli, jaką bronią dysponuje. Dlatego musieli ich obezwładnić, zabrać im, co posiadali, i zamknąć w ciemnych pomieszczeniach. Ale może być zupełnie inaczej. Potraktowano ich jak wrogów. Zaatakowano zdradziecko, obezwładniono i ograbiono. Jeśli to prawda, to trzeba spodziewać się najgorszego. Taya ogarnia strach. Boi się tych ludzi o zapadniętych oczach i srebrnych włosach. Boi się ich podstępności, maskowanej przyjaznymi gestami i śmiechem o metalicznym brzmieniu. Lęk wzmógł się, kiedy pomyślał o Mayi. Gdzie ona teraz jest? Co się z nią dzieje? Pokonując ból, Tay podnosi się i wyciąga ręce, aby przekonać się, gdzie się znajduje. Wolno, ostrożnie posuwa się krok za krokiem wzdłuż gładkiej, wysokiej ściany. Dochodzi do narożnika. Następna ściana, wnęka i drzwi. Drzwi są z grubej, łączonej nitami blachy. Mimo skrupulatnego szukania Tay nie trafił na zamek. Pchnął je, ale nie drgnęły. Wtedy uderzył w nie pięścią, raz i drugi. Wydały niski, ledwo słyszalny dźwięk i znów było cicho. Bezsilność wywołała gniew. Odszedł od drzwi i dalej badał miejsce swego uwięzienia. Zrobił zaledwie trzy kroki, gdy natknął się na jakiś przedmiot. Był to stół. Na nim znajdowało się naczynie. Było dość duże, ciężkie, wypełnione jakimś płynem. Tay wziął je do ręki i z rozmachem rzucił nim w drzwi. Naczynie odbiło się i po toczyło pod nogi Taya. Zamierzał je ponownie rzucić, ale drzwi otworzyły się, a z sufitu spłynął ostry snop światła. Tay, oślepiony nim, zasłonił oczy. Kiedy spojrzał znowu, zobaczył przed sobą wysokiego mężczyznę, odzianego w czarny uniform z błyszczącymi wyłogami. Mężczyzna miał na głowie okrągłą czapkę z daszkiem, który ocieniał oczy. Ale niepokój Taya wzbudził nie czarno odziany olbrzym, tylko wyłaniający się z półmroku zwierz. Potężny, pokryty krótką sierścią, wśliznął

się bezszelestnie i zatrzymał obok nogi mężczyzny. A więc te rzeźbione w kamieniu potwory żyją - pomyślał Tay, patrząc na ogromny, kwadratowy łeb zwierzęcia, błyszczące dzikością i okrucieństwem oczy, jakby chciał odczytać z nich jego zamiary. Pod spojrzeniem Taya zwierzę uniosło łeb, rozchyliło szeroko paszczę i ryknęło gniewnie. Tay cofnął się instynktownie. Potężne, najeżone kłami szczęki zwierza kłapnęły złowrogo. Pochylił groźnie łeb, jakby gotował się do skoku, ale mężczyzna powiedział coś gardłowym głosem i zwierzę posłusznie opuścił pomieszczenie. Tay odetchnął. Zbliżył się do mężczyzny. Usiłował porozumieć się z nim za pomocą gestów. Chciał mu przekazać, że przylecieli tutaj z kosmosu, że nie mieli złych zamiarów. Nie rozumie, dlaczego ich tak potraktowano, dlaczego rozdzielono go z Mayą, niepokoi się o jej los. Mężczyzna w czarnym mundurze kiwnął głową, jakby pojął, o co chodzi. Poprowadził Taya do stolika, przy którym stały dwa stołki, wskazał Tayowi, aby usiadł, a sam zajął miejsce po przeciwnej stronie. Potem wydobył z kieszeni notes i na wyrwanej z niego kartce wyrysował samopisem układ planetarny gwiazdy Troton. Następnie podał samopis i drugą kartkę Tayowi. Tay narysował na niej układ planetarny Żółtej Planety. Ale nie tłumaczyło to wszystkiego. Trzeba było jeszcze pokazać przebytą przez Gwiazdę 3 drogę, narysować fragment Trotona, zaznaczyć drogę pojazdu. Mężczyzna z planety Szuta uważnie obserwował, jak Tay kreślił to wszystko. Kiedy szkic był gotowy, wziął go do ręki i przybliżył do oczu, odchylił przy tym głowę do tyłu i wtedy Tay dostrzegł, że czoło człowieka pocięte jest drobnymi, krwawymi rankami, podobnymi do tych, jakie widział na nieopierzonych szyjach czarnych ptaków. A więc i ludzie dotknięci byli chorobą popromienną. W mózgu Taya zaświtała pewna myśl. Zrobił ruch ręką, który miał znaczyć, aby mężczyzna zdjął nakrycie głowy. Ale tamten kręcił głową i wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, o co chodzi. Wtedy Tay wyrwał z notesu kartkę i narysował na niej wybuch jądrowy. Potem dotknął swego czoła, głowy i szyi i wskazując na ranki, które pokrywały głowę mężczyzny, starał się przekazać mu informację, że w torbie, którą mu zabrano, znajduje się lek na tę chorobę. Powtórzył swoje gesty kilkakrotnie, aż mężczyzna zrozumiał. Zerwał się z siedzenia i zaczął coś z ożywieniem opowiadać, ale Tay nie mógł zorientować się, o co mu chodzi. Po chwili tamten sam to spostrzegł. I wtedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Mężczyzna zbliżył twarz do twarzy Taya i uśmiechnął się szczerym, przyjaznym uśmiechem. Przyglądali się sobie jak dwaj przyjaciele. Ale mimo to Tay dostrzegł w jego twarzy coś takiego, co budziło niepokój, nakazywało czujność, jakiś zły grymas, przeblaskujące zimnym wyrachowaniem spojrzenie. Tymczasem jednak na czarno odziany gospodarz pięknej planety klepał Taya po ramieniu i coś mówił mu do ucha. Podsuwał notes, dawał do zrozumienia, że chce, aby Tay określił miejsce lądowania swego pojazdu. Opowiadał coś przy tym swoim gardłowym głosem, wskazując na siebie, Taya i

prawdopodobnie na nieobecną Mayę. Tayowi zdawało się, że mężczyzna obiecywał oddać Mayę i wszystkie ich rzeczy, jeżeli Tay pokaże na rysunku, gdzie lądowała rakietą. A więc to tak - pomyślał Tay. W tej chwili stawiają mi warunki w sposób przyjazny. Liczą się ze mną, bo zależy im na rakiecie dalekiego zasięgu. Ale jeśli zdradzę im miejsce lądowania, co wtedy? Wydam swój pojazd z ręce tych dziwnych, podstępnych ludzi, a oni wówczas zrobią z nami, co zechcą. Tak, nasza Gwiazda to jedyny atut - myśli Tay i na kartce papieru z namysłem szkicuje plan rzekomego lądowania pojazdu: skrawek morza, wysoki brzeg i płaską równinę, masyw skalny, a na nim niewielką półkę ze stojącą rakieta o kilka mil na północny wschód od rumowiska wielkiego miasta. Podał kartkę mężczyźnie. Ten przypatrywał się chwilę rysunkowi, a potem wzruszył ramionami i skinął na Taya, aby poszedł za nim. Wyszli na słabo oświetlony korytarz, tak długi, że ginął w mroku. Na widok Taya leżący pod drzwiami zwierz podniósł się leniwie i ruszył jego śladem. Nie uszli daleko. Już po kilkunastu krokach mężczyzna zatrzymał się przed identycznymi drzwiami, w jakie zaopatrzone była cela Taya, i uczynił wyciągniętym ramieniem wahadłowy ruch. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Tay wszedł do pomieszczenia, gdzie na niskiej sofie leżała Maya. Przypadł do niej z okrzykiem radości. Ale Maya pozostała nieporuszona. Była pogrążona w głębokim śnie. Tay starał się ją obudzić. Bezskutecznie. Wtedy pomyślał z trwogą: Maya jest pod działaniem narkotyku. Będzie spała tak długo, aż jej serce przestanie bić. Niegdyś na Żółtej Planecie w taki sposób uśmiercano ludzi. Dlaczegożby i tutaj, u tych ucywilizowanych barbarzyńców, nie stworzono czegoś podobnego? Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Zwiesił głowę i trzymając dłoń Mayi w swojej trwał przy niej bez ruchu. Po chwili zbliżył się do nich stojący dotąd w drzwiach dozorca. Trzymał w dłoni małą flaszeczkę, z której wydobywał się ostry zapach. Uniósł nieco głowę Mayi, wlał jej do ust kilka kropli płynu. Uśmiechnął się do Taya i wyszedł z celi zamykając drzwi. Po upływie kilku minut widać było działanie płynu, powracała przytomność. Tay powtarzał bez ustanku imię Mayi, jakby chciał jej w ten sposób pomóc. Wreszcie otworzyła oczy. Spojrzała na Taya. Przypadł do niej, obsypał pocałunkami. Ona objęła jego głowę ramieniem i tuląc do piersi mówiła smutno cichym głosem:

- Martwiłam się o ciebie, Tay. Czy oni z tobą też tak postępowali? - zapytała.
- O czym ty mówisz? - zawołał z przerażeniem.
- Och, Tay. Prowadzili mnie na badania, mierzyli mnie, wazyli, pobierali wycinek ze skóry brzucha, wstrzykiwali mi jakiś preparat... Kiedy nie chciałam się rozebrać, siłą zdarli ze mnie odzież, a kiedy próbowałam się bronić, wstrzyknięto mi coś, co odebrało mi siły. Och, Tay, dostaliśmy się w ręce okropnych ludzi. Pod tą budowlą mają potężne podziemia. Tam jest całe miasto. Ogromne sale pełne maszyn i robotów, laboratoria. W jednym z nich poddawano mnie różnym próbom.

Tayem targnął gniew.

- To wyrafinowani przestępcy! - zawołał z oburzeniem.

Maya westchnęła ciężko.

- Co z nami będzie, Tay? Mam złe przeczucia...

Słowa te raniły boleśnie Taya.

Nagle przeszła jego mózg przerażająca myśl: a jeżeli oni wydobyli z Mayi wiadomość, gdzie się znajduje rakietę? Powiedział jej o tym.

Uśmiechnęła się.

- Sądzisz, że nie zdawałam sobie sprawy, że rakietę to nasza ostatnia szansa?

Tay odetchnął z ulgą.

- Bałem się, strasznie się bałem, że wskażesz im to miejsce. Teraz cała nasza nadzieja w naszym pojeździe i aparacie Soso. Co prawda aparat jest w ich posiadaniu, ale oni nie potrafią go uruchomić. Trzeba go koniecznie odzyskać.

W Mayę jakby wstąpiło nowe życie.

- Tych ludzi interesuje najdrobniejszy szczegół - mówiła podniecona - a co dopiero aparat. Na pewno będą chcieli, abyś wyjaśnił im, do czego służy i jak się nim posługiwać.

Wtedy będziesz mógł wykorzystać naszą szansę.

Uchyliły się drzwi i do celi wszedł strażnik. Za nim wsunął się zwierz. Na jego widok Maya wydała okrzyk przerażenia. Strażnik powiedział coś rozkazującym głosem i zwierzę opuściło pomieszczenie. Dozorca stał chwilę pośrodku celi, obserwując Mayę. Potem dotknął ramienia Taya i ruchem ręki kazał mu opuścić celę. Tay pocałował Mayę w policzek i bez słowa wyszedł na korytarz. Przedtem jeszcze Maya zdążyła mu powiedzieć, aby starał się nawiązać z nią kontakt radiowy.

Zamknięty w swej celi, leżał teraz Tay na wysokiej, długiej sofie i rozmyślał. Zdawał sobie sprawę, że zdany jest na łaskę i niełaskę ludzi o innej niż jego psychice, ludzi brutalnych i bezwzględnych, zdecydowanych na wszystko, gdy chodziło o rzeczy przedstawiające dla nich jakąkolwiek wartość. Można się było spodziewać po nich najgorszego. Co w takiej sytuacji mógł przedsięwziąć bezradny, pozbawiony broni człowiek z Żółtej Planety? Ale czy ma biernie czekać na rozwój wypadków, czy też na miarę swych możliwości szukać ratunku, próbować ucieczki? Tay zaśmiał się gorzko. Na miarę możliwości! Jakież on ma możliwości? Ma co prawda wolne ręce i głowę do myślenia, ale to jest wiele za mało, aby sforsować potężne mury, pokonać strażnika i dziką bestię. Tay próbował wyobrazić sobie los swój i Mayi. Szukał wyjścia. Brał pod uwagę różne sytuacje i warianty rozwiązań. Wszystkie sprowadzały się do jednego: musi zdobyć aparat Soso. Jeśli ludzie z planety Szuta sami rozwiążą sekret wywoływania promieni, które paraliżują narządy wzroku i słuchu, będzie im niepotrzebny. Co wtedy? Nie będzie miał żadnego sposobu, który umożliwiłby im ucieczkę. Te niewesołe rozważania przerwało wejście strażnika. Dał znak

Tayowi, aby poszedł z nim. Kiedy znaleźli się na korytarzu, strażnik zatrzymał się i wyciągnął z torby stalowy łańcuch, na końcach którego wisiały jakby bransolety. Jedną z obręczy założył na przegub swej ręki, drugą na rękę Taya. Tay zaprotestował, ale nie zrobiło to na człowieku w czarnym mundurze najmniejszego wrażenia. Szli mrocznym korytarzem aż do zamykającej go ciężkiej kraty. Strażnik otworzył odrzwia. Wyszli na klatkę schodową. Wijące się spiralnie kamienne schody prowadziły w dół i w górę. Poszli prowadzącymi w górę. Kiedy dotarli do jasno oświetlonego hallu, Tay czuł się bardzo zmęczony. Po twarzy spływał mu pot. Jego pojawienie się wywołało poruszenie wśród kręcących się po hallu ludzi. Otoczyli go zwartym kołem. Odziani byli w zielone ubrania, których naramienniki i kołnierze połyskiwały złotem i srebrem. Tay patrzył bezradnie w ich wykrzywione ironicznym uśmiechem twarze, w zapadnięte, błyszczące zimnym ogniem oczy i utwierdzał się w przekonaniu, że mają wobec niego złe zamiary.

Wtem z zawieszzonego gdzieś głośnika padły ostre, donośnym głosem wypowiedziane słowa. Stojący wokół Taya ludzie rozeszli się w milczeniu. Strażnik zawiózł go teraz windą na jeszcze wyższe piętro. Kiedy wysiedli, Tay stanął jak wryty. Sala, do której weszli, zasłana była wzorzystymi kobiercami, na ścianach między ogromnymi oknami wisiały w złożonych ramach lustra z kryształu. Środek sali zajmowały naturalnej wielkości rzeźby, między którymi stały pięknie rzeźbione wazy, pełne barwnych kwiatów. Wszystko to opromienione złotymi blaskami gwiazdy Troton tchnęło pięknem, przepychem i spokojem. Tay, ociągając się, powoli przesuwiał się pomiędzy wykutymi w białym marmurze rzeźbami, nie mógł oderwać wzroku od wspaniałych kwiatów, podziwiał misterną robotę zawieszonych u sufitu świeczników, boazerie ścian, kunsztowne płaskorzeźby na suficie, wykładane barwną mozaiką drzwi. W kojącej ciszy i chłodzie Tayowi zaczęły wracać siły. Nie zauważył, kiedy strażnik zdjął mu z ręki łańcuch. Mijali dalsze sale, podobne w swym przepychu poprzednim. Amfilada sal kończyła się potężnymi, obitymi złotą blachą drzwiami. Stał przy nich człowiek w identycznym uniformie, jaki nosił strażnik prowadzący Taya. Tay znalazł się w dużej, okrągłej sali, przypominającej aulę szkoły kosmicznej, do której uczęszczał. Amfiteatralna widownia schodziła ukośnie do owalnego, stanowiącego jakby scenę środka, gdzie stał stół pokryty zielonym sukniem, dwa fotele, mównica z aparaturą nadawczo-odbiorczą i dwie metalowe szafy, mieszczące w sobie prawdopodobnie urządzenia komputerowe. Otaczające środek sali łoże wykonane były z czarnego drzewa i wyłożone czerwoną materią o złożonych brzegach. Ściany sali pokryte były wielkimi malowidłami, również w kolorach czarnym i czerwonym, a także brązowym. Tay z uwagą przyglądał się malowidłom. Przedstawiały jakby różne fazy zmagania człowieka z otaczającą go przyrodą. Odwieczny temat walki z żywiołem, dzikimi zwierzętami i z ludźmi przejawiał się w ogromnym malowidle wypełnionym scenami

mordujących się wzajemnie ludzi. Wszędzie widać było plamy krwi, jakby krew była dla ludzi z planety Szuta symbolem działania czy życia. Mimo woli Tay wzdrygnął się, patrząc na te piękne, a zarazem okrutne sceny. Ciągłe nie mógł pojąć ludzi tworzących cywilizację planety Szuta. Kochali piękno, osiągnęli wysoki rozwój myśli technicznej, a wszystko, co stworzyli, zamieniali w stopy gruzu, niszcząc i mordując się wzajemnie. Może i oni zarażeni są jakimś wirusem wywołującym wolę niszczenia? Może i im potrzebna jest szczepionka, którą Tay wiozł dla mieszkańców Tenegery? Jego rozmyślanie przerwało pojawienie się mężczyzn w zielonych, opiętych mundurach, którzy wchodzili szeregiem bocznym wejściem i kolejno zajmowali miejsca w łóżach. Do uszu Taya dochodził stłumiony odgłos ich rozmów, jakby szelest opadających na wietrze liści. Kiedy łóża zapełniły się, pod sufitem zajaśniało światło i zapadła cisza. Do Taya podeszło dwóch umundurowanych ludzi i doprowadziło go do stołu. Jeden z nich posadził go w fotelu, drugi rozłożył przed nim na stole arkusze papieru, liniały, cyrkle, kątowniki i inne przyrządy do obliczeń, po czym w głośnikach rozległ się trzykrotny sygnał, na dźwięk którego wszyscy powstali. Rozsunęły się drzwi i do sali wkroczył niski mężczyzna w jasnym ubraniu. Za nim w pewnej odległości podążało dwóch innych, ubranych w czarne mundury i trzymających w ręku aparaty podobne nieco do pistoletu Taya. Człowiek w jasnym ubraniu zajął łóżę znajdującą się na wprost stołu, za którym siedział Tay, a ci, którzy towarzyszyli mu, stanęli po jego lewej stronie. Uniósł rękę, wszyscy usiedli. Następnie wygłosił przemówienie. Mówił ostrym, metalicznym głosem. Gestami wyciągniętej ręki wskazywał od czasu do czasu na Taya. Tay z napięciem wpatrywał się w jego twarz. Rozbiegane oczka, małe wąsiki nad górną wargą, gładko zaczesane włosy z kosmykiem opadającym z prawej strony na czoło. Ale nie wygląd mówcy wywołał w Tayu niepokój, tylko sposób mówienia. Na Żółtej Planecie tak mówili i tak zachowywali się szaleńcy. Kiedy przemówienie dobiegło końca, na sali rozległ się głuchy pomruk. Zgasło światło i rozsunął się sufit. Nad Tayem połyskiwała usiana sztucznymi gwiazdami przestrzeń kosmosu. Imitacja była tak doskonała, że doznawało się wrażenia nieskończonej głębi. W mrowisku układów planetarnych Tay dostrzegł słabo połyskującą Żółtą Planetę. Zdawało się, że wisi ona tuż za układem Trotona. Jeden z siedzących obok Taya ludzi podsunął mu stos rysunków, drugi włączył komputery. Krąg światła rozjaśnił powierzchnię stołu. Włączone obwody maszyn szumiały cichutko. Siedzący obok Taya człowiek nacisnął guzik i wąska smuga białego światła powędrowała między gwiazdy. Tay miał odpowiadać na zawarte w rysunkach pytania. Zanim to uczynił, dłoń człowieka naprowadziła jego dłoń na jedną z gałek komputera. Regulowało się nią ruch świetlnej smugi. Tay miał smugą światła oznaczyć przebytą drogę oraz obiekt będący celem jego wyprawy. Chwilę manipulował pokręteł, aż w krążku światła znalazła się Żółta Planeta. Następnie wolno przesunął smugę światła do

gwiazdy Troton i zatrzymał ją na planecie Szuta. Krążek światła chwilę błyszczał na modelowym wizerunku planety, po czym przesunął się na układ planety Tenegera. Tay zdjął palec z pokrętła, a jeden z asystujących mu ludzi zgasił świetlną smugę. W tej samej niemal chwili sufit zasunął się i zapłonęły światła. Przed Tayem ustawiono teraz ogromną kulę wyobrażającą planetę Szuta. Na jej powierzchni zaznaczone były - z uwzględnieniem pionowego ukształtowania - lądy i morza, góry, rzeki i miasta. Odpowiadając na drugie pytanie, Tay miał wskazać miejsce lądowania pojazdu. Model planety obracał się wolno. Obserwując powierzchnię planety w miniaturze, Tay starał się znaleźć na niej miejsce odpowiadające rysunkowi, jaki kilka godzin temu przekazał strażnikowi. Nie było to łatwe. Dopiero kiedy kula obróciła się po raz trzeci, Tay wskazał żółtawy skrawek wybrzeża, na którym zaznaczono rumowisko brunatnych skał. Jeden z ludzi obok Taya odczytał nazwę miejscowości i powtórzył ją przez mikrofon. Rozległ się - jak wydawało się Tayowi - groźny pomruk. Potem ktoś krzyknął na galerii, ktoś inny okrzyk ten podchwycił i wybuchła wrzawa podnieconych, jakby spierających się o coś głosów. Wtedy nad mikrofonem pochylił się człowiek w jasnym ubraniu, powiedział dwa słowa i zapadła cisza.

Tay odpowiadał na następne pytania-rysunki. Ile ludzi mieszka na Żółtej Planecie? Jaka jest struktura społeczna mieszkańców? Ile statków kosmicznych produkuje się tam w ciągu roku? Po co przyleciał na planetę Szuta? Jaki jest skład fizyczny i chemiczny paliwa pojazdu? Dlaczego wylądował w miejscu, które wskazywał? Kiedy wylądował? Czy nie spotkał innych mieszkańców planety? Dziesiątki pytań. Niektórych nie rozumiał, na inne nie umiał odpowiedzieć, więc oddawał czyste kartki, co wywoływało niechętnie poruszenie wśród zgromadzonych. Irytował ich na przykład fakt, że Tay nie chce, ich zdaniem, ujawnić składu paliwa używanego do napędu pojazdów dalekiego zasięgu. Zarzucano mu, że jego dane określające miejsce lądowania są celowo mało precyzyjne. Oczywiście Tay nie znał motywów, jakimi kierowali się zgromadzeni tu ludzie, nie wiedział, czym się powodowali w swym stosunku do niego. Kiedy odpowiedział już na pytania, kazali mu zająć miejsce na specjalnie skonstruowanym fotelu. Wiedział, że czeka go ciężka, być może ostateczna próba. Ciało jego opinały metalowe klamry uniemożliwiające jakikolwiek ruch. Ze skrzyni komputera błysnęły dwie ledwo dostrzegalne wiązki promieni. Padły wprost na źrenice Taya. Poczł ostry ból, jak ukłucie szpilki. Szarpnął głową. Ale głowa była unieruchomiona. Zacisnął powieki. Daremnie. Ból wzmagął się, zdawał się rozsadzać czaszkę. Tay zacisnął zęby. W pewnej chwili krzyknął przeraźliwie. Operację przerwano. Jeden z ludzi podsunął Tayowi pod nos jakiś środek orzeźwiający, drugi kartkę. Poznał ją. Była to kartka, na której miał podać skład paliwa. Pomyślał z rozpaczą, że znalazł się w ślepym zaułku. Bo nie wiedział, jaki jest skład antyatomowej masy mieszczącej się w krzemowych bateriach

pojazdu. Zgodnie z prawdą rysował w miejscu odpowiedzi poprzeczną kreskę. Ale ci ludzie oczywiście nie wierzyli mu. Uważali, że kłamie. Postanowili postąpić tak, jak ich zdaniem należy w takich wypadkach. Pierwszy raz w życiu doznał tak okropnego bólu. A przecież oni nie poprzestaną na tym. Co robić?! W desperacji Tay uwolnioną dłonią napisał wzór reakcji spalającego się lotium z udziałem katalizatorów opóźniających jej przebieg. Niech odczytają, jeśli potrafią, teoretyczny wzór spalania - myśli Tay. Przetworzony przez komputer wzór zajaśniał na świetlnej tablicy wiszącej pośrodku sali. Panująca na sali cisza jakby pogłębiła się. Zebrani ludzie pochylili głowy nad pulpitemi. Może z samopisami w dłoni starają się rozwiązać zagadkę? Tay oddycha z ulgą. Jest krańcowo wyczerpany. Powracający, ciągle jeszcze dokuczliwy ból zanika, Tay zapada w czarną otchłań nieświadomości. Z wysiłkiem chwyta ustami powietrze. Ale powietrza jest coraz mniej, coraz więcej ciemności. Poczul jeszcze drażniącą woń i zapadł się w nicość.

Otworzył oczy. Chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się w wielką mechaniczną muchę. Siedziała na suficie i poruszała nieustannie złotymi blaszkami skrzydeł. Co jakiś czas natężenie drgań skrzydeł wzmagalo się i wtedy wprowadzane w ruch powietrze wydawało wysokie, nieprzyjemne dla ucha buczenie. Być może, że to ów wibrujący dźwięk wyrwał Taya ze snu, przypomniało mu się, że we śnie słyszał warkot silnika. Uniósł się z posłania i rozejrzał z zaciekawieniem. Pokój, w którym leżał, był duży, jasny i lśnił czystością. Pod oknami stały wazon z kwiatami. Na niewielkim stoliku znajdowała się taca z jedzeniem. Zakładając skafander Tay zauważył, że obok leży jego torba, a w niej lekarstwa, tubki z jedzeniem i inne drobiazgi, które zabrał ze sobą opuszczając Gwiazdę 3. Nie było tylko aparatu Soso i pistoletu. Ucieszył się z odzyskanych rzeczy. Nabral przekonania, że po tym uciążliwym, połączonym ze swojego rodzaju torturą badaniu ludzie z planety Szuta zrozumieją, że nic przed nimi nie ukrywa. Może więc zmieni się ich stosunek do niego i do Mayi? Może potraktują ich życzliwie i pozwolą odlecieć?

Cicho rozsunęły się drzwi i na progu stanęli dwaj mężczyźni w zielonych mundurach. Tay z niepokojem spoglądał w ich twarze. Jakby ociągając się dali znak, aby poszedł z nimi. Wąskim i słabo oświetlonym korytarzem dotarli do hallu, wsiedli w windę i zjechali na dół. Tay ciągle nie potrafił zorientować się w labiryncie tego dziwnego budynku. Piętra i półpiętra, korytarze, ogromne sale i duża ilość niewielkich pomieszczeń tworzyły gigantyczną płataninę, z której trudno było znaleźć wyjście. Tay usiłował dowiedzieć się, co dzieje się z Mayą. Towarzyszący mu ludzie albo nie rozumieli, o co mu chodzi, albo udawali, że nie rozumieją. Rozkładali bezradnie ręce i uśmiechali się nie wyraźnie. Uczucie beznadziejności pogłębiła niepewność tego, co czeka Mayę i jego. Zdany na łaskę tych dziwnych ludzi, nie mógł przewidzieć, co stanie się z nim za godzinę, za dzień. I to było najgorsze. Nie było

żadnej nadziei. Taya ogarnęło przygnębienie, kiedy wprowadzono go na ulicę podziemnego miasta. To, o czym mówiła mu Maya, oglądał teraz własnymi oczami. W niebieskawym świetle jarzeniówek po jednej stronie niby-ulicy ciągnęły się ogromne hale fabryczne. Z drugiej jakieś biura, laboratoria, kioski z napojami i inne pomieszczenia, których szklane ściany zasłonięte były wzorzystymi tkaninami. Strażnicy prowadzili Taya wzdłuż jednej z hal, między rzędami potężnych obrabiarek, nad którymi kontrolę sprawowali ludzie - - roboty. Roboty nadzorowało kilku ludzi w czarnych uniformach. Produkowano tutaj części do jakichś pocisków, a może nawet rakiet, gdyż niektóre z nich kształtem przypominały części do pojazdów budowanych na Żółtej Planecie. Druga hala była podobna.

Ale w trzeciej... To, co Tay zobaczył w trzeciej hali, wywołało w nim gniew i bunt. Produkowano tutaj jakieś bardzo precyzyjne urządzenia elektroniczne, bo maszyny obsługiwali ludzie, nie roboty. Ci ludzie, o ciemnej skórze, czarnych długich włosach i drobnej budowie ciała, pochyleni nad maszynami, wykonywali swe czynności płynnymi ruchami rąk, rytmicznie i szybko, jakby byli robotami. Tayowi wydawało się, że niektórzy z nich spoglądają na niego ukradkiem, jakby bali się pilnujących ich strażników. W pewnej chwili jeden z robotników zatoczył się i upadł na kolana. Dozorca podszedł do niego i kopnął go kilkakrotnie. Ciemnoskóry nie podnosił się. Jego wątłe ciało zwinęło się w kłębek i było jak martwe. Wtedy dozorca sięgnął po przytroczony do pasa bat. Na grzbiet leżącego spadły ciężkie razy. Tay nie mógł tego znieść, Podbiegł do dozorcę i usiłował wyrwać mu bat z ręki. Dozorca odepchnął go brutalnie i nawet zamierzył się, aby go uderzyć. Jeden ze strażników prowadzących Taya powstrzymał go, potem podszedł do leżącego. Czubkiem buta odwrócił jego głowę. Tay ujrzał chudą twarz, półprzymknięte oczy i straszliwą, ciągnącą się od czoła aż po szyję ranę. Była głęboka, krwawiąca, wywołana opadami radioaktywnymi, taka sama, jakich wiele widział Tay u mieszkańców tego dziwnego budynku-miasta. Prawdopodobnie kilka czy kilkanaście lat temu mieszkańcy planety Szuta prowadzili między sobą wojnę atomową. Była to wojna totalna, tak zażarta, że wyniszczyła mnóstwo ludzi. Ci, którzy pozostali, schronili się w jakichś niedostępnych miejscach, zbudowali potężne domy-miasta i rozwinęli przemysł zbrojeniowy planując działania odwetowe. Jeśli tak było rzeczywiście, to na planecie musiała istnieć jeszcze inna grupa ludzi. Tak, na pewno. Patrzy przecież na tych ludzi. Przykuci do maszyn, wynędzniali i słabi, pracują pod nadzorem tych, którzy ich zwyciężyli. A ci dumni i okrutni zwycięzcy tworzą ich rękami nowe państwo, agresywne i żądne odwetu.

Tay, patrząc na leżącego, odczuwa współczucie i gniew. Nienawidził tych butnych, jasnowłosych władców podziemnego miasta. Ale był bezsilny. On, człowiek z planety, której cywilizacja znacznie wyprzedziła technikę planety Szuta. Ale przynajmniej dzięki jego

protestowi dozorca przestał znęcać się nad bezbronnym.

Popchnięty przez strażnika, Tay poszedł posłusznie między rzędami maszyn, odprowadzany trwożnymi spojrzeniami ciemnoskórych robotników. Nie mógł się uspokoić. Być może, że gdyby w stosunku do ludzi w zielonych i czarnych mundurach okazał więcej stanowczości i odwagi, może traktowaliby go inaczej. Zatrzymali się przed metalowymi drzwiami. Rozchyliły się bezszelestnie i Taya oślepiło jaskrawe światło. W wielkiej, poprzedzielanej szklanymi ściankami sali, na marmurowych blatach podłużnych stołów ustawiona była rozmaita aparatura do badań naukowych. Niektóre urządzenia, przeznaczone do pomiarów reakcji fizykochemicznych, podobne były do przyrządów używanych kiedyś na Żółtej Planecie, na przykład ascelator widma czy derosomierz, przyrząd do wyznaczania współczynnika kąтового załamania się fal półprzewodników o asymetrycznych kryształach. Przeznaczenia większości zgromadzonych w laboratorium aparatów mógł się Tay tylko domyślać. Pracujący przy aparatach ludzie nie zwracali na Taya najmniejszej uwagi. Czyżby i ci w białych kombinezonach ludzie znajdowali się również pod obserwacją? Potwierdzały to jakby rozmieszczone pod sufitem monitory telewizyjne, zdające się śledzić każdy ruch prowadzących doświadczenia. Tay po raz pierwszy spotkał się z tego rodzaju sposobem kontroli. Pomyślał, że nie ma żadnej szansy ucieczki. Ten precyzyjny system kontroli musiał być kierowany przez centralny ośrodek dyspozycyjny. Ucieczka mogłaby więc mieć widoki powodzenia, gdyby udało się zniszczyć albo przynajmniej unieruchomić ów ośrodek. Ale gdzie mieści się centrala kontroli i dyspozycji? Gdyby nawet udało mu się to ustalić, to i tak nie dysponuje niczym, co pozwoliłoby wykonać zamiar.

Wąskimi schodkami zeszli do niewielkiego pomieszczenia, pośrodku którego znajdował się stół laboratoryjny, a na nim aparat Soso. Wzdłuż ścian o niezwykle grubych murach stały komputery, a w kącie robot-człowiek. W pierwszej chwili Tay na widok aparatu chciał podbiec do niego, ale rozsądek nakazywał zachowanie spokoju. Stał więc przy stole udając obojętność, podczas gdy jego strażnicy naradzali się z człowiekiem w ciemnych okularach i białym kombinezonie. Potem jeden z nich zwrócił się do Taya, aby objaśnił działanie aparatu. Tay udawał, że nie rozumie. Ludzie w zielonych mundurach okazywali zdenerwowanie. Wyższy, o sępiej twarzy, powiedział cos ostrym głosem, a ponieważ Tay wzruszył ramionami, uderzył go. Cios był silny, zamroczył Taya. Tay zatoczył się i osunął na kolana. Ale o władnęła nim wola walki. Uznał, że nie może dłużej znosić upokorzeń, że musi bronić godności człowieka z Żółtej Planety. Przybył do ludzi o jasnych włosach z jak najlepszymi intencjami. Chciał poznać ich, ich kulturę, cywilizację. Chciał zostać ich przyjacielem, Zawiedli jego zaufanie. Potraktowali go i Mayę jak parę dzikich zwierząt, jak martwe twory materii, z którą dopóki jest potrzebna, robi się, co się chce, a potem wyrzuca.

Ogarnął go bezbrzeżny żal. Żal mu było Mayi, żal, że nie osiągnął zamierzonego celu, że tak głupio musi zginąć. Nie było jednak wyboru. Postanowił walczyć. Walczyć do ostatka. Chociaż nie dawało to żadnych szans. Rzucił się nagle na człowieka w zielonym uniformie. Tamten zachwiał się, zatrzepotał rękami i runął w tył głową, aż zadudniło o kamienne wykładziny posadzki. Wtedy Tay dopadł jego gardła. Leżący nie bronił się. Widocznie, padając, tak mocno uderzył głową o podłogę, że stracił przytomność. Tay spodziewał się śmiertelnego ciosu, który zada mu drugi strażnik. Ale tak się nie stało. Tay usłyszał odgłosy walki. Zerwał się i znieruchomiał. Oto człowiek w ciemnych okularach ścisnął ramieniem szyję drugiego strażnika, który charcząc starał się wydobyć zza pasa sztylet. Tay chciał udaremnić jego zamiar, ale strażnik ubiegł go i ostrze srebrnej klingi musnęło ramię Taya. Człowiek w białym kombinezonie gorączkowo pokazywał Tayowi, aby użył aparatu Soso. Uruchomienie Soso wymagało jednak trochę czasu. A strażnik, choć rzeził, ciągle jeszcze wymachiwał sztyletem próbując zadać cios trzymającemu go. Tay dopadł strażnika i wykręcił mu ramię. Strażnik wydał przeciągły jęk i wypuścił sztylet z ręki. Tay podniósł go i zadał cios. Ciało strażnika ze-sztyniało, a potem zwiotczało. Człowiek w białym kombinezonie zdjął okulary i spojrzał na Taya. Uśmiechnęli się do siebie. Człowiek w kombinezonie powtórzył kilka razy wskazując na siebie:

- Aro, Aro, Aro...

Tay powiedział swoje imię. Uścisnęli sobie dłonie. Uścisk ten symbolizował jakby zawarcie nie pisanego układu wzajemnej pomocy.

Czas naglił. Tay przystąpił do uruchomienia aparatu Soso. Aro ściągnął ze strażnika uniform i założył go na siebie. Tay zrozumiał plan Ara. Przed człowiekiem w zielonym uniformie otwierają się wszystkie drzwi tego dziwnego miasta-twierdzy. Ucieczka, która jeszcze przed kilkoma minutami wydawała się niemożliwa, teraz stawała się realna. Tayowi udało się w końcu uruchomić aparat. Smugę ledwo dostrzegalnego promieniowania skierował na jednego ze strażników. Budził się właśnie z omdlenia, gdy promienie przeniknęły jego mózg. Cisnął się raz i drugi jak wyrzucona z wody ryba i znieruchomiał. Kiedy zamierzali opuścić pomieszczenie, Tay usłyszał słaby jęk. To ugodzony sztyletem ocknął się z omdlenia. Tay nachylił się nad nim. Rana krwawiła obficie. Nie można zostawić rannego bez udzielenia mu pomocy. Tay zaczął drzeć porzucony przez Ara kombinezon na pasy i założył rannemu opatrunek.

Opuścili pomieszczenie. Tay miał użyć Soso na znak Ara. Posuwając się rozlicznymi korytarzami wyszli na ulicę podziemnego miasta. O tej porze była ona zapełniona często zataczającymi się ludźmi w czarnych i zielonych mundurach, którzy w towarzystwie jaskrawo wymalowanych kobiet tworzyli ruchliwy i hałaśliwy tłum. W tym tłumie równie dobrze można było skryć się, jak i zostać rozpoznany. Aro jednak znał zwyczaje władców miasta-

twierdzy. Szedł spokojnie z wysoko uniesioną głową nie odpowiadając na pozdrowienia mijanych ludzi, jakby ich nie dostrzegał. To był dobry sposób. Nikt nie zwrócił uwagi na Taya. Dopiero kiedy zatrzymali się przed okutymi metalem drzwiami, Aro gestami dał mu do zrozumienia, że powinien zachować wyjątkową ostrożność i pilnie baczyć na jego rozkazy, po czym uchylił drzwiczki niewielkiej skrytki w murze i coś powiedział. Drzwi się otworzyły i błysnął snop jaskrawego światła. Na ekranie monitora Tay zobaczył sylwetkę swoją i Ara. Aro nie zwracał na to uwagi. Spieszył się. Otrzymał informację, że Maya przebywa w zespole medyczno-biologicznym, gdzie poddawana była zabiegom doświadczalnym. Aro wiedział, że skutki tych eksperymentów mogą okazać się dla dziewczyny z Żółtej Planety tragiczne. Minęli hali i zatrzymali się przed białymi drzwiami, nad którymi paliła się czerwona lampka. Aro niecierpliwie naciskał elektryczny guzik, ale drzwi pozostały zamknięte. Wówczas wyciągnął z kieszeni niewielki przyrząd i włączył go w obwód mechanizmu otwierającego. Znaleźli się w niewielkim, słabo oświetlonym gabinecie. Obrócony tyłem do wejścia, siedział rozparty w fotelu jakiś człowiek. Nie usłyszał zapewne, że ktoś wszedł, bo nadal siedział nieporuszony, obserwując, co dzieje się na monitorze wielkiego telewizora. Podeszli cicho pod sam fotel. W monitorze widać było stół operacyjny, a na nim ciało kobiece z otwartą piersią. Trzech odzianych na biało lekarzy przeprowadzało operację. Obraz był tak wyraźny, że można było dostrzec spływające po czole chirurga krople potu. Nagle Aro zapalił światło. Człowiek w fotelu zerwał się jak oparzony. Jąkał się i rozkładał bezradnie ręce. Aro wyjął sztylet i dotknął jego szyi. Małe, skryte w głębi oczodołów oczka człowieka rozszerzyły się z przerażenia, zawołał coś piskliwie. Aro podał mu mikrofon. Człowiek włączył go, chwilę zastanawiał się, ale ostrze sztyletu przypomniało mu o jego sytuacji. Wydał więc przez radio polecenia. Wtedy Aro uderzeniem rękodości sztyletu zniszczył mikrofon oraz inne znajdujące się w gabinecie środki łączności. Kiedy nad drzwiami błysnęło światło, Aro kazał przeciwnikowi wstać i poprowadził go z przytkniętym do pleców sztyletem pod drzwi. Za naciśnięciem przełącznika otworzyły się i Tay ujrzał rosłą postać strażnika, trzymającego pod ramię ślaniającą się Mayę. Kosztowało go wiele wysiłku, aby nie okazać wzruszenia i nie przypaść do niej z okrzykiem. Olbrzym w czarnym uniformie, niczego nie podejrzewając, rozsiadł się w fotelu. Aro dał Tayowi znak i Tay włączył aparat. Wiązka promieni ugodziła w czoło strażnika. Patrzył na Taya zdziwionym, mętniejącym wzrokiem, chciał coś powiedzieć, zerwać się z miejsca, bronić się. Ale porażone mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Zabełkotał i opadł bezwładny, półprzytomny, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Teraz Aro zajął się Mayą. Dziewczyna poruszała się jak w lunatycznym śnie. Nie poznała Taya. Była pod wpływem jakiegoś narkotyku, wydawała bezsensowne okrzyki, chichotała nerwowo lub szlochała, krótko, urywanie. Jej stan zaniepokoił Taya. Prosił Ara, aby ją ratował. Ale Aro nie

zwracał na niego uwagi. Szukał czegoś w ogromnej, wmontowanej w ścianę szafie. Wreszcie znalazł. Była to strzykawka i niewielka, brązowa fiolka. Przygotowując zastrzyk, Aro polecił Tayowi obnażyć ramię dziewczyny, po czym wprawnym ruchem wbił igłę w ciało Mayi. Tay, patrząc w jej oczy, szeptał czułe, krzepiące słowa. Po dłuższej chwili Maya westchnęła. Tay zaczął jej tłumaczyć, w jakiej znaleźli się sytuacji. Słuchała z rosnącym zdumieniem.

- Nie traćmy więc chwili, Tay - powiedziała, kiedy skończył. - Uciekajmy!

Postanowili, że aby nie wzbudzać podejrzeń Aro założy im na ręce metalowe bransolety połączone łańcuchem. Maya sprzeciwiła się. Nie było czasu na przekonywanie jej. Aro więc zamiast Mayi i Taya przykuł łańcuchami do foteli porażonych promieniami przeciwników. Opuścili laboratorium. Ledwo jednak znaleźli się na ulicy, otoczyło ich trzech odzianych w czarne uniformy ludzi. Tay w napięciu patrzył na Ara, czekał na znak.

Tymczasem Aro spokojnie wyciągnął z kieszeni niewielki, drobno zapisany kartonik i podał jednemu z ludzi w czarnych uniformach. Tamten przeczytał, zasalutował i oddał kartonik. Droga była wolna. Aro przyspieszył kroku. Po kilku minutach doszli do miejsca, w którym ulica rozwidlała się. Aro zawahał się przy wyborze kierunku. Wyglądało na to, że stracił orientację. Trwało to jednak krótką tylko chwilę. Aro położył na dłoni niewielki, metalowy przyrząd i ustalił dalszą drogę. Skręcili w lewo. Z jednej strony znajdowały się oświetlone neonami wystawy, z drugiej był gładki mur. Przed jednym ze sklepów natknęli się na podłużne wózki-pojazdy. Weszli do takiego pojazdu. Aro zajął miejsce przy kierownicy. Mimo że pojazd nie był zbyt szybki, udało im się w ciągu kilku minut pokonać dość znaczną odległość. Zyskali w ten sposób na czasie. Zatrzymali się przed ogromną halą. Pełno w niej było dźwigów, podnośników i wind towarowych. Na rampach kręcili się ludzie wyładowujący z wagonów różnej wielkości paczki. Była to główna składnica, zaopatrująca podziemne miasto w surowce. Weszli w gęszcz stalowych konstrukcji. Poruszali się ostrożnie i cicho. Zatrzymali się nad okrągłym, metrowej średnicy kanałem. Aro znowu jakby się wahał. Zdawał się obliczać dzielącą ich od stojących w głębi wagonów-cystern odległość. W pewnej chwili upadł na betonową płytę, dając znak, aby Tay i Maya uczynili to samo. Następnie przecisnął się przez otwór kanału. Za nim podążyli Maya i Tay. W wąskim prześwicie, między stalowymi rurami, mogli posuwać się tylko na czworakach. Droga była szczególnie uciążliwa dla Ara. Tay słyszał jego przyspieszony, chrapliwy oddech. Potężnie zbudowany, miał duże trudności w poruszaniu się. Co jakiś czas zatrzymywał się, leżał nieruchomo, dysząc ciężko. Wreszcie dotarli do pionowej studzienki. Ale jej wyjście zatarasowane było metalową kratą. Aro próbował usunąć ją, postępując z wysiłku. W końcu krata uchyliła się na tyle, że mogli wydostać się na zewnątrz. Z największą ostrożnością wpełzli pod jedną z cystern. Maya i Tay zajęli miejsca na potężnych zawieszonych podwozia,

Aro za osłoną pneumatycznego podnośnika. Czekali, aż elektryczny ciągnik odstawi cysterne poza bramy miasta-twierdzy. Tay siedział skulony, nie mogąc wyprostować nóg tkwiących między stalowymi żebrami konstrukcji. Drętwiały mu nogi, ręce, a potem całe ciało. W pewnej chwili usłyszał cichy jęk. To Maya. Powiedział jej kilka słów pocieszenia. Niemal z płaczem skarżyła się, że dłużej nie wytrzyma, że lada chwila spadnie. Przeraziła Taya myśl, że mogłoby to stać się podczas jazdy. Zsunął się na betonowe podkłady i od przytroczonej do ramienia torby odpiął cykietowy pasek. Przywiązał nim Mayę do pręta podwozia. Usłyszeli jakieś głosy i głuchy łoskot zbliżającego się ciągnika. Rozległ się metaliczny dźwięk uderzenia i cysterne potoczyła się wolno naprzód. Nie jechali długo. Najpierw cysterne pogrążyła się w nieprzeniknionych ciemnościach, a potem zrobiło się widno jak w dzień. Usłyszeli jakieś nawoływania. Ktoś obchodził cysterne wkoło, zaglądał pod spód. Gdy Tay ujrzał jego głowę, serce zabiło mu mocniej. Ale kontrolujący nie znalazł nic podejrzanego i cysterne ruszyła dalej. Potem ciągnik został odczepiony i ucichły wszelkie głosy. W tej ciszy zdawało się Tayowi, że słyszy pulsowanie własnej krwi. Siedział odrętwiały, nie zdolny do jakiegokolwiek ruchu. Usłyszał szept Ara i szelest czołgającego się ciała. Chciał zobaczyć, co się dzieje, i spadł na beton. Pospieszył mu z pomocą Aro. Pomógł też Mayi. Wyciągnął ich spod cysterny i rozcierał ich ciała, aż przywrócił krążenie w ich nogach i rękach. W słabym świetle rzadko rozmieszczonych lamp widać było rzędy wagonów-cystrn, a w głębi ogromny, połyskujący jasnym metalem zbiornik. Taya nawiedziły wątpliwości, czy wydadzą się kiedykolwiek poza obręb tego przeklętego miasta-twierdzy. Ale niepotrzebnie się martwił. Aro okrążył zbiornik i otworzył metalowe drzwiczki. Tay i Maya oniemieli z wrażenia. Ogromna hala wypełniona była maszynami latającymi. Niektóre wyglądem swym przypominały statki odrzutowe, używane na Żółtej Planecie dwieście lat temu, inne, podobne nieco w konstrukcji do aerostatu Taya, miały ogromne śmigła. Tay z zainteresowaniem przyglądał się połyskującym w słabym świetle maszynom, szczególnie zaciekały go niezwykle kształty statków odrzutowych. Budową przypominały sterowane pociski dalekiego zasięgu. Aro gorączkowo wskazywał na swój czasomierz. Wtem rozległo się dalekie, jakby z ziemi wydobywające się buczenie syren alarmowych. Aro na moment znieruchomiał. Potem rzucił się z głośnym krzykiem do drzwi hangaru. Tay zrozumiał, że wykryto ich ucieczkę. Biegł ciągnąc Mayę. Mieli jednak szczęście. Na wprost ogromnych wrót hangaru stał aerostat. Tay błyskawicznie sprawdził zbiornik z paliwem i przyrządy. Niczego nie brakowało. Włączył silnik. Pracował prawidłowo. Tymczasem Aro mocował się z dźwigniami rozsuwającymi wrota hangaru. Tay pospieszył mu z pomocą. Przez sekundę mignęła mu złana potem, wykrzywiona wysiłkiem twarz Ara. Nie mogąc uruchomić silnika udźwigu rozsuwającego ciężkie wrota, zawisł na linie, aby ciężarem ciała wprowadzić w ruch blok

dźwigni. Tay uchwycił też linę. Ciężkie drzwi hangaru drgnęły i wolno rozsunęły się. Można było wytoczyć aerostat! Rzucili się do niego pospiesznie i po chwili pojazd stał przed hangarem, gotowy do lotu. Był najwyższy czas, by wystartować. Sygnał alarmowy buczał nieustannie, a ustawione na najwyższym piętrze budynku-miasta reflektory omiały jaskrawym światłem całą okolicę. Maya i Tay zajęli miejsca w kabinie i czekali na Ara, który pobiegł w głąb hali. Po chwili wrócił, zziębnięty, ale uśmiechnięty, szczęśliwy. Wystartowali. Pojazd wzbijał się ponad wierzchołki drzew, zatoczył półkole i wystrzelił w górę. Znajdowali się na wysokości czterech mil, gdy w dole błysnęły płomienie i potężny grzmot ponurym echem odbił się po zboczach Zielonej Doliny. Aro uśmiechnął się tylko tajemniczo, wielce z czegoś zadowolony. Tay domyślił się, że Aro podpalił zbiornik z paliwem. Potężny wybuch zniszczył znajdujące się obok hangary. W ten sposób pościg został udaremniony.

Tay spojrział na Ara z wdzięcznością. Gdyby nie on, nie uciekliby z miasta rządzonego przez okrutnych, opętanych ideą niszczenia szaleńców. W gęstniejącym mroku Tay po raz ostatni patrzył na ponurą twierdzę. Łuna pożaru oświetlała groźne, podobne do ogromnego grobowca mury. Aerostat wzbijał się ponad pierwsze chmurki. Tay włączył aparat samosterujący. Postanowił wracać tą samą drogą, wznosząc się jedynie nieco wyżej ponad masywem górskim. Aro, wpatrzony przed siebie, miał twarz spokojną, pogodną. Maya zdawała się drzemać. Tay z bólem pomyślał, że oprawcy w mundurach najbardziej niegodziwie postąpili z jego dziewczyną. Potraktowali ją jako obiekt doświadczalny. Dokonywano na niej przeszczepów tkanki, wstrzykiwano jakieś preparaty, podawano leki wywołujące wstrząsy psychiczne. Teraz leżała w fotelu skulona, pogrążona w niespokojnym półśnie. Tay był pełen obaw o jej zdrowie. Nie wiadomo, jakie następstwa wywołają w organizmie dziewczyny zaaplikowane jej preparaty. Co robić - zastanawiał się Tay patrząc na twarz śpiącej. W pojeździe dalekiego zasięgu znajdowała się podręczna apteczka, ale na pewno nie było tam lekarstw, które mogłyby pomóc Mayi. Jedyne pocieszenie, że przecież są wolni, powinni cieszyć się wolnością. Wszystko inne przyjdzie później. Słaba to była jednak pociecha.

Uwagę Taya zwróciło opadanie aerostatu. Sprawdził przyrządy. Pracowały bez zarzutu. Czyżby pojazd podchodził do lądowania? Kiedy wysokościomierz wskazał milę, Tay włączył reflektor. W smudze światła błysnęła znana mu już wieża i ruiny domów. Widok zburzonego miasta wzbudził w nim przykre refleksje. Z przygnębieniem wpatrywał się w ślizgający się po rumowisku świetlny krąg. Wtem ujrzał ich Gwiazdę! Stała tak, jak ją zostawili. Tay odetchnął głęboko. Nareszcie! Droga w kosmos stała otworem. Wylądowali łagodnie i Tay nie tracąc czasu wprowadził Mayę do rakiety. Jej pełną smutku twarz ożywił uśmiech. Wspięła się po schodkach. Obejrzała kabiny, postanowiła przygotować kolację.

Zachwiała się jednak niespodzianie i gdyby nie Tay, upadłaby. Pomógł jej ściągnąć skafander i jak dziecko ułożył do snu. Aro tymczasem oglądał wnętrze pojazdu. Zrobiło na nim duże wrażenie. Patrzył na przyrządy i urządzenia jak człowiek przejęty odkryciem czegoś dotąd niewyobrażalnego. Potem zagłębił się w fotelu pilota i siedział tak dłuższą chwilę. Może wydawało mu się, że szybuje w kosmicznej pustce. Tay poczuł coś w rodzaju dumy. Jego przyjaciel Aro, którego poznał w tak niezwykłych okolicznościach, był jedynym mieszkańcem innej planety mogącym naocznie przekonać się o osiągnięciach ludzi z Żółtej Planety. Ludzie z planety Szuta posiadali wysoko rozwiniętą technikę, ale ich sondy kosmiczne, które były szczytowym osiągnięciem, krążyły tylko na stosunkowo niewielkich wysokościach. Aby zbudować pojazd i wyprodukować paliwo, jakim rozporządzali ludzie z Żółtej Planety, musieliby rozwijać technikę pojazdów kosmicznych jeszcze chyba przez jakieś trzysta lat. Czy osiągną ten poziom? Wojna atomowa, jaką prowadzili, zniszczyła nie tylko ludzi i miasta, ale i skaziła glebę, wynaturzyła zwierzęta, jej dziełem był cmentarny krajobraz nuklearnej zagłady. Resztki życia ludzi dotkniętych popromienną chorobą, ukrytych w podziemnych miastach, napiętnowane były trwałymi śladami zwyrodnieniowych zmian organicznych. Zdziśnięci, zaszyci w niedostępnych ostępach, przeżywali ciężko swą porażkę i sposobili się do krwawego odwetu. Okrutny, bezsensowny kołowrót ludzkich namiętności.

Tay stawia na stole tackę z kanapkami. Rozlewa w kryształowe kubki swój ulubiony dertesl i zaprasza Ara do posiłku. Aro ostrożnie próbuje jedzenia. Mimo że przyzwyczajony jest do innego, zjada kilka kanapek i wypija podany mu napój. Jest w dobrym humorze. Tay nie podziela tego nastroju. Albowiem fakt, że Aro zniszczył zbiornik z paliwem, nie oznacza jeszcze, iż władcy miasta-twierdzy nie dysponują jakimś awaryjnym, starannie ukrytym pojazdem, który w tej chwili wyruszył za nimi w pogoń. Odległość między podziemnym miastem a miejscem lądowania Gwiazdy 3 nie była zbyt wielka, przy czym rakietę nie posiadała pełnej sprawności. Baterie wytwarzające wysoką energię były zimne. Trzeba więc było przystąpić do wymiany nadtopionych, zakłócających przebieg reakcji pierścieni.

Wykonanie prostych z pozoru czynności przeciągało się. Tay musiał bardzo się natrudzić, aby wreszcie uporać się z awarią.

Pierwsze promienie Trotona zaróżowiły ścielące się mgły, gdy Tay ukończył pracę.

Gwiazda 3 gotowa była do kontynuacji lotu. Aro zrozumiał, że nadchodzi czas rozstania.

Posmutniał. Nie mógł z nimi jechać. Nie chciał też przyjąć ofiarowanego mu aerostatu. Na planecie Szuta nie ma paliwa nadającego się do poruszania tego rodzaju pojazdów. Wziął w końcu na pamiątkę aparat Soso i niewielką probówkę wypełnioną szczepionką Opess.

Pożegnanie odbyło się w kabinie, gdzie spała Maya. Z początku nie bardzo wiedziała, o co

chodzi. Gdy zrozumiała, pocałowała Ara w policzek. Odwzajemnił jej pocałunek i długo trzymał jej drobną dłoń w swej dłoni. Potem zegnał się z Tayem. Po jego policzkach spływały łzy. Tay też był wzruszony. Na pięknej, choć zniszczonej kataklizmem atomowym planecie spotkał człowieka, który uratował ich od niechybnej śmierci, sam się na nią narażając. Gwiazda 3 osiągnęła już swoją prędkość kosmiczną. Mknęła w pustce przestrzeni, wobec ogromu której nawet czas był czymś względnym, trudno uchwytnym, jakby rozplywającym się w bezkresie. Zagłębiany w fotelu pilota, Tay raz jeszcze spojrział przez teleskop na malejącą planetę Szuta. W promieniach Trotona połyskiwała szmaragdową poświatą, piękna, pełna tajemniczego powabu. Jakże jednak to piękno jest złudne - myślał Tay. Jak często jego harmonię zakłócają istoty rozumne. Tay westchnął i przekazał komputerowi dane nowego kursu pojazdu. Lecieli na Tenegerę. Lecieli, aby ratować mieszkających tam ludzi przed szaleństwem totalnej wojny. Czy zdążą? Czy wysiłek, jaki włożyli w tę kosmiczną wyprawę, przyniesie spodziewane wyniki? Czy osiągną zamierzony cel? Takie i podobne myśli nie dawały Tayowi spokoju, gdy jego dłonie nastawiały przyrządy pomiarowe.

Zakończył pracę i udał się do kabiny, gdzie pogrążona w czytaniu siedziała Maya. Zmieniła się. Mimo że wyzbyła się dręczących ją lęków, to jednak na jej twarzy osiadł cień nie ustępującego smutku i zadumy. Starania Taya, aby wyrwać ją z tego stanu, nie przynosiły skutku. Robił wszystko, aby stworzyć pogodny nastrój. Teraz, nachylając się nad stołem, przy którym siedziała, powiedział uśmiechając się:

- Lecimy na Tenegerę. Sądzę, że uda nam się do niej dotrzeć.

Kiwnęła głową i odpowiedziała bez zapału:

- Jeśli tak sądzisz, na pewno osiągniemy cel.

- Jestem pewien, że mieszkańcy Tenegery przyjmą nas życzliwie. Docenią nasz wysiłek.

Uśmiechnęła się blado.

- Nie jestem tego taka pewna... - Podniosła na Taya wzrok pełen namysłu. - Masz zamiar tam lądować?

- Oczywiście, jakby inaczej?

- Niczego nie nauczyłeś cię pobyt na planecie Szuta? Wiem, że nie wylądujemy na Tenegerze - dodała złowieszczo.

Przeżalenie odebrało Tayowi mowę. Patrzył z niedowierzaniem w naznaczone bólem oczy Mayi. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Więc w jaki sposób dostarczymy szczepionkę? - odezwał się wreszcie.

- Po prostu spuścimy ją w pojemniku.

- No tak, ale... - urwał i patrzył na snop wdzierającego się przez okrągłe okienko światła. Było tak ostre, że raziło w oczy. - Ale co dalej, co dalej? - dokończył. Maya uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od kilkunastu godzin zobaczył na jej twarzy serdeczny, pogodny uśmiech.

- Może dopisze nam szczęście. Może w kosmicznej wędrówce natrafimy na planetę pokrytą zielenią. Będą tam zwierzęta, ptaki, a w wodzie ryby. I będzie jeszcze dużo pachnących kwiatów. Tak, dużo pachnących kwiatów - powtórzyła.

P.S. Dalszy ciąg w roku 2179. Ale już w rzeczywistości.